książka dziesięciolecia

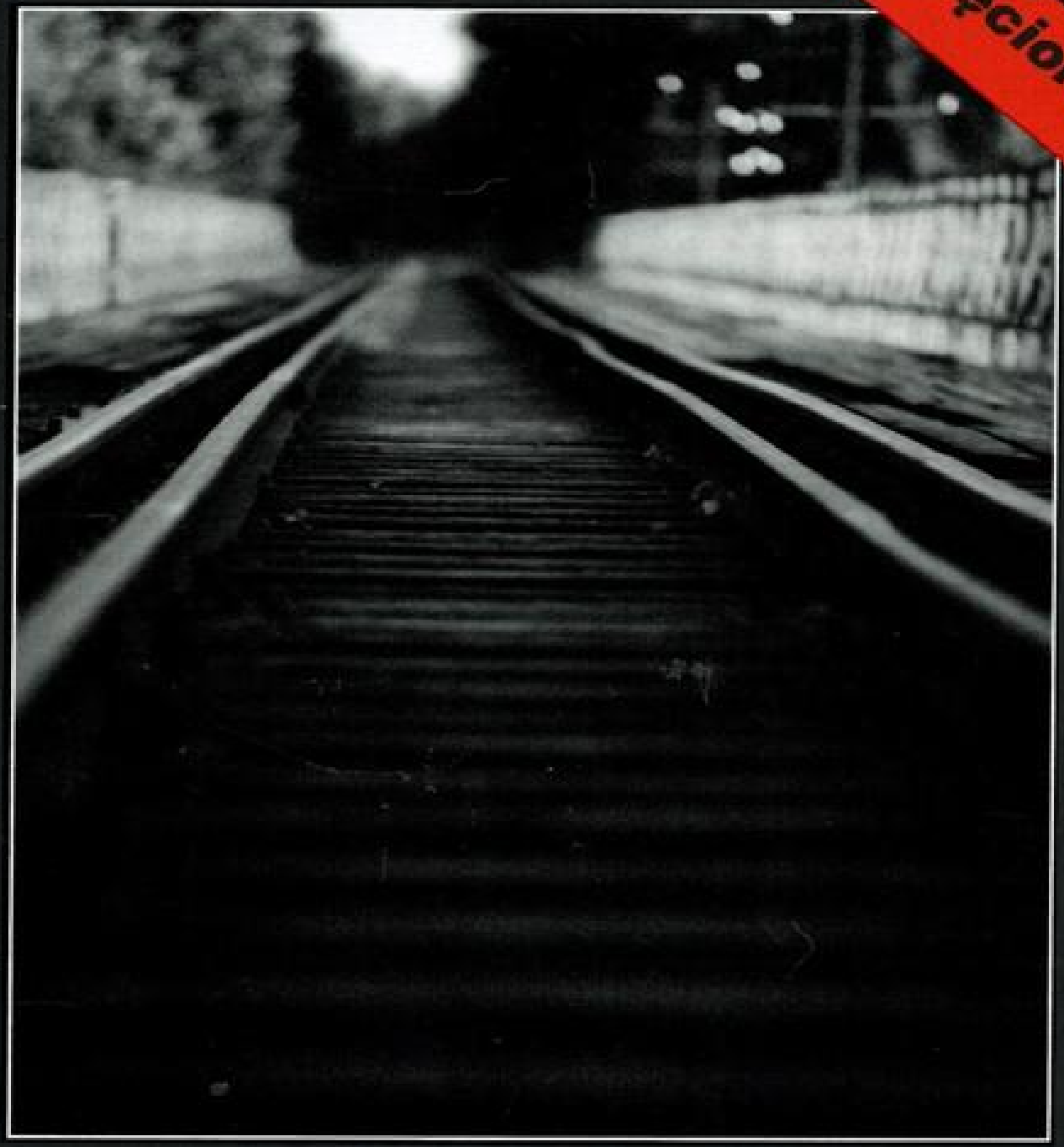

JAN

balabán

wakacje

możliwe, że odchodzimy

jan balabán

wakacje

---

możliwe, że odchodzimy

Przełożyła
Julia Różewicz
Wydawnictwo Afera
Wrocław 2011

Tytuł oryginałów:
Prázdniny; wydawnictwo HOST, Brno 1998
Možná že odcházíme; wydawnictwo HOST, Brno 2004
Redakcja:
Aleksandra Zoń
Konsultacja przekładu:
Petr Hruška
Korekta:
zespół
Projekt okładki i przekładek:
Anna Wiśniewska
Zdjęcie na czwartej stronie okładki:
David Konečný
Copyright © by Jan Balabán and heirs. All rights reserved.
Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Afera, Wroclaw 2011
Copyright © for the Polish translation by Julia Różewicz
ISBN 978-83-932120-1-9
Wydawnictwo Afera
www.wydawnictwoafera.pl
www.janbalaban.pl
kontakt: biuro@wydawnictwoafera.pl
Wydanie I, Wrocław 2011
Skład: Manufaktura Dobrych Pomysłów
Druk: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN

Spis treści

Okładka
Karta tytułowa
Karta redakcyjna
wakacje
- BEZSENNOŚĆ
- PRZEMIANY
- W NIEDZIELĘ
- Z TYM JAK Z DZIECIAKIEM
- ARMAGEDON
- SYLWESTER SVINOV
- PO POŁUDNIU I WIECZOREM
- NATALIA
- NIEŚMIERTELNY
- WYZNAWCA
- MOVING INTO THE UNIVERSE...
- PILOT
- WAKACJE
- SIANO
- BAŁKANY
- NIEDŹWIEDŹ POLARNY TELECOMU

możliwe, że odchodzimy
- EMIL
- DIANA
- MAGDA
- BETESDA
- URSZULA
- KARUZELA
- U KOMUNISTÓW
- GŁOS JEGO PANA
- PYRRHULA PYRRHULA
- KIELONEK NA DROGĘ
- GABRIEL
- CEDR I MŁOTEK
- MŁODY
- TRICERATOPS
- DZIECIĘ PŁONĄCE
- KONIE NA SALAMI
- EDYTA
- I PTAKI TEŻ[11]
- TERRORYSTKA
- RAY BRADBURY

Przypisy
Informacje wydawcy
Okładka

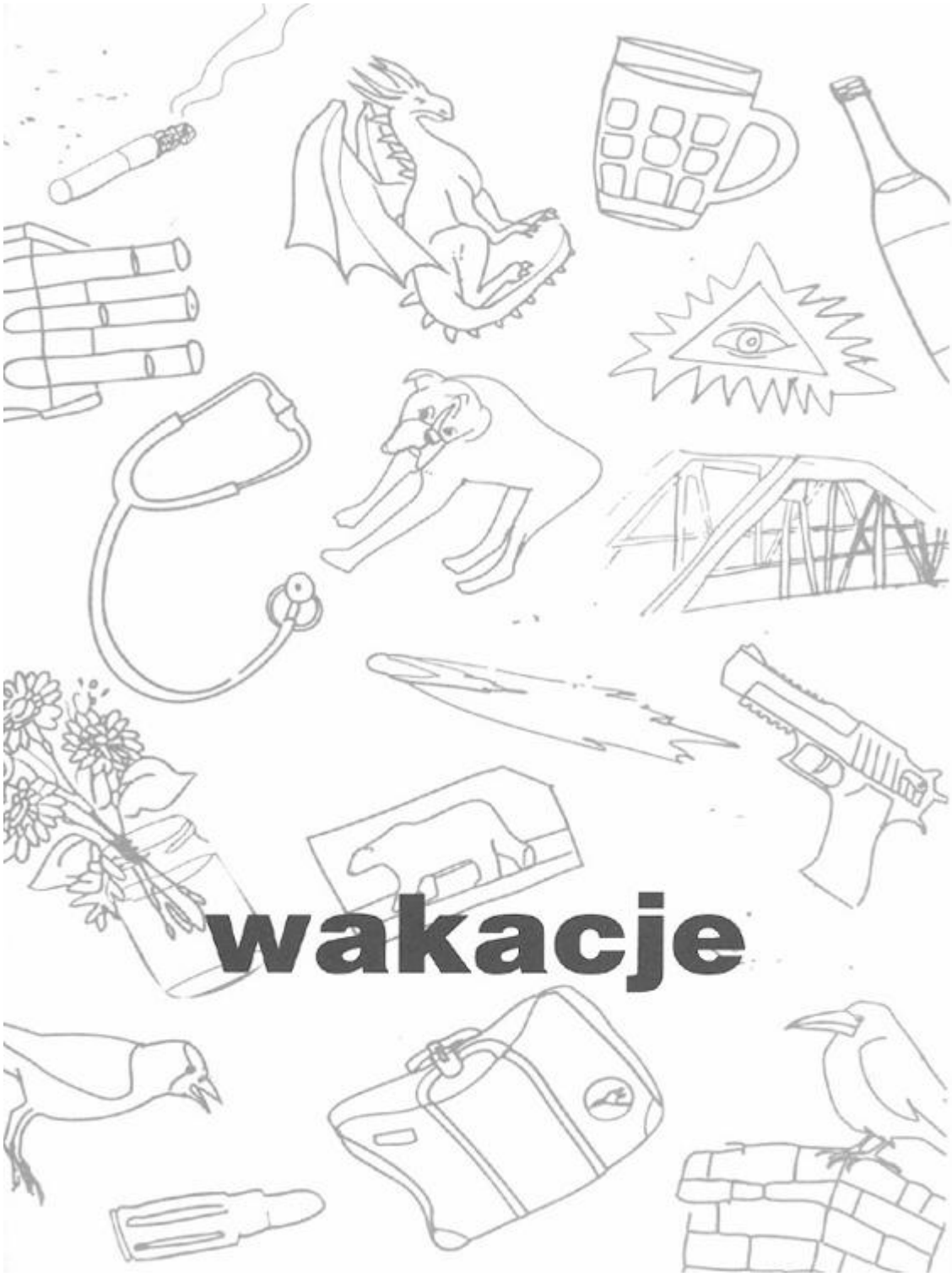
wakacje

BEZSENNOŚĆ

Danielowi Niedostałowi rzadko kiedy udaje się spać nieprzerwanie dłużej niż dwie godziny. Potarganymi nocami błąka się po mieszkaniu, je herbatniki, pije wodę z kranu albo mleko z lodówki, niepotrzebnie siada na desce klozetowej, po czym włazi z powrotem do łóżka, żeby powrócić do rozpoczętego snu, gdzie domyśla do końca sprawy, których nie zdążył w życiu domyślić, i dożywa tego, czego nie zdążył dożyć.

Patrząc na bezlistną lipę, na którą padało zimne światło ulicznej latarni, dał się złapać wspomnieniu. Umarła w zeszłym roku. Asfalt zatruł jej korzenie. Nie była stara, tak koło trzydziestki. Pacjentka – okulary, spinka na skroni i skromny uśmiech protestantki.

Exitus przeistoczył ją w coś nieokreślonego, w coś, czego już nie ma. Kiedy ktoś na oddziale umiera, wokół pachnie już tylko dezynfekcją. Miał wtedy nocny dyżur. Gdy było po wszystkim, usiadł na brzegu łóżka w pokoju odwiedzin, z czerwonym wężykiem stetoskopu zarzuconym na szyję, w rozpiętej białej bluzie. Na masywnej piersi zasychał mu pot, a on myślał o tym, jak ma się przyzwyczaić do rzeczy, do których przyzwyczaić się nie może.

To było trzydzieści lat temu, wtedy nie cierpiał jeszcze na bezsenność. Teraz siorbie wodę i czuje, że wszędzie wokół rozpościera się miasto, w którym umierają ludzie, a na nim nie robi to już wrażenia. Większość moich pacjentów już umarła. Będę dźwigał tę świadomość do momentu, kiedy po raz ostatni minę portiernię szpitala. Pójdę na emeryturę. Do końca życia będę jednak dźwigał historie chorób niczym tarczę, to Bóg będzie musiał zdecydować, czy postępowałem słusznie.

Siedem dni stworzenia świata. Powtarza się co tydzień. Co siedem lat. Co siedemdziesiąt lat. Później ja nie będę się już powtarzał. A przecież moje życie mogło się skończyć dużo wcześniej. Do dziś słyszy własne kroki dudniące na blaszanej rampie. Uciekał z mostu, który chyba z nudów, bo pod sam koniec wojny, podpalili żołnierze. Jakby chcieli zabić tylko jego i tych paru chłopaków, którzy się tam bawili. Potem jeszcze zapalenie nerek – umierał na nie w szpitalu w Brnie jako student medycyny. Ojciec powiedział mu wtedy: wstań, żona go wsparła, no więc nie umarł i skończył

studia. Pogotowie wojskowe za czasów kryzysu karaibskiego, ostre naboje, szpital polowy, upijanie się z bezsilności – wojna światowa na karku. Co siedem lat jeden łuk mostu, lecz wciąż nie widać drugiego brzegu. Daniel Niedostał chciałby móc wyglądać go z radosną nadzieją pobożnych starców. Wyprowadził jednak ze świata zbyt wielu pobożnych, bezbożnych i tych, którzy nawet nie zdążyli dobrze świata zobaczyć. Teraz wypełnia go milczenie. Cisza, która jako jedyna może być modlitwą starego lekarza.

Znowu kładzie się do niewystygłego jeszcze łóżka. Słucha oddechu żony, z pokoju obok dobiegają nocne szmery wnucząt, które zostawił im na sobotę i niedzielę rozwiedziony syn. Zasypia po raz trzeci tej nocy. Syn i sen. To brzmi jak odległy dzwon. Sen i syn. Dzwon odzywa się nad krainą wyrytą w ziemi jak wielki kamieniołom. Pełną miast i wsi. Rozległy płat suchych siedlisk, gdzie nie mogą, ale muszą żyć ludzie. Jakby nakazał im ktoś w rodzaju Stalina. Tyran najlepszy ze wszystkich ludzi na świecie. A oni pracują dla niego w kamieniołomie, którego granic nie widać. Daniel nie pracuje. Stoi przed zapylonym budynkiem szpitala, czując na języku uciążliwy smak chwili obecnej.

Potem odzywa się coś strasznego. Jakby zrywanie stali. Patrzy w górę. Między chmurami leci czarna konstrukcja mostu. Luki, które za czasów wojny przekraczały rzekę Morawę, a za nimi kolejne i kolejne. Sypią się z nieba niczym straszliwe złomowisko, a w miejscach, gdzie spadną, wyrzucają w powietrze gejzery gliny i gruzu. Między mostami błyskają jasnoczerwone punkciki. Ostre igły krzyżują się we wszystkich kierunkach. Cewniki, sondy, igły uśmiercają ludzi. Daniel Niedostał dostrzega uciekających do gniazd w kraterach, mierzwiących się wśród iskier, które stopniowo okalają wszystko niezliczonymi więzami złotych nici. W końcu ogromna iskrząca się sieć oplata świat i ludzie umierają. Daniel Niedostał nie rozumie, dlaczego nie oplotła jego. Widzi teraz świat kłębiący się w jednym kotle, podczas gdy on sam pozostaje nietknięty. Jakby nie istniał. Wszystko co z niego pozostało, to niematerialny pogląd, który nie ma oczu, którymi mógłby płakać, ani rąk, którymi mógłby sobie te oczy zasłonić.

Apokalipsę przerwał nagle gwałtowny, krztuszący kaszel. Daniel obudził się, leżąc na wznak z ręką na oczach. Gdzieś na krawędzi zioną jeszcze czerwone igły i złote nici, ale pośrodku pnie się już okno z zasłoną, a w nim kilka oświetlonych okien domu z naprzeciwka. Kolejny napad kaszlu. To Ludwik, starsze z wnucząt. Kaszle już tydzień. Daniel wstaje, obraca chłopca na plecy i poprawia poduszkę, żeby miał ją bardziej pod

głową. Chłopiec znowu zasypia. Robotnicy wstają na poranną szychtę. Daniel siada na brzegu łóżka i czuje zmęczenie, którego nie ukoi już żaden sen.

PRZEMIANY

Doktor Satinsky postanowił zmienić swoje życie. Dotąd żył jak zwierzę. Dzień w dzień pił i przejadał się śmieciowym żarciem. Pracował w szpitalu jako pomocnik murarza. Wstydził się przyznać, że boi się szefa. Wcześniej pracował w instytucie badawczym mikrobiologii. Można powiedzieć, że był ojcem projektu dziecka z probówki. Możliwe że Bóg, w którego nie wierzył, go za to pokarał. Rzucił go na kolana. Zadał się z wyzwoloną seksualnie barmanką o smaku czekoladopodobnym. Rozbił swoją rodzinę. Zaczął chlać i zasypiać w barach z głową na stole. Wyleciał z instytutu, a w końcu też od barmanki.

Pudła z książkami, jakaś bielizna, garnitur po ojcu, sto dwadzieścia kilo żywej wagi, płaszcz tak ciężki, że zamiast wieszaczka miał łańcuszek od korka do wanny, i łopata u murarzy w szpitalu. Wciąż nie mógł w to uwierzyć. Zaciął się w sobie, szukając jądra problemu w filozofii kosmosu. Rozmyślał co, o czym nie wie, może istnieć. W jaki sposób może istnieć rzecz, której dla niego nie ma, ponieważ nie wstąpiła ona do jego świadomości. Chlał, rozmyślając, dlaczego w ogóle coś wstępuje do świadomości, a jeśli coś, to dlaczego nie wszystko. Nie potrafił ubrać tego w słowa. Długo siedział na balkonie, opierając się czołem o barierkę, i milczał, potem mówił: hm, i znowu milczał. Starał się wyobrazić sobie to, czego nie może sobie wyobrazić, bo istnieje poza jego wyobraźnią.

Z pracy do domu wracał w drelichu. Zawsze szedł prosto do piwnicy, tam przebierał się w sweter i dresy, po czym jechał windą na górę do mieszkania, które odstąpiła mu matka, skoro już tak skończył. Jego robocze ogrodniczki istniały w piwnicy. Wiedział o nich. Jego żona i syn istnieli u rodziców żony, z nimi też było wszystko w porządku, wiedział o nich, nie wiedział jednak, co jest w głębinach kosmosu albo w mikroświecie, tam poruszają się jednostki, o których nie ma pojęcia. To nie do zniesienia.

Pił wino jabłkowe, kucając przy lodówce, z której kiedyś kompletnie wszystko wyżarł. Nie miał pieniędzy i czuł nieznośną mękę, że nie wie o tym, co istnieje. On nie jest przecież żadnym agnostykiem jak Tatiana. Tatiana była bardzo ładną i bezczelną dziewczyną z dużymi ustami. Poznał ją w knajpie. Powiedziała mu: To czego nie pamiętam, nie istnieje, i

chciała, żeby poszedł z nią tańczyć do klubu Kobra. Nie poszedł. Równie dobrze mogłaby zabrać ze sobą niedźwiedzia. Byłby mniej żałosny niż studwudziestokilowy biolog w swetrze i dresach. Tatiana myślała szybko, a na swoim jasno wyznaczonym lodzie jeździła z wirtuozerią angielskiej łyżwiarki. Nie przejmowała się okalającą lodowisko bandą. Raz poszli ze sobą do łóżka, ale nie wyszło im to za dobrze. Doktor Satinsky śmierdział potem, musieli więc wypić dużo wódki, a później cały akt przypominał raczej zapasy dwóch ślepców. Nie przestali się spotykać, ale więcej już tego nie próbowali. Ponadto doktor Satinsky nie mógł zrozumieć, że Tatianie nie przeszkadza, że nie wie o tym, o czym właściwie on też nie wie. Wariował od tego.

Odstawił pustą butelkę na podłogę i zjadł ostatni trójkącik topionego sera, który został w lodówce. Był pijany i nie potrafił sobie pomóc. Myślał o dziecku w probówce. W sposób bezbłędny połączyli w laboratorium jajeczko ze spermą i poczęli człowieka. Wino jabłkowe kisiło mu mózg. Przecież to był opisany proces, nie było w tym nic nieznanego ani ciekawego. Chyba tylko... Dlaczego właściwie przy całej rozległości i nieskończonej złożoności kosmosu zajmowali się akurat tym? Tego nie wiedział. Skulony na podłodze gapił się w sufit. Przecież on nie wie właściwie nic o tym, co uruchomiło wszystkie permutacje od chwili powstania wszechświata, do momentu kiedy mieszali komórki płciowe w laboratorium. Teraz został więc całkowicie opuszczony, wydany. Istoty, o których nie wie, nie wstępują do jego świadomości, ale do jego życia. A on nie jest przecież żadnym agnostykiem jak Tatiana. Mimo że właśnie wala się po podłodze jak prosię, wie, dlaczego tak jest. Każdy krok jest czymś uwarunkowany. Ale czym jest uwarunkowane to uwarunkowanie? Dlaczego w ogóle rozmyśla? Uderzył głową w podłogę, po czym przestał rozmyślać.

Nazajutrz zdecydował, że zmieni swoje życie. Złożył wypowiedzenie u murarza. Przestał pić alkohol, ograniczył jedzenie. Codziennie biegał w parku miejskim. Zaczął chodzić i sypiać z Tatianą. Kilkakrotnie spotkał się ze swoją żoną i synem jak przyzwoity odseparowany ojciec. Z czasem schudł tak, że mieścił się w swoje dżinsy z gimnazjum. Zaczesywał włosy do tyłu. Znalazł pracę jako chemik w fabryce farmaceutycznej. Oddał matce mieszkanie i wprowadził się do kawalerki w bloku na osiedlu. Zerwał niegustowne tapety i wybielił ściany. Kupił sobie lampkę na biurko. Konsekwentnie mówił dzień dobry sąsiadom i mył schody.

Raz nawet był z Tatianą potańczyć w klubie Kobra. Oboje stwierdzili, że to bzdura, i poszli do jego kawalerki. Pili mocną herbatę i palili cygara. Tatiana była milcząca i kąśliwa. Powiedziała: Nie rozumiem, kto cię tak odmienił. To nie byłam ja. Nie miałeś żadnego powodu, o którym bym wiedziała. To obłuda, boję się tego. jesteś taki chudy i pozytywny. To się nie stało samo z siebie, boję się, że znów najdzie cię coś podobnego. Proponował, że mogliby mieć dziecko, że mogliby razem mieszkać. A ona ciągle, że nie może w to uwierzyć, że coś się za tym musi kryć, i że nie i nie, dopóki tego nie zrozumie. I dlaczego mieliby mieć razem dziecko? A co jeśli nagle ona zacznie szaleć tak jak kiedyś on? Puści się na przykład z jakimś barmanem. Jeśli ludzie zmieniają się ot tak, wszystko jest możliwe.

Doktor Satinsky wyszedł na balkon. Czuł się chudy i wycieńczony całą tą abstynencją, zarżnięty wszystkim tym, co sobie wyrządził. Potem trzasnęły drzwi. Tatiana odeszła. Wrócił do mieszkania i zaczął się pakować. Machinalnie i precyzyjnie układał w walizce najpotrzebniejsze rzeczy. Wiedział, że musi odejść, ale nie miał pojęcia dokąd.

W NIEDZIELĘ

Otworzył lodówkę i wlał w siebie resztkę niedopitego piwa. Przez kuchenne okno dostrzegł w szkarłatnej smudze nad dachem przeciwległego domu stado czarnych ptaków Gawrony i kawki, leciały w stronę miasta jak strzęp dymu. Kłębowisko żywej sadzy. Postawił wodę na kawę. W pokoju dzieci coś się poruszyło. Zaraz wstaną i włączą te okropne bajki Disneya. Kaczki z Kaczogrodu. – Ciągle ktoś odbiera mi dzieci – westchnął Paweł, w niedzielę przed ranem obserwując stada czarnych ptaków ponad antenami i kominami.

Jak wygląda kawka? Zgrabnie przycięte drewienko. W szerszy koniec wbijasz w poprzek długi gwóźdź tak, żeby wystawał z drugiej strony jak dziób. Wyobrażasz sobie skrzydła i ogon i już masz kukiełkę. Jeżeli będziesz zręcznie pociągał za sznurki, powstanie kawka, która polatuje sobie nisko nad ziemią, podskakuje, podziobuje i radośnie podśpiewuje – Tia, tia! W niedzielny ranek na wsi, na placyku pod kościołem, Pawełek Niedostał już umyty i odświętnie ubrany podskakuje jej śladem. Mówią, że kawkę można oswoić. Potem chodzi za człowiekiem jak piesek. Ponoć można ją nawet nauczyć mówić, ale nikomu się to jeszcze nie udało.

Gdyby chociaż mógł pójść do pracy, skoro do kościoła już nie zagląda. Woda się gotuje. Na podłodze w przedpokoju plasnęły dziecięce kroczki i zaraz zabrzmiał hejnał Disneylandu. Dokładni jak w zegarku.

– Lecz nie zawsze tak było – Paweł Niedostał patrzył na pozostały po kawkach blednący szkarłat i mówił do dzieci, które i tak nie słyszały go sprzed telewizora. – Niedziela zaczynała się już w sobotę wieczorem. Cały dom pięknie wysprzątany. Obrusy wyprasowane. Wykrochmalona dziergana serweta rozłożona na narzucie łóżka. Królik w brytfannie podłożonej dwoma kawałkami drewna w komórce. Jeszcze tylko zamieść podwórze i wymienić kwiaty w wazonach. Drożdżówki leżą już na porcelanowych półmiskach przykryte ściereczkami, żeby nie siadały na nich muchy. Cóż za błogość wetknąć rękę pod płótno i ukraść jedną. W przedsionku stoją w rządku półbuty i trzewiki, czekają na starsze dzieci. Umyć, wypastować i wypolerować. Ojciec jeszcze sprawdzi, poprawi. Właściwie nie istnieje but idealnie wypolerowany. Jednak do ideału możesz

się zbliżać małymi kroczkami każdej soboty. W łazience emaliowany bęben sypie do wanny gorącą wodę. Najpierw dzieci. Wszystkie wkładają potem czyste piżamy. Zasypianie nie trwa długo. Cienie przesuwają się po suficie tylko przez chwilę. Otulasz się pierzyną. Troszeczkę się czegoś boisz. Chciałbyś się jeszcze pomodlić, lecz zasypiasz, w bożej łasce.

Paweł Niedostał zrobił kawę i zaniósł jeden kubek żonie, która jeszcze nie wstała z łóżka. Rzucili w swoją stronę kilka nieprzychylnych słów. Wrócił do kuchni. Raz, jako chłopiec, znalazł kawkę tak przemokniętą, że nie mogła latać. Zamknął ją w pustej królikarni, żeby się osuszyła. Dał jej twaróg, całe ćwierć kilo. Każdy wie – kawki twaróg lubią. – Tia! – powiedziała mu kawka i zjadła ćwierć kilo twarogu, obłudnie łypiąc na niego zza krat. Kiedy po jakimś czasie ją wypuścił, odeszła w gniewie i nigdy już nie wróciła.

Dzieci przybiegły do kuchni, chwyciły po jogurcie z lodówki i zaniosły sobie przed telewizor. – ...Potem szło się do kościoła, pod górę, drogą między zagonami piwonii. Mężczyźni i kobiety, którym Bóg błogosławił wierność małżeńską i pracę. I ich dzieci, a wśród nich Pawełek Niedostał, który nie mógł się doczekać końca kazania, choć oczywiście wierzył, ach, jak wierzył. Po kościele uściski dłoni, pozdrowienia, uśmiechy, obiad, zupa – w niej dużo tego zielonego, co rośnie w ogrodzie. Pieczony królik. Kto chce serce? Ja nie! Ja też nie! A ja chętnie zjem. Małe jak psie gówienko. Po południu, po kawie i myciu naczyń, wypada kogoś odwiedzić, na przykład starszą panią, która nie da rady sama pójść na mszę. Wypada też napisać list do kogoś bliskiego, samotnego. Możesz również wyciągnąć sobie królika z królikarni, trzymać na rękach i wierzyć, że cię lubi. Czujesz, jak bije mu serce.

Paweł Niedostał ma w kuchni dylemat. Zrobić sobie jeszcze jedną kawę czy otworzyć świeże piwo? Może powinien jednak zajrzeć do kościoła? Posłuchać proboszcza, konfidenta minionego reżimu, który znów jest prałatem i przeżuwa Ewangelię jak gumę do żucia bez cukru? Czy grzesznik może pojawić się w zborze? Czy człowiekowi może być zarazem dobrze i źle? Bóg jeden wie.

Ostatecznie bezradnie stanął w drzwiach pokoju dziennego. Patrzył na swoich potomków i pojął, że są tak prawdziwi i żywi, że nie skrzywdzi ich żadna mała syrenka. A on, ich ojciec? Czuł się jak ta kawka. A raczej jak drewienko z gwoździem w głowie. Chciałby coś powiedzieć, ale niestety, nikt jeszcze nie nauczył go mówić.

Z TYM JAK Z DZIECIAKIEM

Musiał się na chwilę zatrzymać. Powieki mu opadały, oczy piekły, a we mgle oświetlonej reflektorami auta miał przywidzenia nieistniejących samochodów. Zjechał z szosy na żwirowy parking. Wysiadł z auta i zaczął cicho lamentować nad życiem, przed którym chciał odjechać. Pusty rów, zarośla, zamglone pole i to wszystko. Jak chętnie napiłby się teraz ciepłej kawy z termosu. Ale życie nie zapewnia aż takiego komfortu. Raczej papierosa. Jak w wojsku, ogrzać sobie gębę i ciąć metr krawiecki[1], którego końca nie widać. Jestem dokładnie pomiędzy jednym a drugim bezkresem, więc żaden mój ruch, nawet gdybym zamiast tej starej skody miał najszybszą furę, nie posunie mnie ani o milimetr do celu. Zakończył swoje rozważania, patrząc tępo na krzaki za rowem niczym jakiś bawół.

Nie wiedział, czy to przez bawoła, do którego siebie porównał, czy przez puste, martwo oświetlone zarośla za rowem, ale przypomniał mu się podobny postój na autostradzie niedaleko miasta Buffalo. Przed laty, kiedy myślał jeszcze o sobie poważnie, wybrał się do Stanów Zjednoczonych, żeby poćwiczyć angielski i poznać świat. Wszystko wyglądało tam tak samo jak tu. Żwir, trawa i zarośla są chyba identyczne na całym świecie, przynajmniej w naszej szerokości geograficznej. Wtedy do zrobienia postoju skłoniło go nie zmęczenie, ale dziwny dźwięk wydobywający się z silnika. Bulgoczące charczenie, jakby samochodowi robiło się niedobrze. Wczesny ranek, jeszcze prawie ciemno, a on pośrodku niczego z zepsutym wypożyczonym autem, którego nie rozumie. Bezradnie zaglądał pod maskę. Co robić? Wypalił parę papierosów, tępo wpatrując się w zarośla przy szosie, jakby miało z nich wyleźć coś, co go uratuje. Potem zdecydował, że powoli pojedzie dalej bez względu na dźwięk, zatrzyma się dopiero na jakiejś stacji benzynowej albo przy serwisie.

Cicho popadał w rozpacz, czekając, aż z silnika zacznie się dymić i wybuchną płomienie. Ręce cierpły mu na kierownicy i zastanawiał się, po co to wszystko. Po co jedzie z Niagary do Buffalo.

Zrobił się dzień i doktor Satinsky zobaczył w płaskim krajobrazie przed sobą masywne konstrukcje mostów i wieże miasta nad brzegiem jeziora. Na skrzyżowaniu przed mostami mała stacja benzynowa. Zatrzymał się.

Przestało charczeć. W blaszanej budzie koło dystrybutorów siedziało troje ludzi. Murzynka w roboczych ogrodniczkach i pięknej kolorowej chuście na głowie, miała matczyny wyraz twarzy, a w jej oczach jakby ciągle stały łzy; stary Murzyn w kapeluszu, ręce splecione na rączce laski i siwa broda na splecionych dłoniach, nie było widać jego twarzy; i młody chłopaczek który, sądząc po wieku, mógłby być ich synem, ale był biały. Kafar z twardą gębą i ogoloną głową, całe ubranie usmarowane wazeliną i olejem. Pili kawę i dało się zauważyć, że w jakiś sposób do siebie należą. Doktor Satinsky zaczął objaśniać swój problem. Patrzyli na niego każde z osobna, bez szczególnego zainteresowania, aż odniósł wrażenie, że go nie rozumieją. Tu przerwał mu młody chłopaczek:

– Słychać, że to rura wydechowa. Chyba nieszczelna.

– Może pan rzucić okiem?

– Hm – powiedział młody, nie ruszając się z miejsca. W jednej ręce trzymał kawę, w drugiej papierosa. Chyba nic z tego.

– Kawy? – zapytała doktora Murzynka.

– Tak, poproszę.

Nalała do kubeczka niesmaczną papkowatą neskę. Podając, patrzyła z takim współczuciem, jakby za chwilę miało go spotkać coś okropnego. Ostatnia kawa, zanim cię zadźgamy, okradniemy i zrzucimy z mostu do jeziora, przeszło przez myśl doktorowi. Bzdura, to mili ludzie, jakby wycięci z jakiegoś filmu obyczajowego. Wszystko wydawało mu się nierzeczywiste. A jak mu tego nie naprawi i będzie musiał tu zostać na zawsze?

Młodzik podniósł się i ruszył w stronę auta.

– Niemieckie – powiedział z pogardą, kiedy doszli do wypożyczonego volkswagena. Doktor podniósł maskę, młodzik zajrzał do środka.

– Niech pan go odpali.

Znowu odezwało się obrzydliwe charczenie. Młodzik zniknął pod maską i po chwili wynurzył się z uśmiechem.

– Tak jak mówiłem, uszczelka w rurze wydechowej. Trzeba wymienić.

– Może pan? Zapłacę – zaproponował skwapliwie doktor.

– Nie, nie w niemieckim aucie. Takich uszczelek to ja nie mam.

– Więc co z tym zrobić?

– Nic.

– Nic?

– Nic, normalnie pan jedzie dalej, jest okej.

– A ten dźwięk?

– Od tego dźwięku autu nic się nie stanie, tylko pana będzie wkurzał.

– Serio?

– Serio. Z tym jak z dzieciakiem, też ryczy, ale przecież nie umiera – zamknął sprawę mechanik i podążył z powrotem do budy.

Doktor Satinsky ruszył w stronę potwornych żelaznych konstrukcji, starając się nie słuchać tego szarpiącego nerwy dźwięku, który miał mu towarzyszyć już przez całą drogę.

Zastanawiał się, jak ludzie mogą po prostu mieszkać sobie koło stacji benzynowej i wszystko tak dobrze rozumieć.

Jak z dzieciakiem, powtarzał sobie teraz na żwirowym parkingu między polami, wspominając czasy, kiedy całe noce nosił na rękach swojego płaczącego syna. Przecież nie umiera. Tak trzeba do tego podchodzić. Po amerykańsku. Wgramolił się do auta, uruchomił silnik, włączył bieg i ruszył śladem swoich przywidzeń.

ARMAGEDON

Z komina wije się cienki pasek białego dymu, rozpływając w błękicie zimowego nieba. Skądś przyleciała wrona i usiadła na ciepłym murze tuż obok kopcącego wylotu. Mróz jak na Syberii, lecz wewnątrz domku jest ciepło. W salonie siedzą trzy kobiety. Ani choinka, ani świąteczne wypieki, ani kolędy nie są w stanie przysłonić nastroju, jaki tu panuje.

– Nie da się chłopaka ubezwłasnowolnić, a on nas przecież całkiem wykończy! – użalały się kobiety na wspólne zmartwienie. Na swojego syna, wnuka i prawnuka, Szczepana Żurawia. Karetka właśnie zabrała go do szpitala.

Szczepan coś się nie udał. Prześladował go pech, zanim się jeszcze urodził. Matka miała go bez ślubu. Biedna dziewczyna. Jakoś szybko urosły jej piersi, więc już od podstawówki nieustannie ktoś się z nią droczył albo obłapiał. Nie żeby jej się spodobało, ale jakoś pogodziła się z tym losem, a może po prostu nie potrafiła odmawiać, i z czasem stała się z niej taka, jak to się mówi, dupodajka. Starsze chłopaki, które z czystej jurności namawiały ją na Bóg wie co, koniec końców pożenili się z innymi dziewczynami. Teraz pracują i przynoszą żonom niezłe pensje. Kvieta Żuraw wpadła, a z całej tej zabawy ostał się jej bękarcik imieniem Szczepan.

Później Kviecie też nie wiodło się najlepiej. Zła opinia przyciągała do niej złych mężczyzn. Żaden z nią zbyt długo nie wytrzymywał i wszyscy nienawidzili tego niewydarzonego Szczepana. Nieznośny i bezczelny już w powijakach. W dzień spał, w nocy ryczał. Wszystko na opak. Nie chciał jeść, pluł jedzeniem naokoło. W żłobku nie wysiedział, a babcię dręczył ciągłym marudzeniem i pyskowaniem. W przedszkolu kradł zabawki. W piaskownicy rozbił jakiemuś chłopakowi głowę.

Straszny łobuz. Właściwie Kvieta się go bała. Nikt nie wiedział, co naprawdę dzieje się w jego głowie, i nikt się nawet o to nie troszczył. Cieszyli się, kiedy go nie było. No to go nie było. Włóczył się całymi dniami.

– Jak to, nie chcesz wiedzieć, gdzie twój syn szwenda się całymi dniami? – wypominała Kviecie matka.

– Lepiej nie – odpowiadała apatycznie Kvieta.

W tym „lepiej nie” Szczepan żył zagubiony jak w najciemniejszym z lasów. Przedzierał się przez zarośla obcych ludzi. W szkole pały, w zawodówce papierosy i piwo, w wojsku chamstwo, w międzyczasie nic.

Raz skopał na śmierć kotkę w piwnicy. Zapędził ją w róg. Chciała wydrapać mu oczy. Tak bardzo było mu jej potem żal. Nosił na rękach stygnące zmarłe ciałko i przytrzymywał głowę, która wywracała się na wszystkie strony. Płakał. Tak bardzo podobały mu się dziewczyny, którym pod bluzkami rysowały się kształtne piersi. Tak bardzo trzymał w ramionach tę koteczkę. Tak bardzo onanizował się w ogrodowej altance, wciąż od nowa, aż do bólu. Taki był grzeczny, chodził z babcią na cmentarz, przynosił wodę ze studni, podlewał kwiatki na grobie dziadka i pradziadka. Przystojni z nich byli faceci, każdy wyglądał na zdjęciu w ramce jak pan młody. Ciekawe, czy Szczepan się kiedyś ożeni? Szczepanku, mówiła do niego babcia, prowadzała do kościoła. Babka się modliła, zaś Szczepan tak tylko popatrywał na ołtarz wyglądający jak najpiękniejszy kredens świata. A w tym kredensie jest Bóg, któremu on nigdy się nie przyzna, że ją skopał, zabił i zakopał. Nigdy nikomu nie powie, że codziennie po parę razy wali konia. Wstydził się, babka się modliła, on również pobożnie złożył ręce, żeby nikt nic nie zauważył.

Po wojsku nie poszedł do pracy. Włóczył się, pił. Jedna paczka, jedna knajpa, każdy dzień taki sam. Wszystko zlewało się w jedno, często nie wiedział, czy jest poniedziałek, czy piątek. Chlał tyle, że już nawet nie było mu niedobrze. Babcia namawiała, żeby poszedł do pracy, żeby się ustatkował i ożenił. Ale co mu z tego gadania? Porządnej pracy nie mógł znaleźć, a babę zawsze tylko taką, co dawała wszystkim.

I pewnie żyłby tak aż do śmierci, gdyby nie zagadnęło go dwóch sympatycznych mężczyzn. Powiedzieli, że są świadkami. Nie z sądu, tylko świadkami bożymi. Szczepan, który akurat miał kaca i był spłukany, cieszył się, że w ogóle ktoś z nim rozmawia. Wyjaśnili mu, że może żyć wiecznie w raju na ziemi, chociaż wszyscy grzesznicy i łajdacy zginą w piekielnych płomieniach. Uwierzył. Zaczął uczęszczać do Sali Królestwa, gdzie razem studiowali wolę bożą. Szczepan zaczął się myć i czesać. Babcia wyczyściła mu garnitur. Wyglądał bardzo schludnie. Bez wstydu spoglądał w lustro. W zborze świadków było dużo miłych ludzi. Pokazali mu książeczki, gdzie było napisane, jak dobrze żyć. Człowiek nie musi umierać, może żyć wiecznie, na ziemi wystarczy miejsca dla wszystkich. Zrozumiał, że

świadkowie to jedyni ludzie, którzy wiedzą, o co na tym świecie chodzi. Oglądał w ich czasopismach obrazy palących się miast i płomieni buchających z nieba. Wszędzie walają się trupy grzeszników, tylko świadkowie przechodzą przez to piekło nietknięci, uzbrojeni w swoją wiarę, która ich osłania. Przeżyją. Szczepan przeżyje!

Wówczas w Szczepanie rozległo się przenikliwym, ciemnym głosem coś, czego nie mogli pojąć nawet świadkowie. Czyjaś ręka waliła w bęben jego zapomnianej duszy. Dokładnie zrozumiał, co z nim, zagubionym dzieckiem bożym, zrobili ci wszyscy obrzydliwi faceci jego matki, koledzy ze szkoły, nauczycielki, majstrowie, trepy, gliniarze! Świat jest zły dla niego, dla syna bożego. Nikt o tym nie wie. Ale teraz odpłaci im z nawiązką. Nie on, ale Bóg. Jego Bóg – Jehowa odpłaci im wszystkim.

To uczucie przepełniało go tak mocno, że zamiast do świadków ruszył do knajpy. Spił się i wykrzykiwał na cały lokal, że nadejdzie sąd boży. – Na nas wszystkich! Armagedon, i nikt z was, kurwy, nikt, rozumiecie, nikt nie przeżyje!

Na knajpianym towarzystwie wywody Szczepana nie robiły specjalnego wrażenia. Ale świadkowie, którzy dowiedzieli się, że Szczepan znowu pije, zaczęli go napominać i ganić. A tego od małego nie znosił. Szczególnie teraz, kiedy zrozumiał, że Bóg jest po jego stronie. Przyszedł pijany na zebranie i pokłócił się z nimi. Wyrzucili go na zewnątrz, w ramach pokuty nałożyli na niego surową dyscyplinę i odmówili chrztu przez zanurzenie. A on olał całą tę ich pokutę i dyscyplinę. Właściwie już ich nie potrzebował. Spotykał się z kilkoma kompanami o podobnych poglądach w mieszkaniu, za które nie płacili, gdzie całe noce pili, mówili o Bogu jak o swoim ojcu, nazywali go „nasz tatko” i wyglądali końca świata. Koniec nie nadchodził, ale definitywne wyłączenie ze zboru i wysiedlenie z mieszkania nie dały na siebie długo czekać.

Na czerwonym niebie kraczą gawrony, które okrutny mróz przygnał do miasta w niezwykłych chmarach. W domach zapalają się światła obcych rodzin. Sala Królestwa jest zamknięta, została zapieczętowana taśmą policyjną, a on sam, przepity Szczepan Żuraw, wraca z wyrokiem w zawieszeniu i straszliwymi długami do domku na przedmieściach, do matki, babki i prababki.

Wpuściły go do środka. Było przed Bożym Narodzeniem, w domu pełno jedzenia. Szczepan, który od dawna nic nie jadł, nażarł się i opił jak zwierzę. Potem zrobiło mu się potwornie niedobrze. Drgawki. Gorączka.

Myślał, że umrze na miejscu. Babcia zadzwoniła po karetkę. W szpitalu zrobili mu płukanie żołądka i zostawili na obserwacji.

Na drugi dzień rano odwiedził go lekarz z jeszcze jednym facetem, w którym Szczepan od razu rozpoznał gliniarza. Powiedzieli, co się stało: w domku jego krewnych zapchał się komin i z kotła w piwnicy zaczął się ulatniać tlenek węgla, który szedł szczelinami wzdłuż rur do góry, zmieniając dom w komorę gazową.

– Wszystkie trzy... i kot – potwierdził policjant.

– Kot? – zapytał głupio Szczepan.

– Tak, kot, umarł zwinięty w kłębek na kanapie.

– Właściwie powinien pan podziękować Bogu za tę niestrawność – dopowiedział lekarz.

Śledztwo wykazało, że do komina wpadła wrona, która ogrzewając się na nim, otruła się oparami dymu. Przesłuchiwano także Szczepana Żurawia. Ze względu na swoją przeszłość, a także na to, że został jedynym spadkobiercą domku i wszelkiego majątku, przez jakiś czas był nawet podejrzany, że sam wrzucił ptaka do komina.

– Niemożliwe – obalił to podejrzenie pracownik policji kryminalnej. – Na dachu leży absolutnie nienaruszona warstwa śniegu. Żeby wrzucić tam wronę, musiałby chyba mieć skrzydła.

SYLWESTER SVINOV

Ostatni dzień roku, sylwester, jak to głupio brzmi! Naprawdę, tak może mieć na imię chyba tylko jakiś mięśniak. I jakie kretynizmy człowiek musi wtedy oglądać. Kiepskie filmy dla dzieci i dla dorosłych. Ten dzień jest właśnie takim filmem, rozpaczał Paweł Niedostał nad kalendarzem. W domu od samego rana panuje duszna atmosfera zagęszczona bezwładem życia, które się tu zatrzymało. W powietrzu wisi kłótnia. Wszyscy są podenerwowani, nawet dzieci, nawet pies kręci się niezdecydowanie i włazi pod stół. Dana chodzi wściekła po mieszkaniu w te i nazad, a Paweł wie, że powinni powiedzieć sobie o czymś ważnym. Nie powiedzą. Przełożą rozmowę na przyszły rok, tak jak to robią od wielu lat.

Nie da się tu wytrzymać, za chwilę strach będzie nawet oddychać. Paweł zdecydował, że zabierze dzieci i psa na długi spacer i wróci dopiero wieczorem.

– Nie przeszkadza ci to?

– Nie.

– Nie chcesz iść z nami?

– Nie, zdecydowanie nie.

Już są na dworze, Paweł, Ludwik, Katarzynka i Andy, bokser niemiecki, przyjaciel człowieka – najpoczciwsze i najgłupsze stworzenie na świecie.

W lasach łęgowych przy rzece Odrze zaczyna się odwilż. Pod śniegiem czuć błoto, lód na wodzie pęka, gałęzie drzew uginają się pod ładunkiem mokrego śniegu, a na szarym niebie krzyczą ptaki. Właściwie jest tu smutno. Dzieci wesoło strząsają śnieg z gałęzi, które uwolnione od jarzma wznoszą się jak ramiona człowieka, który odzyskał pewność siebie. Potem biegną w stronę lodu. To chyba niebezpieczne, niewiadomo, jak tam głęboko. Powinien im zabronić, choć właśnie sam też to robi, wygłupy na cienkiej warstwie lodu. Przecież mogą się utopić! Opamiętuje się, po czym woła Ludwika i Katarzynę z powrotem na brzeg.

Doszli do rozmarzłej sadzawki pełnej gnijących liści, między którymi skrzyły się srebrne bańki. Na środku sadzawki była wyspa. Musimy się na nią dostać, zdecydował Ludwik, pokazując palcem na przewrócone drzewo. Korzenie były na brzegu, korona na wyspie. Paweł szedł pierwszy,

prowadząc za rękę Katarzynę, za nimi niezależny już Ludwik. Zapomnieli jednak o Andym, który cały czas jak pomylony biegał po lesie, turlał się w śniegu i grzebał w rozmiękłej ziemi. Teraz z pyskiem umazaným gliną patrzy, jak jego ludzie kroczą po kłodzie. Bez niego. Wskoczył na przewrócony pień, chcąc ich wyprzedzić. Ludwik upadł na jedną stronę, Andy na drugą. Paweł z Katarzyną jakoś złapali równowagę. Ludwik grzęźnie w liściach pod taflą wody, wołając o pomoc, przerażony Andy gramoli się na brzeg. Kiedy Paweł w końcu wydostał Ludwika z sadzawki, ten był mokry od pasa w dół. Co teraz? Chłopak trzęsie się z zimna, a wszędzie mają daleko. Andy woli trzymać się z dala. Ale co z Ludwikiem? Katarzyna też się przestraszyła, jakby sama wpadła do wody. Beznadziejna sprawa. Sylwester. Lepiej żeby niektórych dni w ogóle nie było.

Wysuszyć się przy ogniu i przebrać w suche rzeczy. Zdjął Ludwikowi buty, mokre spodnie, rajtuzy i owinął w swoją kurtkę. Ciągle jeszcze przeklinał, lecz zarazem już się trochę cieszył, że sobie radzi. Na ognisko poszła cała gazeta, której nie zdążył przeczytać od rana. Wiązka suchej trzciny z pobliskiego stawu zapaliła się, od niej zajęły się cienkie gałązki i wreszcie grubsze drągi, które Katarzyna gorliwie przynosiła z lasu. Nagle zrobiło się ciepło. Ludwik się uspokoił. Skulony w kurtce ojca tylko cicho szczękał zębami. Zawsze jakoś to jest, myślał Paweł, susząc nad płomieniami mokre nogawki. Gdyby nic nie było, też musielibyśmy żyć. Spać w gnieździe, łapać żaby i piec je na ogniu. Polować na kaczki. Jak myślisz? Trafiłbyś ją kamieniem? Pośrodku zaśnieżonego lasu rozebrał się do slipów i dał chłopcu swoje kalesony i skarpetki. Teraz jeszcze trochę wysuszymy spodnie i buty i ruszamy na Svinov[2], stąd mamy tam najbliżej.

Chłopiec naciągnął sobie kalesony ojca prawie pod pachy i wyruszyli drogą między stawami, która prowadzi do starej gorzelni. Mroźny wiatr wżynał się Pawłowi w nagie kostki, ale i tak było mu dobrze. Lasy łęgowe przechodziły tu w tereny przemysłowe i dzikie wysypiska. Rozjechaną drogę tworzyło właściwie tylko lepiące się do nich błoto. Katarzyna w mgnieniu oka usmarowała się aż po tyłek, mokry Andy rozgrzewał się biegiem. To jest dopiero życie. Paweł opowiadał dzieciom przygody, które przeżył w harcerstwie. Trochę zmyślał, trochę w to wierzył. Legendy o zimowych biwakach i spływach po górskich rzekach, sam już nie wiedział, co przeżył sam, a co opowiadali mu inni. Tatusiu, masz całą brudną kurtkę na plecach, powiedziała Katarzyna. To chyba jasne, skoro siedział na niej Ludwik. Wszyscy się roześmiali. Do tego Andy na jednym z dzikich

wysypisk wytarzał się w jakimś czerwonym świństwie i śmierdział jak skunks.

W takim stanie doszli na dworzec Ostrawa Svinov. Na bocznym torze stoją tu stare wagony, w których mieszkają jacyś ludzie. Dymi się z rur kominowych, słychać muzykę z radia i krzykliwe rozmowy. Chyba już świętują sylwestra. Taki wagonik by nam wystarczył, prawda, tatusiu? Na dworcu zaszli do bufetu. Paweł w końcu zamówił piwo, ale przedtem herbatę. Podróżni i pijacy popatrywali na nich z rozbawieniem. To ci dopiero rodzinka. Tak smutno było w tym bufecie, tak pięknie smutno. Jeszcze jedno piwo i wafelki i idziemy, na dworze robi się szaro.

Żeby tylko wpuścili nas do tramwaju. Wpuścili. Nikt nawet nie pisnął, kiedy zabłoceni zajęli miejsca na siedzeniach. Byli nietykalni w nadzwyczajny sposób przysługujący zwykle trędowatym i bezdomnym. Paweł Niedostał, patrząc z miłością na swoich potomków, na czerwonego psa, na swoje gołe kostki i na ludzi wokół, myślał: Boże, to był rok. Ludwik i Katarzyna cicho szeptali o tym, że w nocy odpalą petardy.

PO POŁUDNIU I WIECZOREM

Karol leżał na wznak na łóżku i śnił. Pod powiekami widział wyspę na Morzu Północnym. Wyżej, w górach, jest smok. Kiedy chodzi po wyspie, góry się trzęsą. W lasach na nabrzeżu ukrywają się jeźdźcy, którzy zawsze wysypują się spośród drzew jak stado małych dzieci. Ich zabawy są poważne i niebezpieczne. Wysokie, podgórskie lasy zamieszkują inni jeźdźcy. Są tak olbrzymi, że ci mali czubkami swych przyłbic sięgają nieco ponad kopyta ich gniadych koni. Ramiona siedzących na nich mężczyzn giną w koronach drzew. Karol widzi z ziemi tylko brzuchy, żyły, końskie prącia i nogi jeźdźców w strzemionach. Są wielcy, jednak w porównaniu ze smokiem, który pełznie po wyspie, wszyscy są mali.

Podczas gdy Karol sobie leży i śni rozwalony na łóżku, szczęśliwy, że przez chwilę jest sam ze sobą, jego żona, Pavla, sprząta ze stołu w kuchni. Tylko dwa talerze i dwa kubki. Tęskni za dziećmi, które pojechały na wakacje, i jeszcze za czymś. Znowu wraca do niej zniewalające przeczucie, że gdzieś tutaj jest jedno zapomniane dziecko. Niemal czuje jego dotyk. Jak mogłam przez cały ten czas nie wiedzieć, że cię mam? No już, daj spokój, nie ciągnij mamy za spódnicę! Stoi sama na środku własnej kuchni i drży jak wyczerpana klacz.

Karol, który właśnie objeżdżał wyspę wraz z małymi jeźdźcami, potknął się i gwałtownie poruszył na łóżku, a łóżko, które już od lat nie skrzypiało, odezwało się. Pavla usłyszała ten dźwięk z kuchni. Chce się kochać z mężem? Po tylu latach stagnacji chce jej się chłopa? Z wściekłością wydęła wargi. No jasne! To jak skurcz. Mieć go w sobie. Być go pełną. Już rozumie, jak to możliwe, że baba zabija męża nożem kuchennym. Zawsze myślała, że nie jest tego wart, ale teraz! Policja mówi na to domowe świniobicie, wszędzie wszystkiego pełno. Fu! Nie chcę jeszcze być stara ani żeby mnie zamknęli. Rozumiesz, nie? Rozejrzała się po kuchni, jakby była w niej po raz pierwszy, czekając, kiedy pojawi się ta nieznajoma-znajoma twarzyczka. Paluszek puka do niewidzialnych drzwiczek. Nie ciągnij, nie ciągnij mnie za spódnicę!

Sen Karola zastygł. Skamieniał i zmienił się w płaskorzeźbę. W skale były wyryte zarysy wyspy, której szczyt otaczał smok. Pod nim z pasa

lasów wyglądali wielcy jeźdźcy, a niżej przy samym nabrzeżu stali na koniach mali jeźdźcy. Karol leżał samotnie, grubo wyciosany w kamieniu tam, gdzie kończyły się fale. Wszyscy znaleźli swoje miejsce. Gdyby tylko mogło tak pozostać, pomyślał Karol we śnie. Uchylił oczy i zobaczył w drzwiach pokoju swoją żonę. Wyglądała, jakby chciała mu coś zrobić. Położył się na boku i trochę skulił. Tak czuł się bezpieczniej. Czuł jej pogardę. Jakby zawsze wybaczała mu tylko na chwilę. Jakby tylko przymykała oko na jego wieczną winę. Nieprzerwane poczucie niepojętej zbrodni.

– Karol, śpisz? – zapytała Pavla niezwykle miękkim głosem. Długo nic nie mówił, obserwując ją spod przymrużonych oczu. Była jakby lekko zaczerwieniona. Czego też może od niego chcieć?

– Przysnąłem – przepraszająco powiedział Karol i wstał. Przemknął obok niej do przedpokoju, a potem do toalety.

Wieczorem Pavla napuściła sobie gorącej wody do wanny i wrzuciła do niej szczyptę pachnącej soli. Rozebrała się i spojrzała na swoje ciało w lustrze. Wchodząc do wody, poczuła w sobie morze. Przelewało się tak, jak dawno temu. Falowało długimi, delikatnymi ruchami. Wiedziała, co zrobi. Ładnie się umyje, nasmaruje balsamem, może się nawet podmaluje, i spróbuje z nim jeszcze raz. Pewnie on też od dawna tego pragnie, tylko boi się przyznać. No więc trochę go skuszę. Konspiracyjnie mrugnęła do siebie w lustrze.

Kiedy później, w szlafroku, cała atłasowa i pachnąca, wchodziła do sypialni, odrobinkę się wstydziła. Myślała, że Karol będzie jeszcze czytał, myliła się – mąż spał z twarzą zatopioną w poduszce na samym brzegu szerokiego łoża. Pavla musiała się do niego od swojej strony niezgrabnie dostać. Gramolić po materacach. Chodzenie na czworaka wydawało jej się wulgarne. Przytuliła się do śpiącego męża, który nie spał. Zaciekle trzymał oczy zamknięte, kuląc ramiona. Co jej strzeliło do głowy, niech da mi już spokój, myślał sobie, kiedy żona go głaskała. – Karol, Karol! – szeptała pieszczotliwie zdyszana. Karol, przyciskając ciało do materaca, marzył o swoich wyspach. Chciałby być żelazną klamrą pewnie wbitą w drewno, skoblem, którego nikt nie wyrwie i nie obróci, tak jak teraz próbuje to zrobić Pavla. Ile to jeszcze potrwa?

On się mnie boi, uświadomiła sobie nagle Pavla. Trzęsie się jak ratlerek. Serce mu bije. Jak żałośnie udaje sen. Oderwała od niego swoje ciało i zaczęła się wpatrywać w sufit. Ona tego potrzebuje, a on nie zamierza jej

tego dać. Czuła się jak kurwa. Wstała z łóżka i poszła do pokoju. Nawet nie chciało jej się płakać. Gdyby chociaż wróciły dzieci.

Później Karol naprawdę zasnął. Śniło mu się, że unosi się na morskiej wodzie twarzą w dół, patrząc w jasne głębiny, w których poruszają się dziwne stworzenia. Morze faluje długimi, delikatnymi ruchami i niesie go na nabrzeże wyspy, na której nigdy nie był, a jednak ją zna.

NATALIA

Doktor Satinsky przeszedł po grobli stawu gęsto porośniętego wysoką trawą wodną i skierował kroki ku świeżo wybielonej gajówce na skraju lasu. Ponad szczytami świerków wisiała w późnym popołudniu burzowa chmura, która gniotła letni dzień jak nieczyste sumienie. W takich chwilach bardziej zauważa się owady, a pot i wspomnienia naprzykrzają się z groźną uporczywością. Na tej drodze kiedyś sfotografowała ich matka – jego i brata, dwóch ostrzyżonych chłopaków. Lato tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Pstryk. Scena, skryta dotąd za jedwabną kartką, ożyła, a doktor Satinsky zadrżał ze wzruszenia, dokładnie w tym samym miejscu, w którym trzydzieści lat temu uchwycił go obiektyw trzymany w rękach matki, młodszej wtedy niż teraz był on.

Przyjechali wówczas na wakacje do cioci. No i znów idzie ją odwiedzić. Musi być już bardzo starą kobietą. O ile w ogóle żyje. Natalia, malarka, która była kiedyś w Paryżu. Gdy był chłopcem, opowiadała mu: – W drodze do Paryża tak rzucało samolotem, że wszyscy łącznie ze mną wymiotowali do worków. A w drodze powrotnej unosiliśmy się tak spokojnie, że kiedy postawiłam na stoliku ołówek, o w ten sposób, zobacz – przez całą drogę nawet nie drgnął.

Doktor Satinsky dopiero w tej chwili zdał sobie sprawę, że koniec owego ołówka skierowany był podczas lotu końcem, na którym stał, dokładnie do środka ziemi, podczas gdy jego rysik poruszał się po obwodzie ogromnego okręgu. Tylko tak mógł się nie przewrócić. Rzeczy są więc w ruchu kosmicznym nawet wtedy, kiedy ani drgną. W Paryżu ciocia zapoznała się ze sztuką współczesną i z drugą żoną Picassa. Niedługo po powrocie wybuchła w niej choroba psychiczna, którą nosiła w sobie już do wojny. Kobietę sukcesywnie ubezwłasnowolniano, aż została jej tylko gajówka, pasieka i opieka młodszej siostry, która mieszka w niedalekim miasteczku powiatowym. Cicho jak w kościele.

Na ostatnich dwóch metrach drogi od stawu do domu doktorowi przypominają się obrazy, które Natalia całe życie malowała, przemalowywała i niszczyła, jeden za wszystkie: biała ciężka postać kobieca. Stoi jak padająca brzoza, patrząc szalonymi oczyma na płynący

krajobraz. Pośrodku, na zielonym tle, obejmuje się klika czerwonych postaci. Jakby szły na jakąś uroczystość. Namalowani gęstymi pociągnięciami jeden blisko drugiego niczym płomienie ogniska. Ogniska, od którego ciebie, Natalio, przepędzili. Mają swój dom, do którego ty już nie wejdziesz. Dom pod niebem z ciężkimi siarkowożółtymi chmurami. Zagra okiennica, szyby, Strawiński, Grieg. Zagra w tobie, będącej na zewnątrz, poza strefą bezpieczeństwa, w ruchu kosmicznym, gdzie stopa zawsze jest skierowana w inną stronę niż głowa.

Zapukał. W domu natychmiast coś się poruszyło. Przesunięcie zasuwki. W drzwiach twarz starej kobiety. Jakby to było wczoraj.

– Ja wiem, ty jesteś Ivan, widziałam, jak idziesz przez groblę.

– Jak się masz, cioteczko?

– Ja się nie mam. Jak mogłabym się mieć? Ty się masz, Ivanie?

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem, o co ci chodziło. Ale ja ci mówię, być może ktoś nas ma, ale tym kimś nie jesteśmy my.

– Mogę wejść?

– Wchodź, nie było cię dobrych dziesięć lat.

Miała na sobie wiszące, zrobione na szydełku spodnie, bluzę od dresu, a na szyi wełnianą chustkę. Dom był czysty, niemal pusty, nie było tu niczego zbędnego.

– Chcesz kaszy?

Garnek na płycie kuchennej tak znajomy, jakby stał tam od dziesięciu lat, a owsianka w nim nie zdążyła jeszcze ostygnąć.

– Weź sobie miodu. Zostały mi już tylko dwa ule.

Doktor zajadał lepką kaszkę z miodem i było mu dziwnie dobrze. Właściwie niczego nie potrzebował. Natalia patrzyła na niego z rękami ułożonymi przed sobą na stole, dłońmi do dołu.

– Ivan, powinieneś pojechać na studia do Chin, tam biologia jest na najwyższym poziomie.

– Ja już chyba nie będę studiować, cioteczko.

– Co? Nie masz przecież żadnego wykształcenia! Te bzdury, których nauczyli cię tu ci agenci, do niczego się nie przydadzą.

Jadł dalej bez słowa. Jakoś dużo mu nałożyła.

– Mam teraz trochę pracy. Ty się pobaw. Jeśli cię to interesuje, z tyłu są jakieś szkice. Nie ubrudź się.

Więc doktor się pobawił. Do nocy przeglądał stosy papieru pakowego. Na wszystkich była ta sama twarz w setce odmian. Tu męska, tam żeńska. Człowiek malowany sadzą i kredą. Jedyny żywy we wszechświecie.

Z pomieszczenia obok dobiegało skrzypienie węgla po papierze, to Natalia produkowała kolejne i kolejne kształty.

– Dobranoc, cioteczko, jutro jeszcze porozmawiamy – żegnał się doktor, nie mogąc przemóc snu.

– Jutro czy za tysiąc lat? – odpowiedziała Natalia, nie odrywając oczu od pracy.

Kiedy zasypiał, znowu miał poczucie, które ogarniało go zawsze wtedy, kiedy życie się zmieniało. Że nie jest prawdziwy, że w ogóle go nie ma. Niczego nie chce, o niczym nie wie, nawet tego, jak wygląda, nie wie nawet, skąd na wszystko patrzy. Ciemność.

Nazajutrz przed południem, kiedy już zbierał się do odejścia, zauważył, że na szafce w kuchni, we wspaniałej, wybielonej przez morze muszli, stoi nabój do karabinu, nasmarowany ciemną wazeliną. Wojna. Natalia jako dziewczyna była w partyzantce. Czyżby to była pamiątka po pierwszej miłości? Widział tego mężczyznę na kilku obrazach. Przystojny facet, wyraźny profil wpatrzony w ciemność lasu, a na pierwszym planie Natalia z czerwonymi piersiami. Kochali się. Nie przeżył. Niemcy zamordowali go pięćdziesiąt lat temu. Czy tak stary nabój mógłby jeszcze wystrzelić?

– Lepiej już leć – powiedziała Natalia, wypychając go za drzwi – wyglądasz, jakby ktoś w ciebie wstąpił. Jakby cię znowu ktoś miał! I nie idź górą przez las, tam są zabójcy.

– Ależ cioteczko!

– Straszliwi mordercy, mówię ci.

– A ty się ich nie boisz?

– Nie, ja mam karabin.

Więc doktor Satinsky ruszył. Doszedł do rozdroża, gdzie rozdwoił się na dwóch doktorów. Jeden, ten rozsądny i odpowiedzialny, skręcił i poszedł w dół w stronę stawu, drugi, ten zdesperowany i gotowy do działania, wyrwał bez lęku w stronę lasu naprzeciw czyhającym lufom.

NIEŚMIERTELNY

Paweł Niedostał i jego syn Ludwik weszli do opuszczonego kina letniego w parku, niedaleko rzeki. Właściwie przyprowadził ich tam pies, Andy, który biegał sobie między rzędami siedzeń z laminatu, obwąchując niewidzialnych ludzi. Po pas w czerwonym, zakurzonym polu ostygłych tramwajowych muszli. Dziwna zajezdnia. Paweł spojrzał w górę. Nie było dachu. Puste słupy z pourywanymi krokształynami sterczą ku niebu, które oddycha ciężko jak rzeka płynąca niedaleko stąd za gąszczem śnieguliczek, kokornaków i wierzb.

– Tatusiu! – rozległ się głos chłopca, odbity od wielkiej odrapanej ściany, na której wisiało kiedyś płótno i jawiły się inne światy. Ludwik biegał po rozległej dudniącej estradzie, Andy za nim.

Wyglądali jak bohaterowie gry komputerowej. To miejsce nazywało się AMFI 70, właśnie w tym roku zostało zbudowane dla ludu pracującego. Największe kino panoramiczne na północnych Morawach. Paweł schodził ścieżką między cichymi rzędami, jakby kroczył odebrać Order Sztandaru Pracy albo Oscara. Potem zapięli Andy’emu smycz i wyszli z parku.

– Tatusiu, widziałeś kiedyś jakiś film w tym kinie?

– No tak, dużo filmów. Ostatni, jaki widziałem, to chyba *Nieśmiertelny.*

– I o czym był ten film?

– Poczekaj.

W progu gospody U Dzwonu leżał człowiek. Wyglądał jakby nie żył, ale był tylko pijany. Prawie zawsze tak jest. Żuraw. Paweł znał tego człowieka jeszcze ze szkoły. Nieszczęśnik, toczył się przez życie jak brudna piłka do tenisa, którą chłopaki na ulicy grają w hokeja. No tak, Szczepan Żuraw, narąbany od piętnastu lat. Już nikt go nawet nie podnosi. I tak znowu upadnie. Trzeba mu się dać wyspać. Wygląda na zadowolonego. Nadyma policzki jak jakiś cholerny niemowlak. Lulaj, Szczepan, odpocznij od tego wszystkiego. Gdybyś miał umrzeć, już dawno byłbyś martwy. Dobrze, że nie ma mrozu.

Za to kiedyś był mróz i Paweł znalazł Żurawia leżącego na chodniku w słonym szlamie. Kiedy postawił go na nogi, Żuraw przewracał się na wszystkie strony i bełkocząc prosił Pawła, żeby go tylko, na Boga, nie

opuszczał. Kilkakrotnie razem upadli i obaj byli już w oczach przechodniów brudni jak świnie. Taksówkarz nie wpuścił ich do auta, mimo że Paweł pokazał pieniądze. – Ciebie może bym i wziął, ale jego nigdy w życiu. Już ja go znam. Lepiej zadzwoń na izbę wytrzeźwień – zbył ich masywny gość ze złotym łańcuchem na szyi. Buch. Trzasnęły drzwiczki i sierra odjechała. No to zostaje tramwaj. Lepiej do tylnego wagonu, żeby motorniczy ich nie wywalił. Żurawiem strasznie rzucało i dusił się. Łapało go delirium. W nagłym cieple narobił w spodnie. Wkoło pasażerowie syczeli jak węże. Znowu na zewnątrz. Niekończących się pięćset metrów do wieżowca po nieposypanej solą gołoledzi.

– Szczepan, stój normalnie!

– Nie mogę, chyba mam połamane nogi.

Wierzgnął i znowu obaj upadli. I głową o chodnik. I znowu. Daleko do wieżowca. Gówno w spodniach zaczyna lodowacieć. W końcu schody. Jedna noga Szczepana napiera niczym korbowód wyosiowanego napędu, za to druga ani drgnie. – Nie! Serio nie mogę!

No to na czworaka. Ciągnie go za kurtkę niczym psa do hycla. W windzie Szczepan składa się i jęczy coś o zborze, braciach, siostrach i o łasce bożej.

– Ja pierdolę, na którym piętrze mieszkasz?

W mieszkaniu jest ciemno, tylko w przedpokoju się świeci. Szczepan upada na podłogę w kuchni, tuż obok kupy śmieci, pod którą zniknął kosz.

– Daj mi jakieś prochy, nie wytrzymam!

Szyby w oknach są pokryte lodem. Światła za nimi jaśnieją matowo jak planety. To może trwać wiecznie. Szczepan już śpi, czasem tylko wierzgając ruchomą nogą. Nie może umrzeć. Musi jeszcze trwać.

Teraz też śpi. Uśmiecha się z głową na kamiennym schodku. Zaraz wstanie i znowu spróbuje.

– Znasz go? – spytał Pawła syn.

– Tak. Wiesz, to nieszczęśliwy człowiek.

– Wygląda jak pijak.

Poszli dalej.

– Tato, o czym był ten film *Nieśmiertelny?*

– O niezwykłym człowieku, który urodził się dawno, w średniowieczu, w górzystej Szkocji, w klanie McLeodów. Kiedy po raz pierwszy pojechał z innymi mężczyznami na wojnę, został ranny i umarł. Ale potem się obudził. Rana zniknęła. Wszyscy się go bali. Myśleli, że jest czarownikiem,

wypędzili go z klanu. Tułał się po świecie, walczył, a po każdej bitwie rany się zabliźniały i ożywał. Zrozumiał, że należy do nieśmiertelnych. Jest ich tylko kilku na świecie, żyją niepostrzeżenie wśród ludzi i walczą. Niektórzy są po stronie dobra, inni zła. Normalni ludzie nie mogą ich skrzywdzić. Nieśmiertelnego może zabić tylko inny nieśmiertelny, kiedy utnie mu głowę. Nieśmiertelny walczył we wszystkich możliwych wojnach od średniowiecza aż do dziś i zabijał tych złych nieśmiertelnych.

– Skąd wiadomo, że ktoś jest nieśmiertelny? – spytał poważnie chłopiec.

– Nie wiem, znikąd. Dopiero jak go ktoś zabije, to potem wiadomo. Jeśli ożyje.

Ludwik popatrzył na Pawła badawczo.

– Czyli na przykład ty też możesz być nieśmiertelny, tylko jeszcze o tym nie wiesz?

– Albo ty? Albo tamten tam? – Paweł skinął w stronę śpiącego Żurawia.

To się dopiero okaże.

WYZNAWCA

Będę mówił na niego Tymoteusz, żeby jakimś innym imieniem nie dotknąć któregoś z wielu tego typu wyznawców którzy teraz, pod koniec wieku, mnożą się jak mrówki...

Paweł Niedostał przestał na chwilę pisać. Przypomniało mu się, jak szedł z Jeny po grzbiecie Łysej Góry.

– Wierzysz w Boga? – zapytał wtedy.

– Tak, ale religia jakoś mnie odpycha.

– Może jej po prostu nie rozumiesz.

– A ty za to rozumiesz?

Paweł uśmiechnął się nad rozpoczętym listem i kontynuował pisanie.

...Szary pokój szpitalny. Na łóżku leży człowiek, którego kontrakt ze śmiercią nieuchronnie się wypełnia.

– Nie mówi – powiedziała mi jego córka. Dorosła już kobieta, ładna matka dwójki dzieci. Ostatnio widziałem ją, kiedy była jeszcze dziewczyną. Było ich pięcioro: trzy siostry i dwóch braci. W niedzielne popołudnie siedzieliśmy w salonie przy herbacie i kanapkach. Dzieci jak schodki od sześciu do szesnastu lat, ta Rut była najstarsza. Tymoteusz kazał jej wtedy zagrać na fortepianie. Posłusznie zagrała i zaśpiewała piosenkę *Prowadź mnie...*, a potem wraz z resztą dzieci kilka pieśni, które wówczas śpiewała wierząca młodzież.

Pamiętam, że nie czułem się wystarczająco pobożny jak na tę rodzinę. W łazience ostrożnie dotykałem ręczników kąpielowych, doskonale zdając sobie sprawę, że wycierają się nimi dziewice.

Przed snem jeszcze się razem pomodliliśmy. Była to jedna z niewielu rodzin, w której wciąż klękało się do modlitwy. Tymoteusz dziękował za łaskę Chrystusa, za swoje nawrócenie i za wszystkich, którzy już nawrócili się ku Panu, i prosił o łaskę dla tych, którzy jeszcze żyją w grzechu.

Teraz stoimy nad łóżkiem Tymoteusza i nie jesteśmy w stanie zdobyć się na ani jedno słowo. Powinniśmy się pomodlić, pomyślałem, nieumiejętnie zbliżając do siebie dłonie. Krew uderza mi do głowy, duszę się, nie mogę. Coś mi wzbrania. Uciekam przed tym czymś z pokoju. Muszę wyjść.

Po chwili wyszła także Rut. Zabrałem ją do kawiarni naprzeciwko, a ona opowiedziała mi historię, na końcu której właśnie się znaleźliśmy.

Tymoteusz przyszedł na świat w rodzinie sławnego kaznodziei i budziciela, został wychowany w duchu żywej wiary z naciskiem na osobiste zbawienie. On sam nawrócił się już jako chłopiec. Jego przemianie towarzyszył nawet mały cud. W momencie kiedy przyjął Ducha Świętego, przestał się zacinać mówiąc, co bardzo go dotąd trapiło. Jak później często mawiał, Pan otworzył mu usta na służbę. Służenie Panu stało się ładem jego życia. Wszędzie poświadczał istnienie łaski bożej i działanie Ducha Świętego. Organizował zebrania, na których nawróceni ludzie dawali świadectwo i przekonywali innych do wiary. Uczył się ufać każdemu słowu Biblii. Wielokrotnie spotykał spekulantów, którzy zbaczali z drogi prawdziwego słowa, twierdząc, że niektóre sprawy w Piśmie są opowiedziane tylko obrazowo. Tymoteusz odbierał to jako zwątpienie stanowiące początek grzechu. Sprowadzał do kraju książki poświadczające akty wiary. W Ameryce, Wietnamie, Korei, Afryce, wszędzie jawi się, że człowiek wierzący może zwyciężyć, śmierć nie da sobie z nim rady. Książki przemycali przez granicę bracia z Anglii, Szwajcarii i Holandii, a Tymoteusz rozwoził je z pomocą grupek braci i sióstr po całej republice.

Ożenił się z córką kaznodziei, a ich małżeństwo zostało pobłogosławione pięciorgiem dzieci. W otoczeniu zboru z jego twarzy nie schodził nigdy osobliwy, szeroki i trochę nerwowy uśmiech.

Wszystko zaczęło się od upadku jego żony, Marii. Nagle jakby uszło z niej życie, stała się smutna i milcząca, nie chciała chodzić na zgromadzenia, nie chciała brać udziału w nabożeństwach, obserwowała innych, jakby tylko czekając, żeby coś się skończyło. Dom zaczął chorować. Na stołach gromadziły się niepomyte naczynia, a w łazience stosy niewypranej bielizny. Cała praca, którą przez lata wiernie i bez słowa wykonywała, rozkładała się teraz w kupach brudu.

Tymoteusz zrozumiał, że Maria traci wiarę i nie żyje w pokoju z Bogiem. Wraz z braćmi zaczął nad nią odprawiać modły do Boga. Prosili, aby wypędził z niej nieczystego ducha. Maria jednak uparcie zasłaniała sobie oczy i zatykała uszy. Nie rozumiała, dlaczego to właśnie ją potępił Bóg. Wszyscy do niej mówią, lecz ona nie może wypowiedzieć ani słowa, tylko wielkimi, smutnymi, wypiękniałymi oczami patrzy na swojego męża, który z poważną miną wypowiada nad nią straszliwe rzeczy. W końcu ostatkiem sił wstała z łóżka i uciekła do swojej siostry.

Po odejściu matki sprawy poniekąd się uspokoiły. Tymoteusz nadal poświęcał się ewangelizacji, jego dwie starsze córki utrzymywały dom w jakim takim porządku. Upadł komunizm. Nadeszła wolność religijna, a Tymoteusz z braćmi zaczął budować nowy, prawdziwy kościół dla wyznawców. Praca i modlitwa pozwalały zapomnieć o odstępstwie Marii.

Potem dwunastoletnią Noemi coś opętało. Przestała postępować rozważnie. Jej oczy błyszczały w dziwnej ekstazie, całymi godzinami głośno się modliła. Zaczęła pisać do Tymoteusza długie listy, żeby pogodził się z mamusią. Tymoteusz nie miał jednak czasu tego czytać. Noemi niekiedy zamykała się w pokoju, gdzie dławiła się desperackim krzykiem, w którym słowa zlewały się w dziwny bulgoczący dźwięk, przerażający resztę rodzeństwa nawet przez zamknięte drzwi.

Tymoteusz zajmował się wówczas pracą duchową i pisał rozważania o tym, w jaki sposób na nowo narodzony człowiek może żyć jak dziecko boże. W napadach Noemi nie widział tym razem utraty wiary, ale chorobę psychiczną, wezwał więc braci i siostry, aby modlili się o uzdrowienie. Kiedy jej stan zmienił się w zwykły obłęd, umieścił swoją córkę w szpitalu psychiatrycznym.

Niedługo po tym rodzina zupełnie mu się rozpadła. Chłopcy odeszli do cioci, która opiekowała się ich matką, a córki dzięki Bogu wyszły za mąż i wyjechały z miasta. Najstarsza Rut wzięła potem matkę i chłopców do siebie.

– Cieszyłam się, że w końcu zaczniemy żyć. Tylko małej Noemi się nie polepszało. Odwiedzałam ją. Brałam w ramiona. Jakbym przytulała nieżywą rzecz. Nie mogłam do niej dotrzeć. Jej duszyczka...

Rut urwała i rozejrzała się po kawiarni. Rozglądała się, jakby była w kawiarni po raz pierwszy. Tymoteusz nie uznawał restauracji ani gospód. Dawał pierwszeństwo towarzystwu rodziny lub zboru. Kiedy czasem musiał zjeść w restauracji, zawsze głośno modlił się przed jedzeniem. Jego córka wytarła usta chusteczką i kontynuowała dokładnie tam, gdzie przerwała:

– ...jej duszyczka jest tak głęboko zagubiona, że nikt nie może do niej dotrzeć.

– Nawet Jezus? – chciałem spytać, ale szybko połknąłem te słowa. Duszyczka zadrżała we mnie.

Rok później podczas wielkiego spotkania ewangelizacyjnego Tymoteusz poczuł słabość. W trakcie kazania doznał zawrotów głowy.

Wszyscy zgromadzeni gapili się na niego, a on mówił o starym człowieku, który musi w nas umrzeć, aby mógł narodzić się nowy. Obiema rękoma ściskał blat ambony. Przechylał głowę w bok, łypiąc na sufit. Ze zgromadzenia zaczęły odzywać się okrzyki: Chwalmy Pana! Alleluja! Tymoteusz chciał wykrzyknąć razem z nimi, ale tylko coś chrapnął i upadł na ziemię.

Jego duch nie został pokonany. Była to ciężka choroba, przy której rozpada się krew. Tymoteusz już dawno odczuwał dolegliwości, zlekceważył je jednak w ferworze pracy. Diagnoza została więc postawiona bardzo późno. Lekarz był poważny i nie dawał wiele nadziei. Ale Tymoteusz wiedział i wierzył, że Pan uzdrawia tam, gdzie cała współczesna nauka się kończy. Zrozumiał, że czeka go najtrudniejszy egzamin życia.

Choroba postępowała. Tymoteusz czuł się coraz gorzej. Życie uciekało z niego z tygodnia na tydzień. Pewnego dnia odwiedziły go dzieci. Przyprowadziły nawet żonę. Wówczas poczuł bliskość śmierci. Oczy zamgliły mu się niewypowiedzianą miłością do bliskich, czuł, że nadchodzi chwila, która mu ich wszystkich odbierze. I pomimo całej bezwarunkowej wiary wżycie wieczne czuł, jak bardzo są mu drodzy teraz, tu na tym świecie. Prosił małżonkę o wybaczenie. Żałował Noemi w zakładzie. Łapał ich wszystkich za ręce i nie chciał puścić. Pragnął wrócić do domu. Jeść. Spać w łóżku z Marią, czuć jej ciepło. Słyszeć rano głosy swoich dziewcząt i chłopców. Wszyscy byli wzruszeni i znowu przez chwilę razem.

Kiedy odeszli, Tymoteusza odwiedził lekarz, który ocenił wyniki badań. Zalecił mu, aby sporządził testament. Pacjent znajdował się właściwie w stadium terminalnym, a on nie chciał męczyć go marnymi nadziejami.

– Taka jest rzeczywistość. Medycyna nie potrafi już nic więcej, nie możemy nic więcej zrobić – powiedział lekarz.

– Ale Bóg może! – odparł Tymoteusz.

– Tak. Bóg może – potwierdził lekarz. – Tylko Bóg.

Tymoteusz zwrócił się więc do Boga. Wezwał braci ze zboru i znowu modlili się o uzdrowienie. Aby na nim, ciężko doświadczonym słudze bożym, objawiła się moc Ducha Świętego. Aby poprzez jego uzdrowienie wszyscy przejrzeli na oczy i uwierzyli, że Jezus jest Panem. Modlili się przez całą noc aż do wczesnych godzin rannych, kiedy Tymoteusz poczuł wyraźną ulgę. Nagle zaczęły mu wracać siły. Bracia odwiedzali go codziennie, a jego stan wbrew wszelkim prognozom polepszał się do tego stopnia, że szybko wstał z łóżka.

Nikt z lekarzy nie potrafił wyjaśnić tej cudownej poprawy samopoczucia przy nieuleczalnej chorobie. Tylko Tymoteusz wiedział, co się stało. Bóg ulitował się, aby wyznawca mógł dawać o nim świadectwo.

Kiedy trochę wypoczął, wbrew zaleceniom lekarzy opuścił szpital i ruszył na pielgrzymkę po zborach i społecznościach, wszędzie świadcząc o tym, co przeżył. Cały jeszcze nadwyrężony przez chorobę wielbił Boga, dziękując za swoje uzdrowienie. Jego drodze towarzyszyła nabożna trwoga wierzących i zakłopotanie tych, którym nie udało się pozbyć wątpliwości.

Potem jego choroba znów wzięła oddech, a Tymoteusz upadł pośrodku drogi wyznawcy.

– Odkąd choroba ścięła go po raz drugi, nie zamienił z nikim ani słowa. Tylko patrzy zawiedziony – szepnęła Rut. – Zostaje sam ze swoją śmiercią, to straszne – skończyła. W jej oczach stały łzy zmęczenia.

– Nie, sam ze swoim Bogiem – powiedziałem i do dziś nie wiem, skąd się to we mnie wzięło.

Nazajutrz Tymoteusz umarł. Na pogrzebie widziałem całą jego rodzinę, również małą Noemi, którą puścili na pogrzeb tatusia z zakładu.

Paweł Niedostał włożył list do koperty i schował go do szuflady stołu.

MOVING INTO THE UNIVERSE...

– Ma głowę z lodu i kamieni, a za sobą ciągnie ogon z pyłu i gazu.

– Jest piękna.

– W tym lodzie są ukryte nasiona życia. Kiedy trafi w jakąś pustą planetę, całą ją rozgrzeje uderzeniem, rozchlapie na niej ocean swej wody i zbudzi życie.

– Jak sperma.

– Bóg jeden wie, na co właściwie teraz patrzymy.

Kometa Halea-Boppa nieruchomo pędziła po wiosennym niebie nad wiejskim kinem, w powietrzu migotały wciąż jeszcze nagie gałęzie wierzb płaczących. Park był głęboki, wiosenna woda pod mostkiem czarna i ciężka. Paweł Niedostał uścisnął rękę swojej dziewczyny Jenowefy, zwanej Jeny, a ona mu odpowiedziała. Czuło się w tym kochanie. Już niczego więcej nie trzeba, oboje westchnęli z oczami zawieszonymi na komecie. Ale czy chcą, czy nie chcą, zawsze w jakiś sposób są z nimi obecne ich dzieci, również te zagubione, inne istnienia, również te porzucone.

Podążyli za resztą w kierunku małomiejskiego browaru. Mostek kołysał im się pod nogami. To nie było złudzenie, ale tutejsza ciekawostka, jak im później wyjaśnili miejscowi. Nad głową muzyka sfer z kometą pośrodku, pod nogami pulsująca stal. Wśród kasztanów, które jeszcze nie ubrały się w swoje podobne do świec kwiaty, przebłyskiwały oświetlone okna gospody. Gulasz z pieczywem w holu pod miedzianymi kotłami, w których chyba rzeczywiście wciąż warzy się piwo. Jedli razem na oczach wszystkich, wiedząc, że ich zaloty dawno zamieniły się w loty.

Droga powrotna w nocy, a oni ściskają się jak pięść, z której nie może już ujść ani kropla krwi.

– Bóg sądzi świat – powiedział przyjaciel na przednim siedzeniu, wskazując palcem kometę, która mierzyła prosto w oświetlone bloki mieszkalne.

– Nas sądzi! – szepnęła Jeny tak, żeby usłyszał ją tylko Paweł.

Kiedy później w nocy Jeny zapadła w sen, jak to się zdarza

kobietom po kochaniu, Paweł siedział po ciemku w fotelu obok jej łóżka. Światło ulicznych latarni sprawiało, że jej na wpół odsłonięte ciało było sinawobiałe. Wyglądała jak porzucone dziecko. We śnie odlatuje w kosmos. Odlatujemy. Przypomniał sobie starą piosenkę Talking Heads. Był wtedy jeszcze wolnym, bezdzietnym studentem, kiedy słuchali płyty *Little Creatures* – stworzenia czy kreatury miłości? Kolegował się wtedy z Ivanem Satinskim, na którego, chyba przez jego dziwnie wściekłą powagę, nikt nie mówił inaczej niż doktorze. Teraz już rzeczywiście jest doktorem.

– Wyobraź sobie, że wszystko jest tylko eksperymentem – tłumaczył wtedy Ivan, stojąc na galerii swojego mieszkania w Ołomuńcu. – Cały Układ Słoneczny, nie, cała galaktyka to maszyna. Piekielnie skonstruowany mechanizm. Malutki w nieskończonej przestrzeni, jak jedna komórka w ciele. Okręt, który ma własne źródła energii, własny silnik, mózg i refleksje, to znaczy nas.

Ktoś nas posłał, abyśmy badali tajemnicę, której on sam nie jest w stanie dosięgnąć.

– W sensie Bóg? – zapytał Paweł.

– Nie, nie wierzę w Boga. To po prostu inna inteligencja, dla której nasze życie i cała kultura ma zupełnie inny sens, zupełnie niezależny od tego, co przeżywamy. Kiedy hodujesz bakterię w probówce, też cię nie interesuje, co ona myśli o sensie swojego życia. Rozumiesz, jesteśmy tylko czyjąś załogą.

– A ty jesteś straszny wariat! – zbył go wówczas Paweł i poszli po kolejną butelkę wina.

Teraz wszystko to wraca do Pawła. Chciałby pociągnąć dyskusję. Jeżeli maszyna, ten nasz okręt, funkcjonuje tak doskonale, nasze indywidualne losy, czyny i najmniejsze zdarzenia – to kochanie się i ten zużyty kondom wyrzucony do kosza w kuchni – musi mieć dokładnie wyznaczone miejsce w delikatnej przędzy struktury kosmicznej, inaczej przecież zaczęłaby się drzeć. A przecież się nie drze. Nie drze? Co się teraz dzieje z Ivanem? W którym rowie lub małżeńskim łożu śpi ten poseł wyższej inteligencji?

Jeny się poruszyła. Jej ręka jakby go szukała. Kiedy położył się obok, czuł, że nie istnieje nic oprócz tego pokoju, tego łóżka, tylko ich dwoje, ściśniętych jak pięść, z której nie może już ujść ani kropla.

PILOT

Przez chwilę zawahał się, czy powinien kontynuować powolne samobójstwo. Czuł, że jest gruby i że trzęsie się jak galareta. Broda drgała mu jak nieposłuszny organ. Podparł ją sobie dłonią, zakrył wargi palcami i patrzył na siedzącą naprzeciwko Tatianę. Zawsze naprzeciwko, nigdy obok, zawsze naprzeciwko, nigdy obok... myślał w kółko. Niczym rozgrzeszenie zbliżała się do nich kelnerka, ubrana w dżinsowe szorty tak krótkie, że nie zakrywały zupełnie nic. Zamówił dwie wódki. Musiał podpierać sobie przy tym wargi, żeby mógł artykułować, żeby mu nie uciekły, a on sam się nie rozwył. Tatiana patrzyła na niego badawczo. Jakby chciała spytać, czy będzie jeszcze dalej żył. Nawet nie zdążył się zdecydować, a już stały przed nimi alkoholowe zlewki. Tatiana napiła się jak gdyby nigdy nic. Ładna, duże usta, duże piersi, w bluzce koloru cynamonu, odstawiona. Po prostu dziabnęła sobie spirytusu i wróciła wzrokiem do smutnego Ivana Satinskiego, który przełykał gorzałkę jakby była ostrym nożem.

Nagle ugrzązł. Wódka utknęła muwgardle. Niwtę, niwewtę. Przepalony kocioł. Ślina ciekła mu z ust do dłoni, a on charczał jak silnik. To nie był jego głos. Dziwne rzężenie, które słyszy właściwie bez przerwy, lecz tylko w tej chwili wydobyło się z jego ust. Chwila trwa. Satinsky charczał, niemal wymiotując, a dwie kobiety patrzyły na niego bez ruchu jak na zatarty mechanizm. Wreszcie złapał oddech. Przełknął tę okropną palącą rzecz, która uwięzia mu w gardle, wytarł rękę w sweter, zalanymi oczami spojrzał na Tatianę i kelnerkę, po czym przypomniał sobie pilota.

W gospodzie Na Rogu w Ołomuńcu szumiały żeliwne żebra kaloryfera. Za oknem śnieg, mrok, luty i socjalizm. Dwaj studenci Ivan Satinsky i Paweł Niedostał siedzieli z koleżankami przy stole i klęli na komunistów. Mieli swoje powyciągane swetry, książki z antykwariatu i idee, na których im wtedy zależało. Rozmawiali w przytulnym poczuciu bycia wyrzutkami, które już nie powróci, a dwie ładne dziewczyny były w jakiś naturalny sposób po ich stronie.

Z gwaru gospody przedarł się do nich gość w skórzanej kurtce i dosiadł się, zajmując wolne krzesło u szczytu stołu.

– Ja jestem tylko zwykły pilot – wyjaśnił i rozkasłał się tak, że aż łzy ciekły mu po zoranej twarzy, którą zakrywał sobie rękoma. Kiedy położył je na stole, studenci zobaczyli ogromne i głębokie wrzody wokoło jego ust. Niektóre były otwarte. Kiedy już się je zobaczyło, musiało się patrzeć tylko na nie. Jakby ten człowiek nie miał oczu czy nosa, tylko te ropnie.

– Zwykły pilot – powtarzał agresywnie. Studenci milczeli.

– No co nic nie mówicie? Ja lubię wesołych ludzi, rozumiecie? Wesołych!

Popatrzyli na siebie zezem w nadziei, że facet sobie pójdzie.

– Jestem jednym z tych, którym to państwo nasrało na głowę! Rozumiecie? – zniechęcony machnął ręką.

– Pilot! – napadł na Pawła Niedostała, który odsunął się od niego w mało elegancki sposób.

– Napiję się, dobra? – wlał w siebie pół piwa Pawła naraz.

– Niech już pan weźmie to piwo – powiedział Paweł niepewnym głosem. – Kupię sobie inne.

– Czemu?! – szczeknął pilot.

– Co ty możesz wiedzieć? Walczyliśmy, jak wy jeszcze... – znowu pogardliwie machnął ręką – jak was jeszcze wcale na świecie nie było.

– Napij się i mnie nie wkurwiaj! – krzyczał, wciskając Pawłowi pod nos niedopity kufel.

– Chyba starczy, co? – wtrącił się Ivan Satinsky.

– A ty myślisz, że kto jesteś? – spionował go pilot. – Profesor? Kurwa, widziałeś, jak płonie Drezno, Coventry??? – znowu zaczął kaszleć.

– No to chociaż ty się napij, profesorze – złapał oddech i zaczął podsuwać kufel Ivanowi.

– Niech pan przestanie! – krzyknęła jedna z dziewczyn. – Przecież my panu nic nie robimy.

– To czemu te dwa gówniarze nie chcą się ze mną napić?

– A niby czemu muszą?

– Aaa, jestem gorszy od was? Więc to tak, kurwy jedne.

Ciężka ręka kelnera opadła na kołnierz pilota.

– Co ludzi męczysz? Wynocha!

Pilot opuścił ramiona i zaczął bełkotać: – Ja przecież jestem tylko zwykły pilot! Nagle upadł. Kelner wyszarpał mu krzesło spod tyłka.

– No to leć, pilocie! – powiedział rozbawiony, po czym podniósł cherlawego facecika z wrzodami na brodzie i wyrzucił z gospody na dwór.

Studenci siedzieli jak wryci.

– Nie powinno być na świecie takich rzeczy – uznał Ivan Satinsky, jednak nikomu nie chciało się już gadać.

– Tyle, że są – Paweł Niedostał chwycił kufel, z którego pił pilot, i spokojnie dopił resztę piwa.

– Jak myślisz, Ivan – zapytała doktora Satinskiego Tatiana, kiedy kurował się u niej w łóżku z kaca – ten pilot naprawdę bombardował Drezno?

– Nie, na pewno nie – doktor z trudem przezwyciężał ból głowy. – Mógł mieć z pięćdziesiąt lat. Czyli ewentualnie jako mały chłopak mógł widzieć podczas wojny jakieś bombowce albo przeżyć nalot.

– Ależ ten Niedostał ma śmieszne nazwisko, co nie? – uśmiechnęła się figlarnie Tatiana i zrobiła zmysłowy odmowny gest.

– Nazywa się Niedostał, nie od słowa dostać tylko od słowa stać. W tym nazwisku jest zupełnie inny rdzeń.

– Rdzeń to był z niego tak czy siak, jeśli dopił piwo po takim oblechu.

WAKACJE

Dana czuła, że coś się w niej urwało. Jakby poluzował się któryś organ. Nerka, macica, płat płucny. Och. Przewróciła się na bok. Zamknęła oczy, żeby nie widzieć podrapanej ściany. Podrapały ją dzieci, kiedy były małe. Paznokciami. Miała zamknięte oczy, a nosem płynęły jej łzy. Obróciła twarz z powrotem w poduszkę. Już nie wchodzą jej do łóżka jak kiedyś. Czuła pod sobą brzuch, rozpłaszczone piersi i ciasnotę. Która godzina? A, mam to gdzieś. I tak dopiero się przejaśnia.

Wstała i przeszła przez sypialnię, gdzie głęboko spali Ludwik i Katarzyna. Ludwik namiętnie ściskał kołdrę między kolanami, Katarzynie sterczała z łóżka ręka, jakby chciała ją komuś podać. Dana grzęzła w pokoju, w obolałej głowie trzaskało jej jak w rozstrojonym radiu. W toalecie zimny sedes, czołem opierała się o umywalkę, wyobrażając sobie, jak z niej cieknie. Jestem obrzydliwa, pomyślała i poszła do kuchni. W lodówce jest wódka z wczoraj. Prawie pół butelki i sok. W dupie mam sok. Łyknęła raz po razie. Kiedy otwierała fiolkę z tabletkami, ręce już jej się nie trzęsły. Wzięła dwie, a potem jeszcze jedną. I znów pociągnęła z butelki. Jej ciało od razu poczuło się lepiej.

Dla kogo te kwiaty? Na kuchennym stole stały w słoikach dwa bukiety. Gerbery z paprotką i gipsówką. Nie przypominała sobie, żeby je od kogoś dostała. A przecież dostaje kwiaty, chociaż Paweł od dawna mieszka z inną. Trochę to bolało. Spójrz na te brzegi. Jak kiedyś tu razem tapetowali. Odklejają się. Już od lat się odklejają. Było jej trochę wszystko jedno. Ciepło, stłumione barwy, jakby świat wszedł do bańki i płynął, chyba nawet go nie ma. Ładnie tu wytapetował, ładnie jej to zrobił. Och! Przyciskała sobie rękę do łona. Głaskała się tak, jakby robił to ktoś inny. Błyszczy się jak brzeg patelni, jak mosiężna klamka, jak słońce płynące po mokrym dachu. Myślę o facetach, których miałam, i wpycham sobie pod majtki własne place. Nędza. Uklęknę przed białą lodówką i dopiję wódkę, zapiję sokiem z kartonu, pocieknie mi z kącika ust, w dół po szyi na piersi i na brzuch. To jeszcze nie krew, to tylko sok z przejrzałych owoców. Zamknęła lodówkę i ruszyła z powrotem do łóżka. Dopiero się przejaśnia. Jeszcze trochę pośpi i potem je wyprawi do szkoły.

Znów powrócił sen, że w jej środku płynie coś, co się urwało. Bardzo jej przykro z tego powodu i trochę jej to już obojętne. Odpływają jak żaby, kiedy się parzą. Siedzą na sobie w kępkach, samce i samiczki. Zakleszczeni w spokojnej błogości z oczami skierowanymi do siebie. Odpływają w stronę zielonych głębin stawu. Tak widzieli je z dziećmi na zimnym brzegu. Trochę się za nie wstydzili. Ludwik trącił je kijkiem. Ani drgnęły. Tylko pewniej zwarły się w rozkoszy, wokół swojego strasznego przeznaczenia.

Dzieci obudziły się o siódmej. Ranny ptaszek Katarzyna obudziła Ludwika. Mama jeszcze śpi. Umyli się i wystroili w przygotowane odświętne stroje. Ludwik nasypał do dwóch misek płatków kukurydzianych i zalał zimnym mlekiem. Szybko zjedli i zostawili miski na stole. Katarzyna jeszcze zawiązała sobie wstążkę. Potem chwycili bukiety i teczki na świadectwa i ruszyli do szkoły. Jutro zaczynają się wakacje. Pewnie babcia odbierze ich ze szkoły. Albo zadzwonią do taty. Ludwik dostał od niego kartę telefoniczną.

Dana obudziła się późno i od razu zadzwoniła do pracy, że dzisiaj bierze sobie wolne, bo...

– Jasne – odpowiadał rzeczowy głos szefa. – Jest rozdanie świadectw i musisz być z dzieciakami, nie? Jakbyś nie mogła powiedzieć wczoraj.

– To dzięki za zrozumienie – bąknęła Dana, stojąc z pikającą słuchawką w ręku. Rozdanie świadectw. Zdała z wyróżnieniem. Patrzyła na dwa słoiki, które zostały po kwiatkach na kuchennym stole, i czuła się tak jak one. Najchętniej wypiłaby wodę z obu naczyń, takie miała pragnienie. A co z dziećmi? Na pewno przyjdzie po nie babcia albo zadzwonią, Katarzyna dostała ode mnie kartę telefoniczną. Zrobiła sobie kawę i wyszła z nią na balkon. Owiało ją chłodne powietrze, a ona czuła, że jest czysta, że właściwie czuje się dobrze, pozbawiona wszystkiego i pusta jak brzuch po poronieniu.

SIANO

– Tatusiu, o co chodziło mamie, kiedy powiedziała ci: Susz siano, póki słońce świeci?

Oczy chłopca były głębokie i zaciekawione, a doktor Satinsky zobaczył w nich podobieństwo do jego matki, drobnej ptasiej kobiety, z którą kiedyś go spłodził i która teraz – po raz pierwszy po latach – wypożyczyła mu go na urlop.

– To tak jakbyś powiedział: Kuj żelazo, póki gorące – wyjaśnił synowi.

– No ale co to znaczy?

– Chyba to, że masz coś zrobić wtedy, kiedy to możliwe. W zimne żelazo będziesz tłukł na marne, a w deszczu siano może ci najwyżej zgnić, rozumiesz?

– Tak – przytaknął chłopiec i już dalej nie pytał.

Nad głowami wysokie letnie niebo, przed nimi krajobraz otwarty jak piękna książka. Pola, pastwiska i usiana krowim łajnem droga do obory.

– Chodźmy tam zobaczyć.

Zatrzymali się między skrzydłami furty. Za plecami muchy bzyczały nad wielką kupą łajna, a przed nimi w głębi cienia stały krowy. Nad ciemnymi grzbietami w gniazdach przylepionych do sklepienia obory szczebiotały głodne jaskółeczki. Czasami odzywało się smutne ryknięcie. To wszystko. Ivan Satinsky nagle poczuł, że zaczyna coś rozumieć. Sklepienie daje bezpieczeństwo gniazdom, z boków krów idzie ciepło, ich gnój nęci muchy, nikt tu na nas nie poluje, dlatego przylatujemy aż z Afryki. To wszystko.

Duszna noc w wiejskim hoteliku. Chłopiec śpi niespokojnie, doktor Satinsky bezskutecznie próbuje czytać. Niepokój i przegrzane zmęczenie odbierają mu koncentrację. Lepiej pójdę na dół na jedno piwo na dobranoc. W gospodzie na dole miejscowi faceci, z łokciami zapadniętymi w stół, już chyba kończą. Na wiszącej nad barem reklamie świetlnej jasnowłosa modelka wkłada sobie do buzi butelkę koka-koli. Ładną tu mają kelnerkę. Nalewa piwo i przynosi je z odrobiną nieśmiałości, którą zachowują mieszkańcy wsi wobec spragnionych agroturystyki mieszczuchów. Ładna, doktor patrzy na jej oddalający się tyłeczek i trochę mu wstyd za to życie.

W pokoju na górze chłopiec rzuca się niespokojnie. Ivan głaszcze go po czole i mówi kojąco: Lulaj. A chłopak zgrzyta zębami i wzdycha jakby ktoś go męczył.

– Boże, co z nas za ludzie? – myśli doktor, który nie wierzy w Boga, czekając, aż jego dziecko się uspokoi. Później i on zasypia. Ma sen o kobietach i probówkach. To nawet nie sen, tylko rozmyślania, z granicą przedłużoną poza granice świata rozsądku. Kobiety są jak probówki na stojaku w laboratorium, jest tu ptasia kobieta, kilka innych, Tatiana też, a każda ma w sobie tę kruchą szklaną rzecz z otworem. Doktor wkrapia coś do każdej probówki, ta zabarwia się charakterystycznie, a on wszystko zapisuje. Nikczemny doktor, mężczyzna – Mengele, ogląda wyłupiastym, podobnym do lupy, okiem embriony w różnych kolorach.

Fu. Musi to urwać i przebudzić się w noc, w którą bzyczą komary i oddycha jego syn. Doktor patrzy na wiejski placyk. Szczyty jesionów, księżyc obok wieży kościoła. Myśli o oborze. Nie jesteśmy jaskółkami, jesteśmy krowami uwiązanymi wśród cewek, krowami, które znają tylko strzykawkę inseminatora i elektryczne dojenie. Jakże podobne są do siebie tęskne oczy naszych krów, naszych kobiet i naszych dzieci.

Obudził syna wczesnym rankiem. Czuł, że musi się ruszyć, działać, nie byczyć się w łóżku.

– No, wstawaj, młody – alarmował, dobrodusznie mydląc sobie twarz pianką do golenia. Nie chciał już o niczym myśleć. Po prostu pójdzie z młodym na śniadanie. Zjedzą jajecznicę, napiją się kawy z mlekiem, a potem ruszą gdzieś na wzgórza, do lasu. Nie będzie się zadręczał. Zjedzą drugie śniadanie gdzieś nad potokiem. Będą oglądać ryby w kipieli. Objaśni to wszystko małemu. Żeby życie znów wartko płynęło i cięło jak żyletka, która ściąga z dzisiejszej twarzy wczorajszy zarost.

– A czemu tak wcześnie? – pyta rozczochrany chłopak.

– Bo będzie piękny dzień, a my musimy, jak to wczoraj mówiłeś, suszyć siano...

– Póki żelazo gorące! – dokończył syn i obaj się roześmiali.

BAŁKANY

Tatiana wsiadła do pociągu. Nie czuła się dobrze. Poprzedniej nocy kochała się z mężczyzną. Nie kochała. Miała z nim sex, jak to się mówi po amerykańsku. Nie ma na to jeszcze beznamiętnego określenia w języku czeskim. Teraz jej to przeszkadza. Na zielonej sztucznej skórze, w wąskiej spódnicy i bluzce bez rękawów czuła się jakby była naga. Najchętniej schowałaby gdzieś te swoje piersi. Zamyka oczy i drży. Pierwszy raz jej się to przytrafia. Nie może tego przełknąć. Niepotrzebnie zaciskać zęby, wzdychać, unosić się i podnosić jak jakaś anonimowa owca pod baranem. Owca pod jakimś zboczonym narąbanym bacą. Uśmiechnęła się do lustra wiszącego naprzeciwko i ze smutkiem stwierdziła, że ładnie wygląda, kiedy się uśmiecha. Ivan Satinsky zawsze mówił, że jej smutny uśmiech jest piękny. No to zachowam go dla Ivana, pomyślała.

Pociąg przejeżdżał przez przedmieścia, gdzie spośród rdzawych liści wyglądały zapylone domki i budynki przemysłowe. Tatiana patrzyła czule na szpetne pomieszczenia, w których ludzie znaleźli dom. Gdzie ona go znajdzie? Pociąg zatrzymał się na stacji Paskov. Jak nie było, tak nie ma tu nic, tylko długi, pokryty asfaltem peron i hotel Bałkany. Zawsze planowali z Ivanem Satinskim, że kupią tam sobie kiedyś pokój i będą się kochać jak wariaci przez całą noc. Dotąd im się to nie udało i już chyba się nie uda. Gdzie jest Ivan? Dawno się rozeszli. Mimo to ma wrażenie, że właściwie wczoraj zdradziła go z tym facetem.

Pociąg ruszył, do przedziału weszło dwóch młodzików. Jaskrawe kombinacje kolorystyczne ich dresów wydały się nagle Tatianie zupełnie nie do pomyślenia. W tę zakurzoną rdzawą jesień Adidas, czy co? Zamknęła oczy, a młodzi, którzy w międzyczasie usiedli po drugiej stronie przedziału, wymienili znaczące spojrzenia.

Tacy, jakby powiedział Ivan, kolesie ze stacji benzynowej, Tatiana odsunęła się w duchu. Nie mogła przestać myśleć o tym Ivanie. Patrzyła z okna na krajobraz, biernie słuchając rozmowy swoich towarzyszy podróży.

– Jeden mój koleś jest dobry wariat.

– Czemu?

– Załatwił sobie pistolet.

– Po co mu pistolet?

– Wiesz, on ma biznes, jakieś gry, automaty w mieście, to do obrony własnej. I normalnie zwariował na punkcie tego pistoletu. Ciągle się z nim bawi. Na przykład wieczorem w domu przed telewizorem go wyciąga i tak jakby go... – znacząco podniósł brwi.

– Pieści?

– No, pieści, nabija, rozbiera, składa, nie może się nim nacieszyć. Ma do niego stosunek emocjonalny.

– Jak do baby?

Tatiana spojrzała w stronę kolesi ze stacji benzynowej, upewniając się, że grają to przedstawienie dla niej. Zarzuciła na siebie kurtkę, żeby zakryć chociaż nagie ramiona.

– Raz nie wytrzymał i zajechał do schroniska, takiego, co ludzie tam dają zabłąkane psy.

Tatiana czuła się, jakby zaraz mieli zacząć ją gwałcić. Na zmianę.

– I wziął stamtąd psa, że niby się nim zaopiekuje. Dość dużego, taką masywną świnię, coś jak rottweiler. Bardzo mu zależało, żeby był krótkowłosy.

Obaj patrzyli na Tatianę, jakby spodziewali się, że się rozbierze. Albo zrobi coś, czym w końcu im ulży, na przykład zacznie się bać. Ale ona nic, jakby ich tam wcale nie było.

– Wrzucił tego psa do bagażnika i pojechaliśmy w las. Tam przywiązał go sznurkiem do drzewa. Wyciągnął pistolet i, rozumiesz...?

Tatiana dobrze rozumiała, ale nie ruszyła nawet rzęsą. Myślała o Ivanie i o krótkowłosych nocach, które razem przeżywali. Więc kolesiom ze stacji benzynowej nie pozostawało nic innego jak kontynuować.

– Ale to go nie zadowoli na długo.

– Może przecież wziąć kolejnego psa.

– Albo jakiegoś bezdomnego.

– O kurwa!

– Albo... – przemówiła Tatiana, która nagle stała ponad nimi straszna i piękna, a obaj kolesie pozapadali się w swoich fotelach jak chłopcy przyłapani na onanizowaniu się.

– Albo babę, kretyni! – powiedziała i wysiadła z pociągu. Zupełnie gdzie indziej niż chciała, ale po raz pierwszy na właściwym miejscu.

NIEDŹWIEDŹ POLARNY TELECOMU

Paweł Niedostał wypuścił parę pierwszego jesiennego mrozu i wśliznął się ciężkimi drzwiami wprost w szarość piwiarni Czernohorskiej w Brnie. Obskurne obrazy i obskurni ludzie. Gospoda opadała i ciągnęła się w głąb, jakby do wnętrza góry. Paweł siadł na samym skraju i zamówił ciemne piwo. Każdy łyk tego dnia miał wyjątkowy smak. Pociąg z Ostrawy umyty porannym światłem uroczego regionu morawskiego, gdzie drzewa lenią się z liści, a ludzie przygotowują ogrody do zimy, śniadanie w bufecie mięsnym obok dworca, fura pieczonej golonki ze świeżym chlebem i musztardą, żółtą jak kupa dziecka, ogniste liście sumaka octowca za żelaznym płotem akademickiej willi, agat, azuryt i awenturyn w zamkniętym sklepie Minerals, w którym i tak nie mógłby wybrać nic szczególnego, chyba, że wziąłby wszystko. Musi do niej zadzwonić! Na obfitym bazarku warzywnym nigdzie nie ma budki telefonicznej, tylko warzywa, tak piękne, jakby wcale nie do jedzenia. Teraz, w półmroku gospody, Paweł czuje się wypełniony tylko do połowy. Połowa życia. Niedopita szklanka, której nikt już nie napełni. Możesz wypić wszystko od razu albo zostawić sobie coś na później.

Do stołu Pawła dosiadła się osobliwa para. On miał głowę jak dynia na Halloween. Szeroką, ucieszoną, słowiańską gębę. Brzuch, kurtka dżinsowa i wielkie dłonie. Ona była śliczna jak Francuzka. W eleganckim płaszczu, krótko obcięte włosy i twarz, na której urok rozjaśniał niepokój. Barbara, którą wspominał Jacques Prévert w swoim słynnym wierszu. Też pochodziła z Brześcia Litewskiego. Przyjechała do Brna, żeby pracować za dobre pieniądze, ale jakoś jej nie wyszło. Mogłaby tu robić najwyżej za kurwę, czego nie chce, wraca więc z powrotem do Brześcia. Za ostatnie dolary kupiła sobie bilet, a teraz tego nie rozumie. A ten osiłek obok, któremu nigdy nie byłoby dane nawet powąchać takiej kobiety, gdyby nie była biedną Litwinką, zamawia jej małe piwa i opowiada, jak to przyjedzie do niej do Brześcia, kiedy tylko dokończy kilka interesów. – *Ja eto nepanimaju* – mówi Barbara, bezsilnie patrząc na rozkład, który

wydrukował jej komputer na dworcu. Rozumie po czesku, ale nie umie czytać, zna tylko cyrylicę. Wielce wykształcony alfabeta z głową jak dynia nachyla się do niej, całuje w twarzyczkę i czyta na głos stacje przesiadkowe pomiędzy Brnem a Brześciem. – Nie bądź dzieckiem! – mówi, kiedy zauważa, że Barbara płacze. Dotyka jej ramion i ukradkiem bezczelnie także piersi, szczebiocząc niby to po rosyjsku: – *Ja za toboj przyjedu, nebojsa.*

Bezsilna zazdrość i gniew. Paweł Niedostał czuje się jak Maryčka Magdonová[3]: *Będziesz im ojcem? Będziesz im matką?* Odwieziesz do Brześcia i zaopiekujesz nią, żeby nie musiała targować się o życie z dyniowatymi durniami? Po czym egoistycznie, ze wzruszeniem przypomniał sobie o Jeny, o swoich dzieciach, byłej żonie, ach, tato! Czy wypełnisz wypitą szklankę łzami? Czy przedłużysz w ten sposób swoje życie, popierdolone jak radzieckie kraje bałtyckie? Halt!

W pociągu miał sen. Rozgrywał się w mieście, którym równie dobrze mógł być Brześć. Krajobraz szary jak rysunek na betonie. Splądrowane bloki, druty na plaży. Tam ich złapali i zaprowadzili ciemną ulicą do szkoły. Ładna Jeny, która już żyła i chce żyć raz jeszcze, dostaje teraz takie cięgi w plecy, że idzie na czworaka, tak samo jak Paweł, który nic nie widzi przez łzy i pogryziony język. Nic tylko Jeny i to dziecko, które będą mieli razem, kiedy ten sen się skończy, będą mieli dom, choćby mieszkanie, choćby budkę telefoniczną, w której mogliby się kochać choćby na stojąco.

Rozdzielili ich. Jeny zniknęła, a za Pawła wziął się jakiś facet. Związał mu ręce za plecami i przeganiał go z klasy do klasy. W każdym pomieszczeniu powalał go na podłogę i zostawiał leżącego, póki ten nie usnął. Potem go budził, dokopywał do kolejnej klasy, gdzie znowu ciskał nim między ławki. I tak w kółko, strzał w ryja, chwilę spać i kopniak: Idź! Idź! Po jakimś czasie faceta zastąpiła baba, taka drobna jasnowłosa faszystka. Kopała go, deptała, szczuła z klasy do klasy i szczekała jak karabin. Wymuszała na nim osobliwą erotykę. Jak nauczycielki gwałcące małych chłopców, myślał Paweł, skacząc na poniszczonych kostkach do kolejnej klasy, gdzie walnął głową w tablicę i upadł. Ta pizda poszła w międzyczasie załatwić coś do gabinetu.

– To ty tu leżysz? – to była Jeny. Pochyliła się nad nim, rozluzowując więzy.

– Musimy uciekać – mówiła.

– Jak dałaś im radę? – spytał.

– Sama nie wiem – odpowiedziała, rzucając mu to swoje łobuzerskie spojrzenie, które w niej najbardziej ze wszystkiego kochał. Na korytarzu spotkali faszystkę. Była wychudzona jak mumia, cud, że w ogóle szła. Złapał ją za gardło. Trzęsła się w jego ręku jak wróbel w garści.

– Puść ją, nie widzisz, że się męczy? – powiedziała Jeny, a on upuścił babsko na podłogę niczym ogryzek. Wyszli na zewnątrz, on i jego Jeny z czerwonymi ustami i bursztynowymi oczami na bałtyckim wybrzeżu.

Tu kończy się sen. Barbara i ten jej arbuz przytulają się i całują. Chyba naprawdę się lubią.

– Nie bądź dzieckiem, przyjadę do ciebie. Wieczór w Brnie powoli przeradza się w noc, a Paweł biegnie zadzwonić do Jeny. Zanim włoży kartę do automatu, ogląda ją. Jest na niej niedźwiedź polarny, który patrzy na pokrytą śniegiem budkę z napisem TELECOM.

możliwe, że odchodzimy

Jest czas szukania i czas tracenia.
Księga Koheleta 3, 6

EMIL

Ech, sklepy nocne, nonstopy, lombardy i domy gier! Ech, wy! Wszystkie was powinni zamknąć biali faszyści. Nie faszyści rasy białej, tylko faszyści ubrani na biało, choćby i ciemnoskórzy, faszyści anioły, lekarze, siostry i bracia w białych fartuchach, z białymi opaskami, białymi kajdanami. Kiedy ktoś wreszcie wybierze ich na szefów państwa, aby wyciągnęli nas z tego syfu, z kału, w którym brniemy w drodze z lombardu do nonstopu? Gdzie śpicie, rycerze z góry Blaník[4], kiedy my jesteśmy wydani na pastwę otwartych sklepów tej lichwiarskiej hołoty?

Kiedyś, za komunistów, można było pić tylko do dziesiątej, najwyżej do północy, a alkohol kupować do dziewiątej i to chyba zaledwie w dwóch miejscach w mieście. Dlatego sprawiłem sobie latarnię ratunkową. Piękną, dziesięciolitrową butlę ze szlifowanym korkiem. Mój brat, ten duży, silny człowiek, od zawsze uczący mnie rzeczy, które mnie niszczyły, a jemu nie mogły zaszkodzić, mój brat pomógł mi ją napełnić dziesięcioma tysiącami gramów stuprocentowego alkoholu.

Mój brat, inżynier eksploatacji w fabryce perfum, mógł mieć tyle czystego alkoholu, ile chciał. A przecież jemu spirytus nigdy nie wżarł się w wątrobę. Mieszał świetne koktajle z aromatów i podrywał na nie laborantki, woził te laski autem na daczę i opowiadał później o ich mocnym uścisku, twardych sutkach, zręcznych ustach. A ja? Ja zawsze kończyłem z głową na stole, zanim zabawa zaczęła się rozkręcać. Potem czekały mnie długie, niemożliwe noce, kiedy wibrowałem pod zamkniętymi drzwiami sklepów i kiosków, snułem się po dworcu aż do rana bez jednego jedynego płomyczka choćby tej najbardziej żenionej wódki.

Półżywy ze zmęczenia wciągnąłem ją na szafę w swoim obskurnym pokoju. Wyniosłem na ołtarz, wyczerpany padłem na rozbebeszone łóżko i od wtedy obserwowałem ją pewien, że odtąd nigdy nie zostanę sam ze swoją gęsią skórką; tyle że akurat nadeszła wolność i drzwi sklepów otworzyły się, aby już nigdy się nie zamknąć.

Moja świętość na ołtarzu w owej chwili jakby straciła wartość. Nigdy jej nie tknąłem. Zawsze kupowałem sobie jakiś karton z winem albo piersiówkę, albo plastikowe naczynie z czymś rzadszym i bardziej mętnym.

Zawsze uchlewałem się do snu jakimś ziemskim bełtem. Nie potrafiłem spojrzeć w jasność przejrzystego, niczym niezmąconego światła. Uciekałem wzrokiem i pozwalałem, aby na lampie zbierał się kurz.

– Mam jeszcze czas – siarkowożółte wskazówki budzika wskazywały czwartą dziesięć. – Mam jeszcze czas!

Emil uspokajał się wyobrażeniem, że przez co najmniej trzy kolejne godziny nie będzie musiał wstawać, nie będzie musiał kiwnąć palcem. Jednak na skraju tej świadomości majaczyła już myśl, że za dwie godziny się zacznie. Odgłosy ulicy. Samochody ciężarowe zaczną wyjeżdżać z magazynów. Tramwaje ruszą jak dziecięce małe pociągi, do których włożono baterie. Śmieciarze zaczną dzwonić pod oknami. Odgłosy domu. Za ścianami zaczną się ruszać ludzie, zaczną spuszczać wodę w toalecie, woda w łazienkach zacznie huczeć. Kroki na schodach. Ach. Podciągnął kołdrę pod brodę.

Zaczną się odgłosy mieszkania. Pies drapie w drzwi, chce, żeby go wyprowadzić. Dzieci zaczną się wiercić w łóżkach, nieruchoma kobieta leżąca na materacu obok poruszy się... Nie, przecież się nie poruszy! Z nadzieją wyciągnął rękę: nie było jej tam.

To mu się zdarzało. Zapominał, gdzie jest i w jakiej sytuacji. Nie, to nie kwestia zapominania, przeciwnie – intensywnego wspominania. Rysy są zbyt głęboko wryte w wątłą strukturę pamięci i ożywają, mimo że od dawna są pozbawione adresów. Same się przywołują i Emil, choć nie chce, wspomina swoją rodzinę bez adresu, jednocześnie pragnąc sobie przypomnieć adres wczorajszego wieczoru, w jaki sposób doszło do tego, że znowu leży tu jak zimna ryba w brytfannie. To jak rozwiązywanie bardzo denerwującej krzyżówki, której hasło już zna i teraz powinien, tak tylko dla zasady, wypełnić poziome i pionowe pola, żeby całość miała sens.

Bezsens! Musi się przed nim uratować, a ratunkiem może być tylko sen. Mam jeszcze czas. Zmuszę się do snu. Zmuszę się, jestem przecież dramaturgiem, reżyserem obrazu. Jestem fabryką snów.

Odpalam swoje stare auto. Jedyny samochód, któremu ufam. Jest dość szpetne. Lakier zszedł, z oryginalnego koloru zostały zaledwie łaty. W środku wszystko zniszczone i wysiedziane, ale opony, opony mają głęboki bieżnik, podwozie jest opatrzone powłoką asfaltową, trzpienie i zawiasy pokryte wazeliną. To konieczne. W tym agresywnym środowisku trzeba pokryć kratkę chłodnicy tłustym pergaminem i zakonserwować wszystkie

odsłonięte części przed unoszącą się w powietrzu solą. Mojego wozu nigdy nie stoczy rdza.

Światła ostatniej osady maleją we wstecznym lusterku. Przejeżdżam przez ciemny jodłowy las. Kiedy spojrzę w górę, widzę pas indygo niebieskiego nieba z czarnym szczerbatym skrajem szczytów drzew iglastych. Podjeżdżam na wzniesienie, jodły się obniżają i zaczynają klękać, zmieniając się w skarłowaciałe krzewy bite wiatrem od morza. Potem cypel ciągnie się już tylko kamienistym grzbietem, a na końcu sterczy nad ciemną ruchomą masą morza wieża latarni morskiej, w której jasnym światłem płonie lampa. Lampa, którą się opiekuję.

Zatrzymuję się przy wieży. Wysiadam z wozu, płuca nie są w stanie pomieścić ostrych podmuchów wiatru. W kanciapie w garażu zapalam papierosa. Odwożę auto do środka i przykrywam impregnowaną płachtą. Mocuję się z wiatrem o skrzydła drzwi. W końcu przesuwam zasuwkę. Patrzę na zegarek, jest czwarta dziesięć. Mam jeszcze czas. Pośród wiatru słyszę pracujący mechanizm wieży. Dochodzę do kamiennego murku na końcu cypla. Na grzbietach czarnych fal widać szarą pleśń niedalekiego brzasku. Krawędzie fal dopływają do kredowego cypla i syczą, jakby nie był z wapienia, ale z niegaszonego wapna. Nadgryzają cypel, którego mimo to nie ubywa.

Podnoszę wzrok i widzę światło latarni po przeciwnej stronie. Tylko wyobrażam sobie domki śpiące jak stadko owiec skulonych na noc, od tych domków biegnie do morza długie, przedługie, betonowe molo, na którego końcu stoi stalowy komin drugiej wieży z lampą na szczycie. Jeżeli pilotowi portowemu uda się złapać nasze dwa światła w momencie okultacji, poprowadzi swój kil bezpiecznie ponad skałami aż do zasięgu wzroku trzeciej latarni na przylądku skrytym za zboczem góry.

Noc jest jasna, nie trzeba włączać syreny mgłowej, która lamentowałaby nad moim przytulnym mieszkaniem w cokole wieży jak zranione zwierzę uwięzione na rafie. Dziś mogę spokojnie siedzieć przy kubku herbaty i tak jak każdego dnia czekać na przylot dwóch pierwszych ptaków. Po to tu jestem – żeby móc przy mocnej słodkiej herbacie patrzeć na morze i obserwować ptaki. Piszę o nich książkę. Na ptasich gniazdowiskach spędzam już dziesiąty rok. Dziesiąty rok utrzymuję swoją lampę pełną i piszę listy do żony, która także zajmuje się morskimi ptakami. Jest piękna jak alka, jak fulmar, a jej listy składają się jak skrzydła albatrosa.

Rano, podczas odpływu, schodzę na plażę. Niebo się zachmurzyło. Z wysokiej chmury deszcz kropi na piasek ubity przez fale w równą płytę. Na falach pojawia się łódka, szybka nowoczesna łódka motorowa. Jest w niej jedna osoba, mężczyzna, marynarz. Nigdy go nie widziałem, i nigdy nie zobaczę, bo tutaj nie może dobić żadna łódź, tu łódź może się co najwyżej rozbić. Na marne machasz i krzyczysz, na marne dajesz znaki: nie możesz dostać się na mój brzeg. Od tej strony mogą się do mnie dostać tylko ptaki.

Emil obudził się po raz drugi. Wstał z łóżka, otworzył okno i postawił wodę na kawę. W łazience strumieniem gorącej wody spłukał z siebie pot snów.

Pijąc kawę, w czystej koszuli, zadzwonił do swojej przyjaciółki do pracy.

– Jak dyżur?

– E, nie wyspałam się za bardzo. Przywieźli ostry przypadek.

– O której?

– Jakoś po czwartej.

– Ciekawe.

– Co w tym ciekawego?

– Nie no, nic. Umarł?

– Nie, jeszcze nie. Leży na intensywnej terapii.

W drodze do pracy zatrzymał się w sklepie na rogu. Całą noc mieli otwarte. Teraz, z rana, sprzedawczynie miały już dość. Dwóch lumpów, zataczając się na ladę, układało w wielkiej utytłanej torbie kartony taniego wina.

– Jeszcze jedno. Starczy na jeszcze jedno – bulgotał ten wyglądający jak starszy brat drugiego, wysupłując ostatnie drobne. Obaj ledwo trzymali się na nogach. Emil czekał, aż przyjdzie jego kolej, i patrzył na nich, myśląc: To mało, chłopaki, to strasznie mało! W porównaniu do przejrzystych dziesięciu tysięcy gramów.

DIANA

Hans zaparkował na placu przed parafią. Wielkie domostwo wyzierało spomiędzy zielonych koron drzew jak znajoma, blada, trochę zaróżowiona twarz. Tynk może zarumienić się w taki sposób tylko w regionie, gdzie się nie pyli, gdzie z nieba nie spadają deszcze pełne syfu i kwasów. W regionie, gdzie okna myje się tylko przed świętami i to raczej ze względu na święto, nie dlatego, że faktycznie jest taka potrzeba. Zatrzasnął drzwiczki auta i z obrzydzeniem dotknął przedniej szyby oblepionej martwymi owadami. Docisnął palec wskazujący, aż zbielał mu paznokieć, i zrobił w tej krwawej obrzydliwej mazi pionową kreskę poza zasięgiem wycieraczek. Mogło to być „i” lub początek jakiejś innej litery. Właściwie wszystko zaczyna się od pionowej kreski. Nawet litery niezawierające linii pionowej są w stosunku do niej przynajmniej symetryczne. Dał spokój literom i ruszył w stronę domu, w którym kiedyś mieszkał jego dziad, proboszcz. W dzieciństwie zawsze bardzo mu się podobało, że dom tak uprzejmie spogląda na krainę, lecz dzisiaj to spojrzenie głębokich okien bez zasłon było raczej tragiczne, ciemne jak spojrzenie oczu szaleńców.

Pod drzewami przed wejściem do domu było gwarno. Stał tu wielki samochód ciężarowy. Volvo albo mercedes. Tak naprawdę był to mercedes, ale Hans od pierwszej chwili miał potrzebę twierdzić, że volvo, więc się tego trzymał. Młody proboszcz z kilkoma pomocnikami ładowali do wozu meble i całe gospodarstwo z komputerami, telewizorami i innymi urządzeniami elektronicznymi w oryginalnych pudłach. Pani proboszczowa, drobna, łagodnie zaokrąglona osoba z gęstymi włosami zwiniętymi w ciasny kok, opierała się o granitową futrynę szerokich drzwi, a między palcami trząsł jej się papieros. Hans mimo woli zauważył nerwowy ruch, z jakim strzepywała z niego nieistniejący popiół. Wąsaty sługa boży o szerokich ramionach wyglądał mimo tego całego przeprowadzkowego zgiełku na zadowolonego, Hans domyślał się więc, że przenosiny były raczej jego niż jej pomysłem.

– A, dzień dobry. Pewnie przyszedł pan zabrać książki po dziadku. Są na górze, na strychu. Cały czas w tej samej szafie. Wie pan, z początku miałem plany co do tego strychu. Chciałem go przebudować i wstawić okna

dachowe. Można tam było urządzić piękną pracownię, Marta trochę maluje...

Hans przypomniał sobie kartki z życzeniami noworocznymi, na których motywy roślinne cierni i dzikiej róży zręcznie splatały się z motywami kielicha i krzyża. Taki niewyraźny i czuły... kicz, stwierdził brat Hansa, malarz.

– Ale to już było ponad nasze siły. No i środki mieliśmy ograniczone, sam pan wie, jak proboszczom kiepsko się powodzi. Krótko mówiąc, zostawiliśmy strych w spokoju. Przybyło na nim tylko kilka naszych klamotów. Właściwie rzadko tam zaglądałem, ale zauważyłem, że każdy proboszcz zostawił w tym miejscu coś po sobie. No, my nie będziemy gorsi. Gdybym miał zabrać cały nasz majdan, już bym padł. Wie pan, jak to jest się przeprowadzać, to gorsze niż...

Hans wzgardził oklepaną frazą o pożarze i zamiast tego, poniekąd kąśliwie, rzucił coś w stylu, że – i tak Pan Bóg te nasze klamoty przebierze w swoim czasie.

– W sumie... – proboszcz wziął oddech, po czym westchnął ze zrozumieniem: – w sumie też prawda.

Po raz pierwszy od przyjścia Hansa na moment zamilkł i wbił wzrok w małżonkę stojącą niezdecydowanie w drzwiach. Do połowy pusta powierzchnia załadunkowa volvo, które za nim stało, nadawała tej scenie brutalnie tępą perspektywę jakiegoś nowoczesnego kościoła.

– Książki pańskiego dziadka są w tej szafie, że tak powiem, za kominem. Marta panu wskaże drogę, ale... – roześmiał się – przecież pan zna ten dom, a my, my już tu właściwie nie mieszkamy.

A jednak Marta go zaprowadziła. Szli obok drzwi opustoszałych sypialni i pustego gabinetu, aż do schodów prowadzących na strych.

– Wie pan, przeżyliśmy tu siedem lat – mówiła cicho – ale za bardzo nie zżyliśmy się z tym miejscem. Ci ludzie na wsi są tacy specyficzni, lecz i tak – kiwała głową, jakby przyznając komuś rację – i tak będę tęsknić – powiedziała, uśmiechając się nieśmiało.

Strych parafii tworzyły solidne niesione więźbą belki ułożone w prawidłowy ostrosłup czworokątny. Głębokie podłużne pęknięcia w belkach w dzieciństwie zawsze wywoływały u Hansa strach, że zrąb dachu się zawali. Później odkrył, że właściwie nie istnieje niepopękana belka i stało się to podstawą jego podejścia do życia. Kiedy już otrzeźwiał z

dążenia do doskonałości, sformułował je tak: skoro muszę być popękany, chcę przynajmniej być cholernie popękany.

Kawałek dalej, pod szczytem zrębu, na słupie komina było przymocowane coś na kształt ławki kominiarskiej. Hans, jego brat i reszta kuzynów z licznego rodu skakali z tej ławy na furę starych materacy poukładanych na wysłużonych łożach małżeńskich. Mówili na to skok jelenia i według logiki pewnego sprośnego kawału wyobrażali sobie, że właśnie tak lub podobnie będą kiedyś skakali na baby.

Były tu też jelenie. Na szafie, na skrzyni, wszędzie matowo lśniły porcelanowe jelenie, jelenie szczute przez psy, jeleń i łania oglądający się za siebie na polanie, jeleń skaczący. Na starym stole, na blacie imitującym marmur, było całe stadko. Dziadziuś proboszcz zawsze dostawał je od mieszkańców wsi w zamian za konfirmację, czyli nauczanie, egzamin i obrzęd, dzięki któremu młodzi ewangelicy dopuszczani są do Komunii Świętej i do pełnego uczestniczenia w zborze braci i sióstr. Duża liczba jelonków w porcelanowym stadzie świadczyła o tym, że dziadek wprowadził do Kościoła wiele generacji. Ale stado zostało bez pasterza. Właściwie jelenie nie potrzebują pasterza. Same symbole, pomyślał Hans.

Za kominem naprawdę stała szafa, niegdyś zabejcowana czerwoną politurą. Biblioteczka dziadka była już mocno przebrana, znalazł jednak trochę książek, które łączyły go z mężczyzną specyficznym jak wiejski lud i zarazem proboszczem, którego słuchały uważnie również osoby wykształcone. Sukcesywnie układał na kupkę: *Iskrzenie ducha* Jana Blahoslava Čapka, *Czeskie odrodzenie* Milíča Lochmana, *Sprawę czeską* i *Samobójstwo* T.G. Masaryka, *Ubogiego chłopca, który okrył się sławą* Jana Herbena, *Wielki ilustrowany atlas zwierząt, Tło historyczne Starego Testamentu* Slavomila Dańka, *Życie zwierząt* Brehma, *Serce Amicisa, Sieć wiary* Chelčickiego. Wielu innych książek, których grzbiety gładził oczyma zza szyby biblioteczki podczas nabożeństwa wieczornego, już tu nie było. Poukładał je w stosiki. Potem odłożył jedną z powrotem, żeby zostawić coś dla innych.

Z dołu dobiegał chrobot przeciąganych po podłodze mebli. Przez chwilę poczuł się jak na statku, gdzie pod pokładem marynarze przesuwają beczki. Jak wtedy, kiedy sypiali tu z kuzynem jako dzieci i czytali przed snem *Kapitanów zuchów* Kiplinga. Jak w kajucie. Było tu nawet coś w rodzaju kajuty, kabina z desek między belkami, ciemna komora, wewnątrz oklejona czarnym papierem z opakowań od papierów fotograficznych, mówili na to

„ciemnica”. Tam wywoływało się zdjęcia. Najpierw dziadziuś, potem wujkowie i w końcu oni, piętnastoletni chłopcy. W czerwonym świetle kąpali papier w wywoływaczu, a potem zaczynał się pojawiać obraz. Rodzi się z kreseczki, mówił zawsze kuzyn, nawiązując do innego sprośnego dziecięcego kawału. Wszystko rodzi się z kreski, i wcale niekoniecznie chodzi tu o kobiece łono, drzwi też najpierw są kreską, zanim staną się prostokątem. Zajrzał do środka. Pusto jak w Miejscu Najświętszym Świątyni Jerozolimskiej. Wszystko pozabierane. Nagle przypomniał sobie o Dianie. Powinna gdzieś tu być. Zaczął jej szukać z tyłu, wśród kurzu, aż pod samym ścięciem dachu, gdzieś tam ją kiedyś rzucili.

Wspomnienie jasne jak błyskawica. Położył rękę na zakurzonym zwoju papieru pakowego. Kiedy go rozwinął, w oświetlonym kwadracie pod lukarną ukazał mu się wielki narysowany węglem akt kobiecy. Pod nogami nagiej kobiety napisane było: *Wielka jest Diana Efeska*. Tak krzyczeli poganie w Efezie do apostoła Pawła, kiedy wieścił im ewangelię, brat Hansa narysował to więc po lekcji z Biblii. Wieczorem, przy latarce, na strychu, w asyście sapiącej reszty wnuków starego pastora. Miała wielkie piersi, dorodne biodra, odsłonięte łono i wyraz twarzy Ornelli Muti w filmie *Pierwsza miłość*.

Hansa rozbawiło, że mimo wszystkich ponętnych kształtów i mocnych atrybutów kobiecych Diana wyglądała raczej jak chłopiec, wystraszony chłopiec w kobiecym ciele. Całe studium anatomii kobiecej miał bowiem brat, i nie on jeden, dopiero przed sobą, a artyści nie pomagali sobie jeszcze wtedy zdjęciami. Teraz właściwie przeważnie się fotografuje. Ale ona jest prawdziwa. Puścił górny brzeg i Diana zwinęła się z powrotem w rolkę. Zapragnął wziąć ją ze sobą, ale przecież nie wypadało. Złapał rolkę i wrzucił do kąta za szafę, na jej miejsce.

Wziął stos książek i nagle zaczął się miotać. Kręcił się z książkami w stożku światła, cały zdyszany, cały poruszony. I żeby jakoś się zakotwiczyć, dołożył na górę stosu jelenie, te podczas ucieczki, z jednym kopytkiem uszkodzonym.

Pani proboszczowa zaśmiała się rozbawiona, widząc, jak cały umorusany schodzi ze schodów z książkami i jeleniami w ramionach.

– Dużo ich tam, nie? – szczebiotała. – Zawsze zastanawialiśmy się z Piotrem, skąd się wzięły.

– To długa historia, a państwu się śpieszy – Hans miał wymówkę.

– Proszę chociaż pójść się umyć, tylko że już zabraliśmy ręczniki.

Hans wytarł ręce ot tak, w spodnie, pożegnał się i ruszył w stronę drzew, w dół placyku. Zauważył, że duże volvo jest prawie pełne, tak, jak nigdy nie bywają nowoczesne kościoły. Później wszyscy odjadą, a dom osierocieje, być może na długo. Mówi się na to nieobsadzona parafia.

Kreska na górnym skraju przedniej szyby wciąż była tam, gdzie ją postawił. Włożył do walizki książki, jelenie ułożył na siedzeniu. Wsiadł do auta i zapiął pasy przed daleką drogą.

– Następnym razem wezmę cię ze sobą, Diano – powiedział cicho, obracając kluczyk w stacyjce.

MAGDA

Jaromir wypuścił się dzisiaj dalej niż kiedykolwiek przedtem. Niepostrzeżenie ulotnił się ze swojej ulicy, składającej się z sześciu identycznych domów po każdej stronie. Groszkowozielona glinka, która trzymała się szorstkiej powierzchni płyt ściennych jak ptasie ziele, odróżniała ją od sąsiedniej ulicy, gdzie po identycznych ścianach ściekały kolory czerwony i szary, jakby ze szczelin sączyła się krew. Jaromir przebiegł przez obce, nieprzyjazne podwórka różnokolorowych domów, które i tak wszystkie sczerwienieją i staną się takie same, kiedy dwunastoletni teraz chłopiec już jako dorosły mężczyzna będzie śpieszył się co dzień bezbarwnym porankiem na poranny autobus, i do głowy mu nie przyjdzie, że te domy miały kiedyś inne odcienie.

Zostaną tylko cienie, trwałe, dokładnie zdefiniowane prostokąty wyryte w pękającym asfalcie ulicy, które przez następne lata grupy asfalciarzy będą łatać i łatać, aż nie będzie wiadomo, co jest łatą, a co oryginalną drogą. To jest to życie, które przez wszystkie kolejne lata nie zdobyło się na nowy płaszcz.

Jaromir, dotąd będący w bezpiecznej odległości od swojego wieku dorosłego, przeskoczył ostatnią ulicę pokrytą błotem. Przejeżdżające opony aut wyryły w tym błocie dziwne grzebienie. Kiedy uważnie nad nimi przechodził, wyglądały jak zrobione z żelaza, jak pourywane gąsienice czołgów. Dalej droga ciągnęła się między kupami żółtej gliny, wznoszącymi się nad głębokimi wykopami, w których robotnicy montowali deskowanie pod roboty betoniarskie. Jaromir czołgał się pod ramionami dźwigów obok tablic z napisami „niezatrudnionym wstęp wzbroniony”, które rozumiało się wtedy inaczej niż teraz, i patrzył na te straszne opalone ciała robotników, na ich mięśnie, piersi i brzuchy, na przerażające słowa wypadające z ich ust. To ci dopiero robota! Mama mówiła, że pracują tam kryminaliści, ale on nie widział żadnych kajdan ani strażników z karabinami. Kto wie, jak było naprawdę.

Przeszedł między wykopami, minął kraty ogradzające materiały i całe to budowlane zaplecze, po czym nagle znalazł się w polu. Droga ze stwardniałymi gąsienicami zamieniła się w ścieżkę, która ciągnęła się dalej

miedzą między polami kukurydzy. W oddali, nad niekończącą się przestrzenią pól, rysowały się niebieskie wzniesienia prawdziwych gór, w które Jaromir będzie jeździł, kiedy tylko wstąpi do harcerstwa. Teraz jednak były to jeszcze dla niego nieznane i odległe góry za wielkim jak sawanna polem kukurydzy.

Jaromir poczuł, że bardzo chce mu się kupkę, takie wrażenie zrobiły na nim wszystkie te odległości. Ale pole kukurydzy z roślinami wyższymi niż on, z pełnymi kolbami w wąwozach liści, wyglądało niedostępnie. Jak miałby przedrzeć się przez nie, żeby o nie nie zahaczyć, i gdzieś tam ściągnąć spodnie? Wolał przycupnąć, właściwie usiadł na piętach. Nazywał to powstrzymywaniem na Indianina. Rzeczywiście, potrzeba po chwili minęła i Jaromir ruszył w dalszą drogę.

Był już naprawdę daleko od domu. Budynki mieszkalne i plac budowy zniknęły za kukurydzą. Po drodze minął specyficzną budowlę, o której wolał nie myśleć. Wypukłe mury w uścisku żelaznych trawersów groziły zawaleniem, do tego jeszcze te wielkie łuki nad drzwiami, długie na całą szerokość budynku. Hangar, hangar, dudniło mu w głowie, kiedy się oddalał. Ciekawe, czy w środku są jeszcze samoloty? Samoloty z karabinami maszynowymi z drugiej wojny światowej. Tata mu mówił, że gdzieś tu jest lotnisko, że tam piloci zrzucali worki z pocztą. Widział już tylko łuki nad wierzchołkami kukurydzy. Szedł dalej głównie po to, żeby nie wrócić i nie wejść do hangaru. Ciągle niespokojnie się oglądał, a kiedy w końcu popatrzył przed siebie, stanął jak wryty z otwartymi ustami.

Zobaczył ogromne dęby. Niezwykle potężne i pokrzywione gałęzie wznosiły ku niebu korony jaskrawozielonych liści. To była duża remiza, właściwie remiza samych tylko dębów w szerokim polu, opasana nieprzeniknionymi chruśniakami brzóz i grabów. Droga zwęziła się w ciasne przejście, niemal tunel, gdzie gałęzie smagały go po twarzy, a pokrzywy zostawiały na gołych kolanach i łydkach piekące ślady. Przedarł się przez całą tę cieśń i zachwycony, że właśnie pokonał strach, wkroczył w głęboki cień u podnóża dębów. Pod nogami szeleściły mu i pękały opadłe liście i żołędzie, ale Jaromir nie zwracał na nie uwagi, z odchyloną do tyłu głową patrzył na żywe sklepienie gaju, który właśnie nazwał – Dębina. Tak, Dębina, Dębina! Nikt o niej nie wie. O tym pnącym się w górę mroku, o pniach jak filary kościoła.

Nikt nie trafił tu od wielu lat. Palono tu kiedyś ognisko, tu kiedyś... Między dwoma drzewami wisiała lina, silnie skręcone łyko łozowe z

dawnych czasów. Trochę potrwało, nim zrozumiał, że to huśtawka. Usiadł na linie i złapał się oburącz. Wspiął się na górę po łagodnym spadzie, potem uniósł nogi i poleciał w przestrzeń jak ptak. Zapadał się i znów do przodu, zawsze odpychał się w najniższym punkcie. Sam jak palec robił tu rzeczy, których nigdy nie odważyłby się zrobić.

Nikomu o tym nie powiem. To będzie moja tajemnica. Wyobrażał sobie, jak cała rodzina siedzi w kuchni, ojciec szykuje się na nocną szychtę, bracia i siostry mówią jeden przez drugiego, a on, Mirek, Jaromirek siedzi cicho nad lekcjami i spisuje w zeszycie kronikę swojej Dębiny. Przystanął pośrodku okrągłych cieni drzew, gdzie przez szparę między koronami wpadała jasna smuga światła, i nasłuchiwał. Słyszał tylko ciszę, tylko swój oddech, tylko swój głos, śpiewający odnaleziony nagle hymn.

Magda czuła, że się dusi. A przecież było tu w sumie dosyć dużo miejsca, nagie ściany i kilka rzeczy wstawionych na szybko, tylko to, co najpotrzebniejsze. Nie mogła złapać oddechu. Jutro przywiozą jej dziecko i łóżeczko, jakieś meble. Nie mam żyrandola, patrzyła na dwa druty sterczące obok haka na środku sufitu. Właściwie nie chcę palić tu mocnego światła. Wystarczy lampka przy materacu na podłodze, no i trzeba tu pomalować. Mój Boże, nie przeżyję tego, łapała oddech jak ryba.

Otworzyła drzwi na balkon i stanęła w progu. Zaskoczyła ją krata. Nie w drzwiach. Krata, która zamykała przestrzeń loggii. Zardzewiałe żelazne pręty przyspawane do barierki i wpuszczone w krawędź stropu, właściwie w podłogę balkonu na pierwszym piętrze. Wiedziałam, że to będzie parter, ale aż taki? Dolna krawędź balkonu nie znajdowała się wyżej niż sto dwadzieścia centymetrów nad, jak by to powiedzieć... nad otaczającym ją terenem. Magda znalazła właściwe określenie na zadeptany trawnik i chodnik, na którym kostka brukowa, ułożona niegdyś najwyraźniej bezpośrednio na błocie, była powywracana na wszystkie strony świata. Nie da się po tym chodzić, świadczyły wydeptane ścieżynki i ślady po wózkach dziecięcych biegnące równolegle do chodnika, po trawniku. A jak już pada, to jak cholera! Cholera to musiała być z tego architekta, który narysował i zbudował dom z balkonem metr dwadzieścia nad ziemią, jakby z zaproszeniem dla złodzieja. Bydle, które wie, że nigdy nie będzie mieszkać w tych budynkach na byłych polach kukurydzy. Niech sobie zakratują, niewolnicy, pomyśli sobie pewnie, idąc po trawniczku do swojej willi

wybudowanej za pieniądze, których tu wszystkim brak. Nie, nic sobie nie pomyśli. Nawet przez sekundę dziennie nie myśli o niewolnikach.

No i sobie zakratowali. Już widzę facetów, jak trudzą się po schodach z zestawem do spawania i butlami gazowymi. Pręty. Sami siebie wsadzają za kraty. Pojawia się problem. Kiedy zakratuje się balkon na parterze, można wejść po kracie na balkon na pierwszym piętrze, więc butle i pręty wprowadzają się jeszcze o piętro wyżej. Ale sąsiad z drugiego piętra zaczyna się denerwować, na pewno znajdzie się taki, który po kracie wlezie i na drugie piętro, więc pręty rosną o piętro wyżej, i na trzecie..., to już musiałby być Zorro mściciel, lecz kto wie? Tu następuje granica odwagi i żenady. Niektórzy wstawiają kratę nawet na trzecim piętrze, ku boleści i wściekłości piętra czwartego, ale przeważnie na drugim się kończy. I tak oto domy same powlekają się kratami, zamieniając się w coś w stylu klasztoru kartuzjańskiego. Dzięki Bogu za te kraty, myśli Magda, przynajmniej nie wlezie mi tu przez balkon.

Nieopalona, w ciasnej białej podkoszulce, krótkie, zafarbowane na rudo włosy, czerwone spodnie trzy czwarte, cementowa podłoga pod bosymi stopami, oddycha okratowanym powietrzem i drży jak przemęczona klacz. Gdzieś wyżej uderza o ścianę wirująca pralka, takie długie, niekończące się przybijanie. Niektórzy robią to w ten sposób. Ach. Magda siada na plastikowym krześle, które zostało po poprzednim wynajmującym. Zapala papierosa i kuli się cała w intymnej przestrzeni ogrodzonej barkami i kolanami, obojczykiem, małymi piersiami, łonem i ramionami. Tu jest mój dom. Tu pościelę ci łóżeczko, synku. Pali i trochę ryczy. Będziemy razem chodzili na zakupy do dyskontu w dawnym hangarze, te łuki ci się spodobają. A na spacer będziemy sobie chodzić do tego dębowego lasku, który ostał się między blokami, cały obłamany i poniszczony. Nikt nas tam nie znajdzie.

BETESDA

Kiedy Ludwik zobaczył tego człowieka po raz pierwszy, w ogóle nie zwrócił na niego uwagi. Po prostu jakiś akwizytor pukający do drzwi biura, sprzedawał płyty kompaktowe z muzyką pop. Klasyczne kolekcje hitów.

– Nie ma pan muzyki poważnej? – zapytał Ludwik, który szczerze nienawidził kolekcji hitów, zwłaszcza *Na święta, na prezent*...

– Muzyki poważnej, muzyki poważnej... – powtarzał zakłopotany akwizytor. – Mam tu, panie, utwory na orkiestrę. Różne standardy i szlagiery w aranżacji orkiestr, taka nastrojowa muzyka do posłuchania i zrelaksowania się.

– A, to się chyba nie dogadamy – odpowiedział Ludwik, wyprowadzając sprzedawcę za drzwi.

Usiadł przed komputerem i nim zabrał się do pracy, chwilę się jeszcze zastanawiał, skąd właściwie wziął się tutaj ten człowiek, którego twarzy nie mógł już sobie przypomnieć. Chyba próbował szczęścia. Przecież już ochroniarz powinien był go wyrzucić, razem z tymi jego utworami na orkiestrę.

Ludwik siedział z oczami wlepionymi w monitor. Nawet nie zauważył, że deszcz za oknem zaczyna rozkwitać rzadkimi płatkami śniegu. Kiedyś studiował muzykę, potem nawet teologię, miał w życiu taki gorący okres, kiedy chciał służyć Bogu, w końcu wylądował jednak przy tej dobrze płatnej, ale żmudnej komputerowej harówce. Na czas wykonywania pracy musiał zawsze zapominać absolutnie o wszystkim, wyłączać swoje niepotrzebne w danej chwili obwody i skupiać się wyłącznie na tym, czego oczekiwał od niego program. W przeciwnym razie robił błędy. Nie miał obsługi komputera we krwi, jak młodzi.

Na zewnątrz zapadał zmrok, ale monitor wciąż był tak samo jasny. Ludwik sięgał czasem po papierosa, kilka razy próbował napić się kawy z pustej już filiżanki, a potem przez kilka minut mielił między zębami irytujące ziarnka fusów, lecz i to po chwili robił już nieświadomie. Przygotowywał niekończącą się tabelkę w programie Excel, gdzie do odpowiednich kolumn wpisywał ośmioznakowe kody. Nabierał je do swojej pamięci krótkotrwałej i wpisywał w inne miejsca: *osiem osiem – cztery*

sześć – trzy pięć – siedem jeden i dziewięć dziewięć – cztery dziewięć – osiem trzy – osiem dwa i siedem osiem – pięć jeden – trzy dziewięć – siedem osiem. Przy trzecim łańcuchu był już pewien, że zapomniał, jaki był pierwszy, wprowadzając kolejny kod: *trzy cztery – siedem trzy – dwa pięć – jeden dziewięć,* zapominał, jaki był drugi, i tak przez parę godzin. Numery przechodziły przez jego głowę, on je bez wahania zapisywał. Jutro ktoś to sprawdzi i nie znajdzie ani jednego błędu, lecz w mojej głowie nie będzie już ani jednego z tych numerów. Za każdym razem trzymam je tam dokładnie około dwóch sekund. Zdjął ręce z klawiatury. W mroku za oknem padał śnieg.

Gdzie są moje liczby? No jak to gdzie, przecież są zapisane w programie, jeszcze pamiętam ostatni szereg: *pięć sześć – osiem jeden – pięć dziewięć – trzy cztery*, ale już znikają. Gdzie znikają?, pytał Ludwik, cicho obserwując zanik szeregu cyfr w swojej głowie.

Gdzie są moje liczby? Zniknęły w podziemiach niepamięci jak nigdy niezagrane nuty. Płacą mi za to, że przepuszczam przez swój biedny mózg tysiące numerów o niezrozumiałym dla mnie znaczeniu. Jestem jak kopiści nut, kopiowali partytury, a nigdy ich nie słyszeli. Nikt nie oczekiwał, żeby słyszeli, mogli być nawet głusi, wystarczyło, że mieli ładne pismo, którym nieświadomie muskali mistrzów muzyki – Johanna Sebastiana, w którego kompozycjach jest ponoć ukryta Ewangelia, lecz w głowach pozostawała po nich taka sama pustka jak mi po tych kodach.

Ludwik przestał pracować. Starannie zapisał to, co dzisiaj zrobił, i wyłączył komputer. W pomieszczeniu rozgościł się mrok. Przez chwilę po prostu siedział, patrzył na fruwający śnieg i myślał o tym, o czym zapomniał. Było to rozmyślanie o niczym. Przecież mógł myśleć jedynie o tym, co zapamiętał. Dookoła roztacza się ciemność, w której zbierają się na moment błyszczące płatki naszych przeżyć i strach. Strach, który trafia do głowy, tak jak do serca, i nie zbawi cię żadna teologia, musisz przestać o nim myśleć, musisz odwrócić się plecami od jego przepaści i ruszać dalej.

Wstał. Zapalił górne światło i sprawdził, czy wszystkie urządzenia są prawidłowo wyłączone. Wystukał kod bezpieczeństwa i opuścił pomieszczenie.

Byłoby jeszcze gorzej, myślał, przechodząc bezosobowymi korytarzami rozległego budynku, gdyby te numery jednak gdzieś się zachowały, poustawiane i zjeżone jak grzebienie w niekończących się szeregach.

Przeszedł przez portiernię i kiwnął strażniczce, która wbrew przepisom wpuściła do budynku domokrążcę.

Wcześniej planował, że pójdzie na zakupy, ale nie czuł się specjalnie dobrze. Nie miał ochoty na centrum handlowe ani na powrót do domu. No to w takim razie... nawet nie wiedział, kiedy znalazł się w knajpie. Nazywała się Bar Pelikan. Może tu spokojnie posiedzieć, jak dawniej, kiedy jeszcze bywał w knajpach. Zajął stolik w rogu. Był prawie sam. Tylko przy barze siedział jakiś facet i rozmawiał z kelnerką. Rozpoznał akwizytora, który po południu oferował Ludwikowi utwory na orkiestrę. Widocznie zrobił obchód po rewirze i zatrzymał się na wódkę. Ludwik poczuł swąd tanich papierosów, które przemyca się z Polski bez banderoli. Było nimi czuć od tego gościa już na górze w pokoju, pomyślałem nawet wtedy, że śmierdzi tymi strasznymi fajami, nazywają się Caro czy jakoś tak.

Zamówił wino, jak kiedyś, kiedy bywał w knajpach, białe wino, Müller Thurgau, i zapatrzył się na akwizytora. Na jego błękitną papierową walizeczkę z aluminiową skuwką. Miał ją otwartą na ladzie baru, pokazując kelnerce zawartość.

– Wie pani, to jest piękna kolekcja. Piosenki z filmów i bajek. Nie ma tu pani przypadkiem odtwarzacza płyt kompaktowych?

– Nie, raczej nie – uśmiechała się kelnerka, kobieta koło trzydziestki, z ładną, pociągłą twarzą, matczyny typ, wykazujący się zrozumieniem dla gości.

– Szkoda, sam bym sobie posłuchał.

– To pan nie wie, co pan sprzedaje?

– W tym przypadku, muszę przyznać, że nie. Szef mi to rano zapakował bez słowa. Ale wszyscy znamy te filmy: *Trzy orzeszki dla Kopciuszka, Saxana...*

Ludwik zauważył nagle, jak kruchy jest ten człowiek. Miał brudne ręce, brudne kostki rąk i paznokcie, umorusane mankiety. To nie był zdrowy brud silnych, spracowanych dłoni. Ten brud trawił wątłe, chude ręce jak choroba. Podobnie jak głębokie cienie zmarszczek na jego twarzy. Lepiej nie myśleć o zębach ukrytych za zwisającymi wąsami. Do tego obowiązkowo omszały garnitur i oblazły krawat, który wił się po jego klatce piersiowej jak drwina z dekoracyjnego zadania, jakie powinien przecież spełniać. Na nogach półbuty z obwódkami błota. Miał trochę dłuższe włosy i bródkę.

Ludwik napił się wina, obserwując akwizytora spod przymrużonych powiek. Kogo on mi przypomina? Cholera. Myślał o czasach, kiedy

muzykę sprzedawano jeszcze na wielkich czarnych płytach, w zdartych opakowaniach. Już wiem, wygląda jak Paul McCartney na *Let It Be.* Tak by dziś wyglądał Paul, gdyby ominął go sukces i miliony. Gdyby się nie przebił i do dziś gdzieś w Liverpoolu sprzedawałby źle sprzedającą się produkcję z Apple Records. Apetyczne jabłka, nagle suche i pomarszczone jak twarz prawdziwego bohatera piosenki *I'm A Loser.*

Dźwięk tej piosenki natychmiast przeniósł Ludwika z powrotem do kilku wyraźnych scen z lat młodości. Jakaś dziewczęca twarz, odrobina oczekiwania i smak na ustach... to wszystko już za mną. *Sześć jeden – osiem cztery – dwa pięć – dziewięć trzy,* czy tak to szło?

– Wie pani, z dziećmi nie ma lekko – opowiadał akwizytor kelnerce, która słuchała go z empatyczną uwagą.

– ...moja druga żona zabroniła mi się z nim spotykać, mówi, że nie jest mój, co zresztą udowodniły badania, nie miałem więc szans przy rozwodzie. Ale wcale jej nie przeszkadzało, jak chodziłem z nim na ręczną, na siatkę, do teatru i na koncerty... Teraz po prostu zakaz!

– No, to rzeczywiście nie jest panu łatwo, niektórzy ludzie nie mają rozumu – przytaknęła kelnerka, po czym nalała mu kolejną wódkę, a Ludwikowi przyniosła kolejne wino. Na niego również patrzyła ze swoistym zrozumieniem, jakby mówiąc: ale tu mam biednych chłopaków...

– Tylko, że chłopak już wpadł w twarde narkotyki, taki efekt – zakończył akwizytor.

– Tego się najbardziej boję – wzdrygnęła się kelnerka. – Ja mam córkę, jestem z nią sama, ale póki co, odpukać – energicznie dwa razy zapukała w stół – póki co to aniołek.

– Ja też mam córkę – pośpiesznie wtrącił swoje trzy grosze akwizytor, a i Ludwik był niedaleki od oznajmienia wszem i wobec, że też ma córkę aniołka.

– Ona już jest moja, jeszcze z pierwszego małżeństwa – ciągnął domokrążca – ma perspektywy, musi się tylko zdecydować, czy iść na psychologię, czy na modelkę, piękna z niej dziewczyna. Pewnie już jest niezależna, dawno jej nie widziałem. Wie pani, co ja jej mogę dać, z tym tu – smutno poklepał walizeczkę z płytami.

– A niech pan pokaże, coś puścimy – zaproponowała kelnerka. – Myślę, że w tej wieży jest kompakt, tylko my cały czas mamy włączone radio.

Radio umilkło i po knajpie rozlała się bajkowa muzyka.

– Ile pan ma z jednej sprzedanej płyty? – spytała rzeczowo.

– Dwadzieścia koron. Dzisiaj sprzedałem dziesięć, no to się jeszcze mogę napić – podał jej pustą szklankę.

– Myślę sobie, że niepotrzebnie rzuciłem studia, studiowałem pedagogikę, mogłem być nauczycielem – dokończył tęsknie.

– No, wtedy raczej lepiej by pan nie miał – pocieszała kelnerka.

Dwadzieścia koron. Dwieście koron za cały dzień tułaczki z walizką. Ludwikowi pod stołem zaczęły trząść się nogi. Patrzył na akwizytora i wszystko się w nim kotłowało. Jedna płyta – jeden kieliszek. Mój Boże, co za nędza, za dwadzieścia koron...

– Wie pani, po prostu trzeba trafić na odpowiedniego człowieka. Na kogoś kto ma kasę i potrzebuje tej muzyki na przykład do klubu czy na dyskotekę, taki potrafi kupić ze sto, całe zestawy, klasykę, country, utwory na orkiestrę. Potem mam z górki. Parę razy trafiłem na człowieka, co kupił nawet sto pięćdziesiąt. Ale muszę przyznać, że dzisiaj nie trafiłem. Wczoraj też nie – uśmiechnął się.

Ludwik, który niegdyś mało nie został proboszczem, nieuchronnie przypomniał sobie historię znad sadzawki Betesda.

Panie, nie mam człowieka, aby mnie zaniósł nad wodę, gdzie anioł boży uzdrawia, więc leżę tu od wielu lat, wołał chory do Jezusa.

Panie, nie mam człowieka. I co odpowiedział mu Jezus? Ludwik czuł, że oblewa go gorąco, a ręce zmaga okrutna słabość. I co mu odpowiedział? Wstań i chodź! *Dwadzieścia czterdzieści – sześćdziesiąt osiemdziesiąt – sto sto dwadzieścia – sto czterdzieści sto sześćdziesiąt* – ile ma przy sobie pieniędzy?

Akwizytor podniósł się, chwycił walizeczkę i ruszył w stronę drzwi.

– Proszę poczekać – wołała kelnerka – zapomniał pan płyty.

– Niech sobie gra, to będzie prezent od naszej firmy – machnął ręką akwizytor, ruszając w stronę bożonarodzeniowej ciemności.

URSZULA

– Ciągle siedzi w wannie. Nie wiem, o co chodzi, ale ta moja baba kąpie się chyba ze trzy razy dziennie – westchnął Roman Hradilek, ze znawstwem okręcając piwo, które właśnie mu przyniesiono. Zgrabnie je okręcił na korkowej podstawce i kiwnął głową z zadowoleniem jak gracz w mariaszu, kiedy mówi: Kolor? Dobra!

– To syndrom kąpieli, normalny u kobiet po trzydziestce, nie przejmuj się – zapewnił go kompan, Wagner. – Moja też tak robiła przed rozwodem.

Stuknęli się kuflami. Piwo im weszło. Piwo zawsze wchodzi. Popołudnie skłaniało się w stronę wieczora, wpół do szóstej, wpół do siódmej. Trzy, cztery browarki i do domu. W sam raz na wiadomości w telewizji. Spotykali się tu cztery razy w tygodniu, między piątą a siódmą, taka mała paczka. Tylko w środę chodzili grać w piłkę nożną na wynajętą salę. Coś dla zdrowia, potem zasiadali przy knajpianym stole dopiero o dziewiątej, po piłce chce się pić. Roman nie potrafił już sobie wyobrazić drogi z pracy do domu bez knajpy.

– Nie chodzi mi o piwo – tłumaczyła jego żona, Urszula, w czasach kiedy jeszcze robiła mu wyrzuty. – Denerwuje mnie tylko, że robisz wszystko, żeby uniknąć całego tego popołudniowego zamieszania.

Mówiąc to, miała na myśli dzieci, podwieczorek, zakupy, zadania domowe, najazdy teściowej, która nudzi się na emeryturze i regularnie odwiedza młodych, którzy, do cholery, wcale nie są już młodzi. Cały ten burdel zostawiasz mi na głowie. Wściekała się, a Romana denerwowało, że Ula tak dokładnie formułuje to, o czym on wcale nie chce mówić. Tę okropną niechęć do spędzenia popołudnia w mieszkaniu. Tę głupią godzinę, kiedy powinienem niby być z nimi i udawać troskliwego ojca. Jednak niezmiennie odpowiadał: – Chyba od tego jesteś kobietą, nie? Teściowa, jego matka, zawsze wspierała go spojrzeniem, a potem darli się na siebie z Urszulą zamknięci w łazience, żeby dzieci nie słyszały. Wymuszona intymna bliskość w chwilach kłótni, zduszony krzyk i obecność rozpalonego gniewem ciała Uli rozbudzały w Romanie oprócz wściekłości także swego rodzaju ochotę na kobietę. Logicznym byłoby, myślał sobie ten dobrze zbudowany lekarz sportowy, najpierw zbić Urszulę, a potem się z

nią kochać i w ten sposób połączyć tłumioną złość z seksem. Lecz nigdy jej nie zbił. Raz boleśnie ścisnął za nadgarstki, a jego niezwykle silne ręce zostawiły na nich brzydkie siniaki. Potem się bał, że Ula specjalnie będzie nosiła coś z krótkim rękawem. Ale ona nie była taka. Załatwiła sprawę czarnym golfem, który zamiast siniaków eksponował jej ciągle ładny biust. Czarny golf, dżinsy, włosy w koński ogon, torebka, papierosy i do koleżanki na likier. Nagle znowu wyglądała jak studentka.

Kiedy zabiegał o jej względy jako student, fascynowało go, że w ogóle nie rozumie, co dzieje się w jej mądrej głowie, jak tajemnicza jest dla niego ta dziewczyna, która mówi tak samo dobrze po czesku, polsku i niemiecku, a cały wydział nauk humanistycznych leży u jej stóp, podczas gdy on z trudem przedziera się przez tę swoją medycynę, wstydząc się za marzenie rodziców robotników, żeby mieć syna lekarza.

Obłudna złota młodzież w klubie studenckim wyśpiewywała wtedy odważnie:

W górze gaj w dole gaj, ścieżka mknie gaikiem,

Ojciec był doktorem, ja będę górnikiem!

Pozycja medyka tak ogłupiła Romana, że śpiewał razem z nimi również drugą zwrotkę, która była jakby wyjęta z jego życiorysu:

Ojciec był górnikiem, ja będę doktorem!

Po niej zawsze następowała salwa śmiechu. Urszula, która chodziła z nim czasem do klubu, powiedziała mu z brwiami uniesionymi nad swoje szykowne okrągłe okulary, że ta zabawa to taki socjalistyczny onanizm. A on drżał z zachwytu i trochę już ze złości, że tak celnie potrafiła to nazwać.

Później jej celność w odkrywaniu jego onanizmów stała się nie do zniesienia. Wydawała mu się jakaś nieludzka. Jakby z wdziękiem i elegancją zawsze spokojnie przechodziła o jeden, istotny dla niego stopień wyżej. On również w końcu poszerzył swoje wąskie spojrzenie i zaczynał rozumieć, że świat jest inny niż mu to od małego wbijano do głowy, lecz Urszula miała to już dawno za sobą i jakby brakowało jej cierpliwości do tych jego opóźnionych odkryć. Wówczas nadal szczerze wierzył, że razem jakoś to pokonają. Urszula także miała nadzieję, że Roman trochę dorośnie. Każdy jednak miał nadzieję sam, i tak już zostało, nawet kiedy urodziły się dzieci.

Kiedy wtedy w nocy wróciła od koleżanki, niczym nie zaskoczyła Romana. Doskonale rozumiał jej „daj mi spokój” i „nie dotykaj mnie”. Leżeli obok siebie i czuli, jak ich życie zaczyna ogarniać zmęczenie.

O wpół do dziewiątej wieczorem uświadomiła sobie, że wchodzi dziś do wanny po raz trzeci i zachciało jej się wymiotować. Nie od tego wrzasku dorastających dzieciaków, nie od w kółko tych samych gadek teściowej, która zasiadła w kuchni i rządzi wszystkim jak niemal co wieczór, a kiedy przestanie ją to bawić, zabierze się i beztrosko wróci do spokoju, który pozostawił po sobie mąż, którego zamorzyła na śmierć pod pantoflem. Nie, nie było jej od tego niedobrze, nawet rozumiała tę kobietę i na swój sposób była jej wdzięczna, że przynajmniej ma się do kogo odezwać. Tak naprawdę, już nawet nie przeszkadzało jej, że Roman znowu porządnie napity dokładnie o wpół do ósmej zaparkował przed telewizorem, ostatecznie lepsze to niż gdyby czegoś próbował. Było jej niedobrze, bo z góry wiedziała, że ta kąpiel nie pomoże. Ani ciepła, ani chłodna, ani różowa, ani lazurowa, wszystko do dupy, powiedziała, mimo to do niej wchodząc.

I tak jest ze wszystkim, przynajmniej od czasu, kiedy straciła pracę na uniwersytecie, a na inną już się po prostu nie zdecydowała. Wiadomo jak to jest, być specjalistką do spraw korespondencji zagranicznej w prywatnej firmie handlowej, normalnie los na loterii, za parę koron tłumaczyć idiotyczne mejle i drżeć ze strachu, że cię wyrzucą i posadzą na twoim miejscu młodą pipkę. Niech sobie pieniądze zarabia pan doktor, konsultant, trener, niech sobie przy tym biega za tymi swoimi młodymi laskami, ja już mu niczego nie wypominam.

Gorąca woda jednak przyniosła jej szczyptę błogości. Przynosi ją też sen. Kobita bez pracy, oporządzi rodzinę i idzie spać. No i co z tego, skoro musi prosić o każde sto koron. Z mieszanymi uczuciami patrzyła, jak kosmetyki jej córki i – mój Boże – również syna stopniowo wypychają z półeczek te jej.

Kiedy rano wszyscy wyszli, Urszula nie poszła spać ani nie położyła się w wannie, jak to miała w zwyczaju. Ładnie się ubrała i trochę umalowała w łazience, nie patrząc przy tym, czy używa swoich kosmetyków czy córki. W przedpokoju wpadła na bagaże Romana. Pan doktor jedzie na obóz z rugbistkami. Roześmiała się. Czasy, kiedy miała chęć grzebać w rzeczach męża i znajdować przeróżne poszlaki, dawno minęły. Dzisiaj sama go spakowała, rutynowo, nawet o tym nie myśląc. On tylko przeniósł sobie walizki bliżej drzwi, żeby mieć je pod ręką, kiedy wstąpi tu w drodze z przychodni.

Czy aby na pewno masz wszystko? Będziecie mieszkać w hotelu. Tam się tobą dobrze zajmą. Na pokoju, tak mówisz, jak wszyscy analfabeci, na pokoju, fu!

Wyszła z domu i wyobrażała sobie, że idzie do pracy. Że będzie przekładać książki. Najlepiej z polskiego na niemiecki, to by jej się podobało, przejeżdżałaby przez tę pipidówę jak pociągi, które się tu nie zatrzymują. Nie powinnam była nigdy tu wysiadać. Wszystko moja wina. Nagle zrobiło jej się żal Romana, Romany i Roberta, nawet teściowej. Biedni ludzie. Rozum się potyka i powstaje życie, nawet tam gdzie nie powinno. Taka jest istota życia, kiedy rozum śpi, nie płodzi się tylko koszmarów, ale również małe dzieci, niedorzeczne stare matki i mężów, którzy zamiast do domu wolą iść do knajpy albo „na pokój".

Miło rozmyślało się jej o sobie jak o kimś innym. Zaszła do sklepu, chociaż nie było takiej potrzeby, Roman z matką przywieźli z supermarketu całą lodówkę jedzenia, ale przecież o czymś zapomnieli, czegoś przecież w tych walizkach brakuje. Nie umiała tego kupić. Roman zawsze kupował to sobie sam, kiedy jeszcze razem tego potrzebowali, teraz też to sobie kupuje i już nawet się z tym nie kryje. Błądziła między regałami, ale nie dała rady kupić tego ot tak. Wkładała do wózka rzeczy, do których mogłaby to potem tak jakby dołożyć. Przecież jestem duża kobita, nie, czuła się jakby była mała i kopnięta. Wzięła ser, butelkę wina i owoce. Jak na kolację przy świecach. Dodała wkładki higieniczne, ale odłożyła je. W ogóle do tamtego nie pasowały. Spróbowała z proszkiem do prania. Co za hańba! Tak samo jak papier toaletowy, chleb, cokolwiek. Nagle cała sprawa zamieniła się w problem natury estetycznej. Co właściwie do tego pasuje?

No nic, kupiła tylko wino, owoce i ser. Zabezpieczenie kupiła potem w sklepie przy stacji benzynowej, jak to się mówi na cepeenie. Papierosy i Durex, jak jakaś dziwka.

Później, w domu, otworzyła walizkę Romana i włożyła do niej pudełeczko, które tak trudno było jej zdobyć, do jego kosmetyczki obok szczoteczki do zębów i kremu do rąk. Teraz masz już wszystko, pomyślała sobie i znowu wyszła z mieszkania, zdecydowana nie wrócić, póki te walizki nie znikną.

KARUZELA

Łabędzie w taki pochmurny dzień? Czasami są to smoki, chyba bardziej pasowałyby do świstka trującej mgły powiewającego między blokami, jednak tym razem to łabędzie podźwignięte w górę za pomocą mechanizmu karuzeli. Powietrze jest tak gęste, że nawet srebrne tłoczyska wyjeżdżające z walców hydraulicznych nie lśnią chromową stalą, tylko pozostają matowoszare jak zgaszone jarzeniówki.

A jednak się kręci. W półmroku jesiennego dnia ojciec z dzieckiem w plastikowej łupinie między skrzydłami łabędzia, wysoko ponad dachem centrum handlowego, które kiedyś nazywało się Rozlet[5]. Duży i mały człowiek między niebem a ziemią. Żeby w to uwierzyć, trzeba mieć serce jak Hans Christian Andersen.

Dwie kobiety w płaszczach, z siatkami na zakupy, na chwilę unoszą głowy, zahaczając wzrokiem o ptaki z laminatu, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, tak jak duże i małe karuzele łańcuchowe, kolejki górskie, huśtawki i minikolejki, które stały w czarno-białym mroku jak zapomniany warsztat. Tylko tych dwoje w powietrzu mogłoby nadawać całości jakiś sens, gdyby nie byli tam tak bardzo sami.

– To dziewczynka czy chłopak? – zapytał Hans, odrywając na chwilę oczy od dużej fotografii w passe-partout.

– Właściwie nie wiem – odpowiedział fotograf Bednarz. – Zastanawiałem się nad tym. Byli tak daleko, specjalnie nie złapałem tego teleobiektywem, chciałem, żeby na zdjęciu była cała okolica i jeszcze te dwie baby z przodu.

– Myślę, że dziewczynka – zgadywał Hans.

– Właściwie, ja też. Że duży to facet widać od razu, ale to małe, taki niedźwiadek.

– Piękna fotka – podsumował Hans, ponownie klękając na podłodze, gdzie była rozłożona cała wystawa Bednarza, którą przygotowywał.

Wolał trzymać się czarno-białych ujęć i rozpalać rodzące się w nim i jeszcze nie całkiem zrozumiałe poruszenie, które będzie musiał zamienić w tekst do katalogu. Nie mógł jednak nie zauważyć dusznej atmosfery domu Bednarzów. Czy rzeczywiście musi tak być, myślał, nie mogąc odgonić

myśli, że Alicja Bednarzova właśnie siedzi w kuchni i trochę płacze, popijając białe wino. Wygląda przez okno, pogoda jest podobna do tej na zdjęciu, ale bez łabędzi, bez ojca i bez dziewczynki niedźwiadka. Za chwilę wstanie, pójdzie do łazienki, gdzie będzie długo, długo naprawiać to, co narobił płacz. A fotograf Bednarz będzie się tymczasem jakby niedomyślnie uśmiechał, wzruszał ramionami i robił głupie miny typowe dla ludzi, którzy mają problem. Problem tak ogromny, że nie da się o nim mówić, można o nim tylko wrzeszczeć, trzaskać drzwiami, odchodzić, upijać się. Robić na złość drugiemu straszne rzeczy.

Alicja Bednarzova, Alicja Bednarzova, te dwa słowa już niedługo nie będą trzymały się razem, myślał Hans, patrząc w twarz człowiekowi niosącemu pękniętą pleksę. Jakiś techniczny na stadionie zimowym. Pęknięcia, odgniecenia i zadrapania od krążka, od łyżew hokejowych i kasków hokeistów wyświetlają się na twarzy zmęczonego człowieka, który zarobi parę koron, kiedy z grupą jemu podobnych wszystko tam zdemontuje i zmieni lodowisko wielofunkcyjnej hali sportowej w kort tenisowy lub w parkiet do tańców latynoamerykańskich.

W wielofunkcyjnym świecie wszystko jest możliwe, tylko te zmarszczki wokół oczu i ust, te pęknięcia, odgniecenia i zadrapania, które bolą dopiero gdzieś w okolicy serca, tylko one będą coraz głębsze.

Do pokoju weszła Alicja, niosąc na tacy szklanki i kanapki. Jajka na twardo, oliwki, kawałki papryki, szynka – musiała mieć z tym w cholerę roboty. Sama też wyglądała pięknie, w lejącej brązowej sukience-podomce dobrze pasującej do jej brązowych oczu, w których ślady płaczu zobaczyłby tylko ten, kto by ich tam szukał. Ostrożnie, bosymi nogami ze skórzaną bransoletką na kostce stąpała między fotografiami swojego męża. Bednarz i Hans ani drgnęli. Wywarła na nich wrażenie. Któż by nie chciał mieć takiej żony?, myślał Hans. Bednarz, człowieku, kto by nie chciał siedzieć przy stole otoczony skoro już nie dziećmi to przynajmniej swoim dorobkiem artystycznym, patrząc, jak jego piękna żona przynosi poczęstunek?

To nadaje się bardziej na kolorową niż czarno-białą fotkę. Mógł sobie darować wzmiankę o dzieciach, Hans upominał sam siebie za to, że znowu, znowu zepsuł w swojej głowie sprawę, która mogłaby wyglądać dobrze. Mogłaby, gdyby nie te wrzaski po nocach, gdyby nie to, że gniazdo staje się pułapką zastawioną na młodych artystów i artystki. Posiadanie ich oznacza koniec kariery. Jak głupio to brzmi, jak tekst z głupiego serialu obyczajowego powtarzanego o trzeciej nad ranem, kiedy z bezsenności

oglądasz co bądź. Trzy lata do kibla, wypadasz z obiegu. Ale nie mieć ich, mój Boże, cały świat staje się jałowym brzuchem, gdzie jest wystarczająco miejsca na cokolwiek, ale nie ma kącika, w którym można się przytulić. Łóżko nie jest już gniazdem, ale lotniskiem, i to tym międzynarodowym, gdzie każdy z innego jego końca startuje w innym kierunku. Oboje niewierni, z roztrzęsionymi nogami myślą o tym kawałku szczęścia z kimś innym.

Bednarzu, Alicjo, co o was ludzie opowiadają! Gdyby chociaż połowa z tego było prawdą, już byście się pozabijali. A ty, Alu, mimo to stawiasz na stole tacę ze wspaniałymi kanapkami, a ja napycham się nimi, jakbym nic nie jadł dwa tygodnie, i piję wino, nad którym przed chwilą płakałaś w kuchni. Ostrożnie chwalę zdjęcia Bednarza, obserwując przy tym tylko twoje oczy, mam nadzieję, że się za to nie gniewasz. Patrzę na Bednarza, czy rozumie, i jedyne, co czuję to to, że cieszycie się, że tu jestem i że nie pokłócicie się, póki sobie nie pójdę.

Ta chwila, w której czas powinien stanąć w miejscu, jest mi niezmiernie droga, to, jak nieznacznie pogłaskałaś mnie po ręce, to, jak twój mąż poważnie mówił o swoich reportażach, z pasją, jak kiedyś, kiedy chodziliśmy razem z tanimi aparatami po starych dzielnicach miasta i fotografowaliśmy potłuczone okna i brzozy w rynnach. On pociągnął sprawę, ja znalazłem inne obrazy, ale pierwsze celowniki, pierwsze ekspozycje były wspólne. Ostatecznie ta zupełnie pierwsza ekspozycja, kiedy otwiera się migawka i światło pada na czuły materiał naszych dusz, jest wspólna dla nas wszystkich, Alicjo.

Hans patrzy na Alicję i widzi tylko kobietę. Jej piękne, szpiczaste piersi, tak wdzięcznie rysujące się pod luźną sukienką, jej pełne biodra, długie nogi. Wydaje mu się, że pomieszczenie trochę się chwieje, że potrząsa nim krzyk dziecka, które słyszy tylko on. Nie może tego znieść, obraca więc oczy w stronę serii karwińskich zdjęć Bednarza.

Ślady stóp na chodniku między domami, których chyba nie mogli wybudować normalni ludzie. Za płotem jakieś mechanizmy. Przystanek autobusowy, czeka na nim facet. Jest tak trwale wmontowany w tę zatrzymaną jedną sześćdziesiątą sekundy, że nawet go nie zauważasz. I nie zauważysz go nigdy, póki tej sceny coś nie poruszy, póki nie potrząśnie nią niemowlęcy krzyk w twoim wnętrzu, a ty nie ruszysz z powrotem po tych błotnistych śladach w bezpieczne miejsce, którego unikałeś, nim zamarłeś

tak, z papierosem w gębie i z aktówką w ręku na przystanku, na który w tej chwili nie podjeżdża żaden autobus.

Trochę jeszcze posiedzieli, na wszelki wypadek rozmawiali tylko o sztuce. Alicja, obiecująca śpiewaczka, której szkolony głos właśnie się teraz szuka, czy też osadza, czy jak to się mówi poprawnie, do czego konieczne są długie godziny ćwiczeń. Ona dokładnie wie, o czy mówi, musi śpiewać i występować, musi nad sobą pracować. Bednarz jest przed swoją pierwszą dużą wystawą. Nie wie, czy ze wszystkim zdąży. A Hans, ich stary przyjaciel, ma z tego wszystkiego sklecić jakiś tekst. Jedli kanapki, których albo nie ubywało, albo Alicja niepostrzeżenie ich dokładała, i wszystko było wtedy w porządku.

– Wiesz, my się już nie kłócimy, właściwie to już się rozeszliśmy – powiedział Bednarz do Hansa w drodze na tramwaj, wciskając mu w dłoń dużą żółtą kopertę.

– To dla ciebie, za ten tekst – wyjaśnił, stojąc ze skulonymi ramionami na wysepce tramwajowej.

Hans wiedział, które zdjęcie będzie w kopercie, nie pomylił się. Zdjęcie z łabędziami. Tylko zerknął do koperty, nie chciał zapewniać atrakcji innym ludziom w tramwaju. Kiedy tak zaglądał do papierowej jaskini z obrazem karuzeli, całe to poruszenie i dezorientacja, których zaznał u przyjaciół, zaczęło się w nim otwierać.

Spowodowało to wspomnienie, które przez cały wieczór powoli wstępowało z powrotem do jego świadomości.

Miał dziewięć albo dziesięć lat, na pewno mniej niż dziesięć. W kieszeni ściśnięta dłoń z pięciokoronówką, którą dostał od mamy. Skradał się w stronę karuzel i strzelnic porozkładanych na niezabudowanym błoniu koło osiedla. Trząsł się ze strachu, bo był sam. Nie miał żadnych kolegów, ani wtedy, ani wcale. Mógł iść, na co chciał. Nie trafić w patyczek na strzelnicy i dostać sztuczną różę albo maskotkę z filmu Disneya. Mógł iść na karuzelę łańcuchową, gdzie dzieci piszczą i łapią się w powietrzu za ręce. Ale jego słaby żołądek chyba by tego nie wytrzymał. Mógł iść na kolejkę albo do zamku strachu, gdzie pod koniec dostaje się po głowie włochatym ogonem. Najchętniej nie szedłby nigdzie, tak bardzo bał się wszystkich tych mechanizmów i ludzi wkoło nich. Ale miał pięć koron i zdecydował się przyjść tu sam. Chciało mu się płakać, że matka w ogóle dała mu te pięć koron.

Kupił bilet na karuzelę dziecięcą. Na taką drewnianą obrotnicę z autkami, motorami, końmi, wielbłądami i żyrafami. Kiedy był jeszcze mały, nigdy się na takiej nie przejechał. Teraz był już na nią trochę za duży, ale był sam i zdecydował się. Nikt nie śmiał się z niego, kiedy usiadł na małym zielonym motocyklu. Kawałek dalej siedziała mniejsza dziewczynka na żyrafie. Tatuś ją na niej posadził. Hans skulił się, żeby nie było widać, że jest za duży. Odezwał się dzwonek i karuzela ruszyła.

Nadchodził wieczór, w odległych domach zapalały się światła. Większość dzieci poważnie trzymało się swoich atrap, najpoważniej mały Hans. Wokół tajemnicze wozy obsługujących karuzelę, tak zwanych karuzelarzy, i popalające grupki starszych chłopaków i dziewczyn, którzy chyba coś ze sobą zaczynają. Wszystko to kręciło się wokół Hansa, a on mocno ściskał kierownicę, która niczym nie kieruje, i bolało go serce. Wtedy tak jak teraz.

U KOMUNISTÓW

Leon wierzył, że już nic nie powinno się stać, że wszystko co złe umarło wraz z jego poprzednim życiem i teraz wszystko jest w porządku. To ważne, żeby czuć się dobrze, nie bać się kolejnego dnia ani kolejnej nocy. Spokojnie kupić sobie zero siódemkę drogiego węgierskiego wina, na przykład Egri Bikaver, wypić je sobie, ot tak, samemu albo z jakąś babką, którą jutro rano z uśmiechem wyprowadzę z ładu swojego życia. Z uśmiechem, niczym więcej, więcej dla ciebie nie mam, przecież to, co ci dałem, to i tak za dużo. Trzy razy w ciągu jednej nocy – żaden problem, cztery? – też nie problem. Kupił w tym celu szerokie łóżko. Lotnisko przeznaczone do długich rozpędów i pionowych startów. Zależy, czym lecisz, myślał sobie często. Ja latam wszystkim, ultralekkimi i B-52. Żaden typ mi niestraszny. Ale najbardziej lubię F-16, młode rakiety, w takich na wszystko można sobie pozwolić.

Czasami Leon miał ochotę sam siebie poklepać po plecach za to, że tak świetnie sobie radzi. Z nauczyciela historii w podstawówce dochapał się aż na katedrę historii, zresztą na tym na pewno się nie skończy.

Jak zwykle w drodze do pracy przystanął w korytarzu przy skrzynkach na listy. Jego oko zawadziło o coś białawego. Przez okrągłe otwory w szarej blasze zajrzał do skrzynki. Był w niej list. No i co, dostawał ich przecież całą masę, zaproszenia na konferencje, upomnienia z biblioteki, ale ten, ten wygląda jakoś inaczej. Adres napisany odręcznie. Tak, odręcznie. Odsunął się od skrzynki. A niech sobie leży, co z nim teraz zrobię? Nie będę go przecież ze sobą tachać.

Bardzo długo odkładał chwilę kolejnego spotkania z listem. Później, kiedy mógł już z dystansem popatrzeć na wydarzenia tego dnia, uświadomił sobie, że jedyną rzeczą o jakiej marzył, było uniknięcie listu, który czekał w skrzynce. Być może sprawiła to pochyłość napisanych ręką liter, być może ich kształt, coś musiało przestraszyć go w mroku blaszanej skrytki.

Po ostatnich zajęciach w ogóle nie chciało mu się iść do domu. Może bym się przeszedł przez park? Nie ma się dokąd spieszyć. Na końcu parku zatrzymał się w knajpie zwanej U trupa. Nazwa wzięła się stąd, że park pierwotnie był cmentarzem miejskim, a w miejscu gospody stała kostnica.

Siądę sobie i napiję się piwa, poczytam gazetę, pewnie spotkam kogoś znajomego.

„Zamkniente – pszebódowa” – głosiła tabliczka na drzwiach, a w środku za szklaną szybą gorliwi Wietnamczycy przerabiali byłe U trupa na azjatyckie bistro.

Dokąd by tu iść? Niepewnie rozglądał się po ponurym, wilgotnym parku. Co jest najbliżej? Najbliżej była knajpa, w której dotąd nie był. Nie chodzili tam ani porządni ludzie, ani porządne pijaki. Nazywała się Pub pod czereśnią, mówili na nią też U komunistów, bo rzeczywiście była własnością partii. Leonowi już sama jej egzystencja wydawała się tak absurdalna, że w sumie nie przyjmował jej do wiadomości. Takich rzeczy jest więcej, myślał teraz cały rozedrgany, zdrętwiały z zimna i niepokoju, który wywołało w nim wspomnienie leżącego w skrzynce listu. Rzeczy nie przestają istnieć tylko dlatego, że są według nas niemożliwe.

Knajpa mieściła się w małej willi na skraju parku. Na górze redakcja gazetki partyjnej, na dole sala i bar. Jak za starych dobrych czasów, przed zwycięskim lutym. Przy stołach siedziały dziadki i babcie pamiętający chyba jeszcze zucha Klemę[6], który umiał wziąć w karby klasowego wroga, i grupka młodych, na pierwszy rzut oka porządnych ludzi. Leonowi mróz przeszedł po plecach. Czuł, że przyjście tu nie było jednak dobrym pomysłem. Patrzył na mężczyzn i kobiety siedzących pod obrazem, czy raczej reprodukcją kadru z filmu Eisensteina *Pancernik Potiomkin*, i przerażony zapałał nagłą chęcią, aby przysiąść się do nich, pogawędzić.

To zakompleksione głupki, bez sensu mielą ozorami, pocieszał się, ale znów coś mu się skojarzyło, jak wcześniej przy skrzynkach. Ozór, ozornik pisane cyrylicą. Urwis, łotr. Kolonia bezprizornych imienia M. Gorkiego. To były czasy, kiedy sprzączka na opasce pedagoga Anotna Semionowicza Makarenki lśniła w słońcu nowego wieku, a każdy łobuz dostawał kulkę z ruskiego karabinu. Wychowanie przez kolektyw. Czy naprawdę można tęsknić za czymś, czego się nie zaznało? Naprawdę można mieć tak głęboko w genach, w szpiku kostnym zakorzenione poglądy swoich ojców, żeby przyłazić z własnej woli tu, do starej sali posiedzeń, gdzie na ścianach wiszą portrety złych staruchów i przywódców-paranoików?

I znów, bardzo dobrze rozumiał, co próbuje ukryć i regularnie ukrywał przed samym sobą pod słówkiem „ojciec” ukrywał najbardziej wulgarne rosyjskie słowo – *mać – Job tvoju mać, rodzinę.*

Usiadł przy stoliku w rogu i patrzył na czarno-białe, a raczej brązowo-białe obrazy na ścianach, czując, że zaczyna mu się robić niedobrze. Próbował ratować się ironiczną dedukcją, że już sama ta knajpa jest dowodem panującej teraz demokracji, choćby dlatego, że sportretowane tu osoby nie zniosłyby swojego towarzystwa w jednym pokoju w żadnym z komunistycznych reżimów. Powybijaliby się nawzajem. Brakuje tu chyba tylko Trockiego. Jedynego prawdziwego rewolucjonisty. Trocki ze swoją teorią rewolucji permanentnej uchodzi w mitologii komunistycznej pewnie za jakiegoś fanatycznego heretyka, kogoś w stylu Jana Husa lub Joanny d'Arc, jej też chodziło tylko o Boga, musiała zostać stracona.

Portret Che Guevary na koszulce rozczochranego młodego dryblasa mignął Leonowi przed oczami. *Padł martwy* w *Boliwii, ale duch jego kroczy dalej*. Choć chciał, nie potrafił się z tego śmiać. Nawet wówczas, w czasach tak zwanej rewolucji, nie potrafił śmiać się z kolegów, którzy z czerwonymi chustami na szyjach organizowali różnorakie dziwaczne kawały typu pogrzeb komunizmu. Leon uważał, że powinno się o tym rozmawiać na poważnie, a nie biegać w spódniczkach harcerskich i pokazywać włochate nogi.

Nawet nie zauważył kiedy, pogrążony w chmurnych myślach, zaczął ostro pić. Do każdego piwa wlewał sobie dużą wódkę, zapadał się w sobie i czuł, jak w jego wnętrzu rozkleja się koperta, którą z takim wysiłkiem zaklejał przez ostatnich pięć lat.

Pięć lat temu naprawdę myślał, że to już koniec. Wtedy w krematorium, kiedy mozolnie wyciskał łzy ze swoich oczu. Długo pracował nad tym płaczem. A potem rzeczywiście rozpłakał się rozczulony samym sobą, bo nad jej trumną, nad jej blaszaną urną w końcu odważył się pomyśleć, że na to wszystko nie zasłużył. Że nie powinien zostać tu, ot tak, bez niej, żeby mógł robić sobie, co mu się podoba. Przy szpitalnym łóżku czytał to w jej obrażonych oczach, z urywanego ruchu jej nagle tak słabej ręki. Gasnący, ale do ostatniej chwili palący wyrzut, który z jej twarzy zabrały dopiero płomienie krematoryjnego pieca. Pieca na ludzi. Mamusiu. Wlał w siebie wódkę i stwierdził z przerażeniem, że ma przed oczyma obraz Joanny dArc, brutalnie ostrzyżonej kobiety z mężnym sercem, kobiety przywiązanej do pala. Kobiety, która nie wybacza, bo wie, że jej nie będzie wybaczone. Tak patrzyła na ojca, kiedy nie mógł dojść do siebie po udarze. Tak patrzyła na telewizor, kiedy padł reżim Husaka. Ona – sama jedna, opuszczona

komunistka wśród oportunistycznych sługusów. A największym zdrajcą jest on – jej syn.

Co wy możecie wiedzieć o komunistach? Nigdy was żaden nie wychowywał. Tylko płaszczyliście się przed nimi, właziliście w tyłek, a za plecami naśmiewaliście się z nich, *lächelnde Bestien*[7] jak powiedział Heydrich. Was, przekonana o słuszności tego, co czyni, mamusia nie prowadzała za rękę na apele albo pochody pierwszomajowe. Wy nie musieliście słuchać w domu na płycie gramofonowej *Międzynarodówki* w dziesięciu językach świata, na przykład, kurwa, po mongolsku! Nie musieliście, kurwa, korespondować z harcerzem ze Związku Radzieckiego i wyczekiwać z radością kartinek!

– Tak, proszę jeszcze jedną setkę.

Onanizować się w domu pod kocem na lotnisku można również będąc narąbanym. Trzy razy w ciągu jednej nocy – żaden problem, cztery? – też nie problem. No jasne, Leon może. Leoś. Jasne, że po Breżniewie, Leon, Leonid! Nie jestem cesarzem Leopoldem, ani pierwszym, ani, kurwa, drugim! Nie mam dobrego serca cesarza. Nie mam dobrego ani złego, nie mam go wcale.

Lewicowa obsada obskurnego pubu oglądała się z rozbawieniem. Co też ten nieznajomy człowiek sam do siebie bełkocze nad kieliszkiem wódki?

Nawet nie wiedział, jak znalazł się w domu. Przeklęty list w skrzynce oczywiście nie zniknął, nie ma cudów. Świecił tam jak jakaś substancja radioaktywna, którą najlepiej objeść szerokim łukiem, lecz żaden łuk nie jest na tyle szeroki. Otworzył skrzynkę i wyciągnął list. Przymkniętymi, pijanymi oczami wbrew własnej woli badał pismo na kopercie. Nie, to niemożliwe. Trzeba z tym skończyć.

Wyszedł przed dom, otworzył kubeł na śmieci, z obrzydzeniem odwrócił głowę i podarł list na kawałki. Potem zatrzasnął klapę. Mam nadzieję, że jutro odwiozą go, nim wstanę. To jednak nie wystarczyło, żeby koszmar się skończył. Koperta została rozklejona, a Leon wiedział, że rozdarcie jej na kawałki tylko wzmoże ból ukrytej w niej wiadomości. Czuł, że kruchy zamek, który tak mozolnie budował po śmierci matki, zaczyna się walić. Jego wolność, dystans historyczny, jego studentki, doktorantki, jego zagraniczne podróże, do Holandii, do Szkocji, to tylko zabawki, tylko ogródek zrobiony przez dziecko, kwiatki bez korzeni wbite w piasek i ogrodzone płotkiem z patyków. Leonek zbudował sobie swój mały

dziecięcy światek na dróżce, na drodze, na którą za chwilę ktoś wypuści bydło, prawdziwe bydło. Nie będą to figurki krówek delikatnie przesuwane dziecięcą rączką. To będą krowy, które identyczna hodowla zmieniła w jedną krowę o tysiącu głów, a ten twór pasiony za płotem elektrycznym konieczności dziejowej podepcze swoimi kopytami niezliczoną ilość ogródków, które sobie na jego drodze pobudowali tak naiwni chłopcy jak ja.

Leon szukał po omacku w komórce zero siódemki czerwonego wina. Wino mu nie ulży. Musiałby wypić morze, więcej niż morze, jezioro Bajkał wódki, najebać się jak w Rosji. Jak ci zdesperowani Jakuci i Samojedzi, plemiona nieznające czarów i szamanów, urżnięci wśród pustych puszek po konserwach. Nałogowcy w blaszanych budach, do których wydaliły ich rewolucyjne siły. Na to nie mam już siły.

Leon złapał się rękami za łokcie i sam siebie wziął w objęcia, aby jakoś zatrzymać obłąkańczą retorykę w głowie. Nie był w stanie się bronić, kolejnym krokiem mogło być już tylko okno.

Położył się do łóżka. Kiedy zamknął oczy, usłyszał jej stłumione westchnienia. Dźwięk nie do końca ludzki. Często robiła mu to, kiedy był dzieckiem. Kiedy już jako chłopiec odkrył w wannie możliwości swojego ciała, robiła mu to nadal. Wszyscy we trójkę spali w ciasnej sypialni. Łóżko Leona było przysunięte do nóg łoża małżeńskiego rodziców. Nie wiedział, dlaczego nie może spać w pokoju dziennym albo w kuchni. Nie miał odwagi tego zaproponować. I tak by się nie zgodziła. Musiało być tak, jak chciała. Była komunistką i wiedziała, co dla ludzi dobre. Dlatego bez wahania przyciskała co noc swojego męża do ogromnych piersi, ściskała go między udami i wytrzepywała do siebie wszystko, co w sobie miał. Te jęki, skrzypienie łóżka. Kiedy raz Leon zerknął przez poręcz, zobaczył tylko wielką, chwiejącą się jak góra pierzynę. Siedem stopni w skali Richtera. Gdzieś tam musiał być ojciec, który zawsze szeptał: nie, nie przy dziecku. Matka była nieubłagana. Widział to w wyrazie twarzy ojca. Nieubłagana. Ojciec zaczął niknąć w oczach, a ona jakby kierowała tym jego chudnięciem, blednięciem, narastającą kruchością. Tak bardzo byli do siebie podobni, on i Leon.

Pewnej nocy (Leon miał już czternaście lat i dobrze wiedział, co robią rodzice, kolega pokazał mu zdjęcia w piśmie niemieckim, Leon ciągle o tym myślał i był wściekły. Postanowił olać ich wszystkich i zrobić coś złego), kiedy znowu zaczęło się to podskubywanie i wzdychanie, wstał z

łóżka i ruszył w stronę drzwi. Chciał uciekać. Zamknąć się w toalecie, gdyby był tam klucz. Uciec z domu, gdyby miał klucz. Zrobił dwa kroki i usłyszał głos matki. Nie jakiś tam szept, tylko zdecydowany, rozkazujący głos:

– Dokąd to?!

Poczuł się jak gwóźdź, który oberwał w głowę cios młotkiem i został wbity w drewno.

– Do kuchni – próbował się ratować.

– Nigdzie nie idziesz, marsz do łóżka! – krzyknęła matka.

A ojciec? Nawet nie kwęknął. Po prostu tam był. Jakut, Samojed, bezsilnie uwięziony w objęciach ogromnej niedźwiedzicy. (Dopiero teraz Leon uświadomił sobie, jak ważne było to, że ojciec w ogóle gdzieś był, słaby i kruchy, ale jednak był.) Posłusznie wlazł do łóżka, gdzie musiał poczekać, aż chwiejąca się góra ucichnie. Leżał w głębokim cieniu i desperacko próbował o niczym nie myśleć, nie istnieć. I udało mu się. Tej nocy pojął, że potrafi nie tylko zamknąć oczy, ale też mózg. Zamykał go więc każdej nocy.

I dopiero dziś, dziś w nocy wszystko się w nim otworzyło. Leżał luźno na lotnisku, którym zastąpił stare łoże małżeńskie, oddychał jak po stosunku i myślał o tym wszystkim, już dosyć spokojnie. Wierzył, że nareszcie jest dorosły, zupełnie zapomniał o liście, którego strzępki śmieciarze właśnie wytrząsali do przyczepy auta razem z resztą odpadków.

Kilka kolejnych dni upłynęło w absolutnym spokoju. Leon odchorował okropnego kaca po prywatnej libacji U komunistów i na wszelki wypadek trzymał się od wszystkiego i wszystkich z daleka. Dał sobie spokój ze studentkami i doktorantkami. Odwołał nawet pod głupim pozorem konsultacje, żeby nic nie przeszkadzało mu w jego nowo nabytym stanie świadomości. Włóczył się po ulicach, pił w knajpach herbatę albo kawę, naraz w innym świetle postrzegając każdy kąt tak dobrze znanego mu miasta. Po latach wreszcie oswoił się ze swoją sytuacją, nie chciał przyklejać do niej żadnej diagnozy, choć nasuwało się ich wiele. Czuł, że coś jeszcze nadejdzie i nie chciał tego zapeszyć.

W piątek siedział w domu, przeglądając sobie pewne nieortodoksyjne studium o tym, że rozpoczęcie stalinizmu w Rosji właściwie pomogło przyjęciu nazizmu w Niemczech. Coś w tym jest. Przerażeni bolszewizmem ludzie wyganiali diabła Belzebubem. Można by tak wyjaśnić właściwie całą historię dwudziestego wieku.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Rzadko się to zdarzało. Nie był przyzwyczajony do niezapowiedzianych gości. To pewnie sąsiad. Otworzył ot tak, w dresach i starej koszulce w paski. W drzwiach stała kobieta. Nigdy jeszcze podobnej nie widział. Mała, koło czterdziestki, wyglądała na energiczną. Taka nabita. Czarne, chyba trochę podbarwione włosy ścięte po francusku sięgały wyraźnie zarysowanej żuchwy. Ubrana nowocześnie, ale rzeczowo, tak ubierają się lekarki albo menadżerki. I te oczy, ciemne, głębokie, trochę dzikie.

– To ja jestem Elena – powiedziała zamiast powitania – moje nazwisko nic by ci nie powiedziało, dlatego nawet się nim wtedy nie podpisałam.

List. Ten zamknięty, nigdy nieotwarty i podarty list nagle powrócił. To pismo, tak podobne do jego pisma. Myślał, że zwariował, że wysłał list sam do siebie. Te jej oczy. Miał takie same, jakby patrzył w lustro.

Odniósł wrażenie, że ona bawi się jego zaskoczeniem. Bez zaproszenia weszła do przedpokoju.

– Nie dostałeś mojego listu?

– Nie, jago...

– No to musisz być zaskoczony – patrzyła na niego jak na małego chłopca.

– W takim razie należy ci się wyjaśnienie – ciągnęła rzeczowo. – Jestem Elena, twoja starsza siostra od strony matki.

– To chyba jakaś pomyłka – jęknął głupio, mimo że jej spojrzenie wykluczało możliwość zaistnienia jakiejkolwiek pomyłki. Tylko elegancja i otwartość, z którą podawała mu rękę, nie były matczyne, ale uścisk miała mocny jak ona.

– Nie wiedziałem, że mam siostrę. Szczerze mówiąc, trochę mnie to wyprowadziło z równowagi, pani wybaczy – powiedział, puszczając jej rękę, którą ściskał nienaturalnie długo.

– Nikt o tym nie wiedział – wyjaśniała cierpliwie. – Zataiła mnie przed wszystkimi – i nagle twardo dodała: – Wychowywałam się z ojcem i babcią.

– Nawet nie wiedziałem, że matka była wcześniej mężatką.

– Nie była.

– No to jak? – czuł się jak ostatni kretyn.

– Normalnie. Nie zawsze ludzie są tym, czym wydają się być, Leo. Będziemy tak stać w przedpokoju?

– Nie, proszę wejść. Tutaj, do kuchni, mam straszny bałagan w pokoju, proszę sobie usiąść, o tu.

– Mieszkasz sam? – zapytała, kiedy już usadowiła się przy kuchennym stole.

– Tak, sam.

– Ja też, już znów sama. Zrobisz nam kawy?

– Tak, jasne że tak.

Gorączkowo przygotowywał dwie kawy, trochę porozsypywał, nie był w stanie uspokoić nagłej eksplozji emocji. Ten gwałtowny zachwyt. Niesamowite. Porcelana po matce trzęsła mu się w rękach.

– Wiem, to musi być dla ciebie szok – powiedziała ze zrozumieniem.

Na pewno jest lekarką, myślał. Lekarką albo menadżerką, lekarka, menadżerka, lekarka, powtarzał w duchu.

– Właściwie nie znałam swojej matki, dopiero po śmierci ojca, kiedy nie miałam już nikogo na świecie, zaczęłam usilnie jej szukać, no i dotarłam do ciebie.

Uśmiechnęła się, a on poczuł, że tak naprawdę przecież ją zna – siostrę, siostrzyczkę.

– Czyli – postawił filiżanki na stole i w końcu zebrał się na dłuższe zdanie – czyli matka panią de facto podrzuciła.

– Tak, jestem podrzutkiem – roześmiała się. – I nie mów mi per pani, przecież jesteśmy rodzeństwem. Podrzuciła mnie ojcu i zniknęła. Najpierw żyłam w przeświadczeniu, że zmarła, ojciec w ogóle o niej nie wspominał. Dopiero kiedy byłam większa, powiedział, że od nas odeszła, że ich związek był błędem. Nie mówił o niej ładnie. Miałam wrażenie, że się jej bał. Wybacz, ty masz pewnie inne doświadczenia. Ja jako dziecko mówiłam „mamusiu” do babci.

– Doświadczenia. Doświadczenia to ja mam. Zmarła pięć lat temu. Akurat o tym wszystkim myślałem i nagle pojawiłaś się ty. Napijemy się wina?

Leon przyniósł z komórki Byczą krew.

– Dobra marka – Elena się roześmiała i głośno stuknęli się kieliszkami.

– Zdrowie matki?

– Może lepiej nasze? – zaproponował Leon nieśmiało.

Potem przez kilka godzin rozmawiali tak, jak nikt inny na

świecie nie mógł ze sobą rozmawiać. Ich historie wlewały się jedna w drugą. Wszystko stało na głowie, i wszystko było na swoim miejscu. Pękł

przy tym cały zapas czerwonego wina, który Leon miał w domu.

Elena, Elena – Leona zaskoczył świat, który dotąd istniał poza granicami jego życia. Za płotem elektrycznym konieczności dziejowej leży kraina wolności. Elena, lekarka z oczami matki i z jej gwałtownymi ruchami, na szczęście zupełnie nic nie wie o matce. Elena w szpitalu, na sali, w zielonym stroju lekarza za pomocą precyzyjnych narzędzi realizuje ogromne potencjały dobra matki, o których ta stara kobieta nie miała nawet pojęcia.

Wiedział, że trochę gada głupoty, ale właśnie tego chciał. Chciał głośno się śmiać i klepać po udach. Śmiali się z siostrą tak, jak Leon nie śmiał się nigdy wcześniej, prosto w pysk temu życiu, prosto w oczy matce.

– Ja z żadnym facetem dłużej nie wytrzymuję, coś mnie gna przed siebie, chyba mam to po niej.

– Ja nie znalazłem jeszcze takiej, z którą chciałbym żyć.

– A w ogóle szukałeś?

Jej wzrok przenikał go niebezpiecznie głęboko, ale przecież nic już mu nie grozi, nie ma już koperty, którą chciałby zakleić.

– Nie szukałem, tak naprawdę żadnej nie chciałem.

Elena nie chciała u niego przenocować. Miała pokój w hotelu i w ogóle.

– Nie możemy aż tak przesadzać z tym naszym pokrewieństwem. Przecież w gruncie rzeczy jesteśmy całkiem obcymi ludźmi – uśmiechnęła się.

Poszedł ją odprowadzić. Na chodniku przed hotelem nagle przytulił ją na do widzenia. Czuł, że przytula kobietę, tę jedyną na świecie. Czuł, że ona wychodzi mu naprzeciw. Chciał jej wtedy zaproponować Bóg wie co. Przecież nikt nie wie, że są rodzeństwem. Przecież mogą, mogą zrobić razem wszystko. Trwało to kilka chwil. Później łagodnie, ale zdecydowanie wywinęła się z jego objęć.

– Nie bój się – powiedziała na pożegnanie – już się nie zgubimy.

GŁOS JEGO PANA

– Ten pies naprawdę ma w sobie coś z teriera. Na pewno płynie w nim chociaż kilka kropel mądrej krwi psa myśliwskiego, krwi, która daje umiejętności podstępnego doprowadzenia uzbrojonego mężczyzny na koniu do zwierząt silniejszych niż on sam. Zatrzymać, zająć, ogłuszyć szczekaniem, błyskawicznie zdezorientować trikami i sztuczkami, udawanym atakiem, udawaną odwagą. Chapać, kąsać i odskakiwać, licząc przy tym czas, nim koń przedrze się przez gęstwinę, nim pan podniesie broń, a drapieżnik padnie do nóg małego pieska.

Przestałeś być zwierzęciem, bo do zwycięstwa potrzebny jest ci człowiek. W instynktach krwi masz nakreślony obraz podążającego za tobą człowieka. Jego płaszcz jest zielony – płaszcz myśliwego, zarządcy lasu, który nie zawaha się pognać cię nawet na niedźwiedzia, lub czerwony – jesionka szlachcica, który ot tak, dla zabawy goni z tobą lisa, może być to też dama w eleganckim stroju myśliwskim albo kłusownik w cętkowanym kapturze. Zawsze jest za tobą, usłyszy twoje szczekanie i zjawi się na czas, by zabić zamiast ciebie. A jeżeli przypadkiem się spóźni, będziesz umierał rozszarpywany przez dzikie zwierzę wciąż niezachwianie, choćby i po śmierci wierząc, że twój pan przecież musi w końcu przyjść.

To mówi twój kod genetyczny. Mówi też, że twoim pożywieniem nie będzie już ciepła krew i mięso rwane z brzucha uduszonego stworzenia. Będziesz jadł kawałki wnętrzności, które rzuci ci pan po wybebeszeniu zdobyczy. Lup nie należy już do ciebie, pobierasz wynagrodzenie. Zrzynki mięsa, kiełbasa dla psów, ciastka dla psa, sucha karma w blaszanej misce. Potrzebujesz ludzkiej ręki, która ci tę karmę rzuci.

Nosisz w sobie człowieka, a zarazem nigdy nim nie będziesz. Przerażająca krzyżówko. Narażasz swoje życie dla kogoś, kto ceni sobie swoje własne życie nade wszystkie psy tego świata. Kogoś, kto bez wahania topi twoje szczenięta, kto wyzywa od psów tego, kim pogardza, i w niepojętej dla ciebie fantazji bardziej niż ciebie ceni sobie wilka, którego opuściłeś, kiedy na rozdrożu własnej ewolucji ruszyłeś śladem swojego boga. A teraz twój bóg, poeta *Księgi dżungli*, kiedy umiera bohater, używa apostrofy: *zawyjcie psy, dziś w nocy umarł wilk*, a ty posłusznie wyjesz i

jakby tego upokorzenia było mało, wiejscy mędrkowie śmieją się z ciebie, że masz kolegę na księżycu.

Ludzie żyjący w chatach dobrze wiedzą, że przyjaźń człowieka, jego wierne towarzystwo i pokrewieństwo, którego tak pragniesz, jest od ciebie bardziej oddalone niż księżyc od ziemi. Okrągła twarz wschodząca ponad lasami odzwierciedla to, jak wielka odległość dzieli cię od człowieka.

Współczuję więc tobie, beznadziejnie pobożne stworzenie, kiedy widzę cię na okrągłej etykiecie pośrodku czarnej płyty gramofonowej, jak uważnie słuchasz syntetycznego głosu wydobywającego się z metalowej tuby starego fonografu, usiłując rozpoznać wśród szumu głos swego pana.

Hans siedział na szafce na buty w przedpokoju, patrzył w oczy małemu pieskowi, którego przodkowie na pewno byli foksterierami, i paplał jak ewangelicki proboszcz. Ta skłonność do gadania, charakterystyczna nie tylko dla proboszczów, ale dla niemal wszystkich wyznawców tej bogobojnej konfesji, mocno denerwowała Annę Marię (która była, przynajmniej według chrztu, katoliczką). W swoim wielkim sercu, gdyby wielkość mierzyło się głębią, nie miała dość miejsca na wodospady słów, którymi protestanci na próżno usiłują złagodzić swój niepokój i nieczyste sumienie, których dogmatycznie nie odważą się powierzyć żadnemu innemu autorytetowi, prócz tego najwyższego. Do niego jednak zamykają sobie dojście poprzez niemożność choćby krótkiego milczenia, które pozwoliłoby im usłyszeć cichy głos.

Ta skłonność do paplania w żaden sposób nie jest współmierna z intensywnością ich życia duchowego. To hipertroficzny atrybut, wleką go ze sobą jak garb, podobnie jak katolicy swoją przesądność i przychylność wobec każdego autorytetu, nad którym są w stanie wymacać jaką taką aureolę.

Odkładając na bok różnice wyznaniowe, teraz denerwowało ją przede wszystkim to, że jej mąż na kacu wywyższa się przed psem, jak kompletny łachmyta. Jak można wywyższać się przed zbłąkanym, nieszczęsnym zwierzęciem, i to w dodatku w tak wyrafinowany sposób – wyznając mu swoją solidarność i zrozumienie?

Ale coś tu nie gra, dwie sprawy, a właściwie trzy, uświadomiła sobie samokrytycznie Anna Maria. Albo Hans nie jest na kacu, albo ten kac trwa już prawie rok, od czasu, kiedy przestał pić. Chyba ma jeden ze swoich gwałtownych flashbacków, kiedy dopada go stan podobny do upojenia,

mimo że nie wypił ani kropli alkoholu. Jak sam mówi, jego mózg nauczył się tego stanu i czasem przerabia go, nawet o suchym pysku.

Po drugie, jest zamknięty w przedpokoju, siedzi – jak zawsze siadywał – na szafce na buty i raczej nie zakłada, że słyszy go ktoś oprócz psa. Więc nie chodzi tu o to, co pierwotnie rozzłościło Annę Marię, że pod pozorem mówienia do psa, on – mistrz przypowieści, mówi tak naprawdę do niej, używając przy tym jej własnych słów o przywiązaniu i więzach krwi. Nie mają bowiem razem dzieci, każdy ma dziecko z kimś innym, jak to się mówi, z pierwszego małżeństwa, wszystkie rozmowy o więzach krwi są więc w ich przypadku bolesne.

I wreszcie po trzecie, Hans na pewno nie zakłada, że pies go rozumie, mówi więc de facto sam do siebie. W metaforach i przypowieściach mozolnie szuka wąskiego przejścia między swoją Scyllą – wiernym psem, a Charybdą – dzikim wilkiem, i z przerażeniem stwierdza, że takie przejście nie istnieje. Możesz być tylko jednym albo drugim, Hans. Możesz zazdrościć psu jego pana, a wilkowi jego wolności. Och, jak dobrze to znam, szeptała do siebie Anna Maria, stojąca z uchem przy drzwiach do przedpokoju, a przy tym oddalona jak księżyc ponad górami.

Już miała chwycić za klamkę, żeby zakończyć tę chwilę z Hansem bez Hansa, jednak po namyśle oddaliła się na palcach. Nie lubiła sentymentalnego padania sobie w ramiona, a teraz zbierało się u niej na takie właśnie.

Ich pies, Tom, który siedział jak uważny praktykant u stóp Hansa, dosłownie obserwując każde słowo wydobywające się z ust mistrza, był znajdą. Według oceny pani weterynarz, miał już za sobą co najmniej siedem lat, co jest u psów tą lepszą połową, życia z kimś innym. Nie mieli pojęcia z kim. Przez te siedem lat kochał chyba kogoś innego. Być może cierpiał. Właściwie na pewno. Sądząc po tym, jak był nerwowy, bojaźliwy i drażliwy, jego pierwsze życie nie mogło być łatwe.

Na początku łasił się do Hansa, chyba czuł w nim jaki taki autorytet, ale potem bardzo szybko przywiązał się do Anny Marii. Kochał ją tak namiętnie, że zaczął właściwie unikać innych domowników. Kiedy wracała z pracy, rzucał się na nią, podskakiwał bardzo wysoko, pchał się jej pod spódnicę, darł rajstopy, nie dało się go uspokoić. Kiedy miał iść z kimś innym niż ona, na przykład z Hansem, na wieczorny spacer, nie omieszkiwał okazać swojego lekceważenia i niechęci. Przez kilka pierwszych metrów szedł jakby wbrew własnej woli, w ogóle nie zginał

prostych jak kijki nóg. Przypominał Hansowi zabawkę dla dzieci, drewnianego dobosza przymocowanego do wózeczka, który ciągnie się za sznurek. Dobosz biernie, mechanicznie wali w blaszany dzwonek, tym szybciej im szybciej ktoś ciągnie za sznurek. Hans miał nieodparte wrażenie, że ciągnie za sobą takiego dobosza, sam zmieniając się przy tym w niesmacznego, dużego i okrutnego berbecia.

A stąd był już tylko o krok od kolejnego wspomnienia trudnej chwili, którą przeżył z Anną Marią na początku ich związku. Jej pięcioletnia córka nie znosiła wtedy jego wizyt, walczyła z nim o matkę, którą słusznie chciała mieć tylko dla siebie. Mamusiu, niech on sobie idzie. Niemiłe wspomnienie. Raz, kiedy w kuchni rozmawiali o swojej przyszłości, na którą dotychczas nie mieli zbyt pięknych widoków, córeczka postawiła na stole między nich dziecięce pianinko i zaczęła walić w nie tak biernie i mechanicznie jak ten zabawkowy dobosz, żeby tylko uniemożliwić im rozmowę. Ach, jakie ciężkie jest życie, kiedy krew wyleje się z pobłogosławionych koryt rzeki.

Tom również wylał się ze swojego korytka. Bał się piorunów i wybuchów. Gdy tylko zaczynało grzmieć, rzucał się do nieprzytomnej ucieczki. Zagubił się więc podczas burzy, zostawiając za sobą całe swoje nieznane życie. Przemoknięty i mizerny znalazł się pod drzwiami domu rozpusty na skraju miasta, zwanego Klub Chloe. Nigdzie nie było mu tak dobrze jak tam, gdzie głaskało go tyle pięknych bogiń. Kładł się przed nimi na plecy, machał łapką, mógł stać się pupilkiem całego lokalu. Były jednak ku temu dwie przeszkody. Pierwsza taka, że był stary i strasznie śmierdziało mu z pyska. Nie pomagały żadne preparaty. A druga, że jego konkurencją były dwa wielkie dogi angielskie, które pilnowały podejrzanego domu i których jedynym pragnieniem było rozszarpanie małego Toma na strzępy.

Więc właściciel domu publicznego zwierzył się zaprzyjaźnionemu właścicielowi kantoru, że ma do oddania uroczego pieska, facet z kantoru napomknął o tym znajomemu handlarzowi nieruchomości, a ten z kolei swojej żonie, zapalonej psiej mamie, ona zaś przekazała tę wiadomość Annie Marii, która od dawna chciała mieć psa.

Pewnego przedpołudnia, właściciele nalegali, żeby to było przed południem, wybrali się więc do bajzlu Chloe i przeświadczywszy obwieszoną złotem panią burdelmamę o tym, że są mili i że będą się dobrze opiekować pieskiem, mogli go sobie zabrać, dostali nawet smycz i

książeczkę szczepień, które załatwiła mu osobiście ta dobra dusza. Kiedy odjeżdżali, w jej pomalowanym oku zakręciła się łza szczerego wzruszenia.

Nazwali psa Tom, od znanego podrzutka z książki Henry'ego Fieldinga, który także w ciężkich czasach znalazł schronienie wśród kobiet lekkich obyczajów.

– Myślę, że jest u nas szczęśliwy – powiedziała Anna Maria, w końcu uwalniając Hansa z przedpokoju, w którym o suchym pysku przerabiał na nowo starego kaca.

– Jeśli nawet, to tylko dlatego, że nie pamięta swoich wcześniejszych żyć – odpowiedział Hans.

– A czemu miałby je pamiętać, pies nie ma takiego obowiązku.

– No, nie ma.

– Po co miałby zamartwiać się przeszłością czy przyszłością, teraz mu dobrze i teraz jest za to wdzięczny, właśnie to mi się w nim podoba.

– Przecież nawet nie wie, czyj jest.

– Jak nie wie, myślę, że bardzo dobrze wie. Popatrz, jak spokojnie leży. Czuje się bezpiecznie, nie chce być nigdzie indziej, niczego mu nie brakuje.

– Być może. A być może udaje i przez cały czas tylko desperacko wytęża słuch, czekając, kiedy w końcu usłyszy głos swojego prawdziwego pana – powiedział Hans.

– Nie każdy jest tak pyszny, jak ty – odpowiedziała mu Anna Maria.

Hans wiedział, że ma rację, ale nie mógł na to nic poradzić. Zebrał się i poszedł przynajmniej wyprowadzić tego cholernego psa.

PYRRHULA PYRRHULA

Podejście na grań całkiem odebrało mu oddech. Zbocze porośnięte żółtą trawą było tak ostre, że gdy lekko się pochylił, mógł dotknąć ścieżki przed sobą. Każdy krok unosił go znacznie wyżej, jak na schodach lub drabinie. Kiedy obrócił się w stronę doliny, schronisko, z którego wyszli godzinę temu, było tak odległe i małe, jak bywa to możliwe tylko w naprawdę wysokich górach. Wiatr usunął chmurę i słońce zalało biodro góry porośnięte rzadkimi, bitymi przez wiatr bukami. Michał nabrał tchu, aby zrobić kolejny krok. Spojrzał w górę, gdzie w promieniach gwałtownego słońca zabłysła napięta łydka jego żony, Wiery. Cała Wiera. Kobyła wyścigowa, która nie potrafi iść z nim ramię w ramię, jeśli tylko może być o krok do przodu.

Zbliżali się do szczytu grani. Wiera się obejrzała. Michał miał wrażenie, że błysnął uśmiech. Wskazywała palcem w górę, nie słyszał słów, wykrzykiwanych przez nią pod wiatr. Michał pytał sam siebie, co by było, gdyby ta grań była o kilka niewyobrażalnych tysięcy metrów wyższa. Pewnie każde z nich by padło i już na wieki leżało dokładnie na takiej wysokości, na jaką zdołało się wspiąć.

Po chwili spotkali się na szczycie stromego grzbietu, który oddzielał od siebie dwie otchłanie. Ostry wiatr walczył z ich spoconymi ciałami. Stojąc oparci klatkami piersiowymi o siebie i oddychając jedno drugiemu w szyję, czuli się jakby byli nadzy, jakby nie do końca byli stworzeniami ludzkimi. Michał czuł bijące serce Wiery, jakby to jego nawet nie istniało.

Potem schowali się w bezpiecznym grajdołku obrośniętym kosodrzewiną i kosą olchą. Pili wodę i jedli chleb z serem. Michał leżał na plecach i patrzył w niebo, które od wschodu zaciągało się ciemnymi chmurami, stawiając słoneczną dotąd pogodę pod znakiem zapytania. Niewiele trzeba, żebyśmy tu drżeli we mgle i ulewie. Niewiele trzeba, żebyśmy zaczęli wrzeszczeć na siebie z oczami zaćmionymi gniewem.

Zerknął, jak Wiera przebiera się w suchą koszulkę. Jak wiąże rozpuszczone włosy w warkocz i wyciera chusteczką higieniczną spocone okulary.

– Patrz, jakie czerwone ptaki – Wiera wskazała ręką krzew olszy, na którym poćwierkując mocnymi dziobami siedziały czerwonobrzuche ptaszki. – To rudziki?

– Nie, gile – odpowiedział Michał, który w dzieciństwie chodził na kółko ornitologiczne. Michaś. Był wówczas pewien, że zostanie weterynarzem i ilustratorem atlasów przyrodniczych. Rysował w swoim bloku wszystkie znane mu ptaki.

– To gile – ciągnął zamyślony – ptaki lubiące zimę. Zimę w mieście. Tu, na szczyty słowackich gór, odlatują chyba w lecie.

– Kiedy byłam mała, przylatywały do nas na balkon. Sypaliśmy im okruszki na gzyms, a po Bożym Narodzeniu nawet zeschnięte ciasteczka świąteczne. Mama zawsze piekła ich za dużo. Myśleliśmy, że to rudziki. Nie widziałam ich chyba od dzieciństwa.

– Chyba po prostu nie szukałaś. Cały czas przylatują do nas na gzyms.

Spojrzała jakby dopiero teraz go zauważyła. Wlepiła w niego oczy z taką samą bezwiedną ciekawością, z jaką mała dziewczynka wlepiała je w czerwone ptaszki w białej szarości miejskiego podwórka za oknem.

Zawiał wiatr i gile odfrunęły. Zieleń liści olszy bez kontrapunktu czerwonych piórek stała się nagle tępa.

Przed nimi wznosiła się góra o nazwie Stoh. Naga i pełna. Żółte łąki i piargi. Pasma kwitnących na fioletowo tojeści przerzedzały się w kierunku szczytu wielkiego stożka. Bardziej niż zawarty w nazwie stóg góra przypominała szczyt wielkiego obróconego do góry nogami serca.

Z doliny po prawej stronie pnie się mgła. Nie przedostaje się przez grzebień do drugiej doliny po lewej stronie, ale pnie się po niewidzialnej rozdzielającej je tyczce. Dolina po prawej jest cała we mgle, podczas gdy dolina po lewej jest czysta i głęboka, ze wzruszającymi domkami, chatkami i stadami owiec u podnóża gór. A na granicy świata domniemanego i wyraźnie widocznego, gdzie chmura spotyka się z jasnym strumieniem promieni słonecznych, przesuwają się dwie postaci w kurtkach od wiatru. Idą gęsiego, trzymając się za ręce, jakby jedna prowadziła drugą.

– Kiedy miałem dwanaście lat, w szóstej klasie szkoły podstawowej, znalazłem martwego gila. Leżał przy ścianie naszej kamienicy, napuszony, jakby spał. Wziąłem go do ręki, był atłasowy i piękny. Musiał umrzeć naprawdę chwilkę, zanim go znalazłem, bo w ogóle nie był sztywny, był miękki, i taki, jakby to powiedzieć, obły. Wypełniał mi całą garść. Żałowałem go, a zarazem miałem wrażenie, że tak naprawdę nie jest

martwy, taki był dziewiczy i w jakiś sposób mój. Wiesz, jak to jest, coś lub ktoś podoba ci się głównie dlatego, że właśnie ty to znalazłaś. Dopiero wtedy ożywa to dla ciebie. Tak ożył w moich rękach ten gil. Nie mogłem się z nim rozstać, wziąłem więc ptaka do domu i nosiłem w kieszeni płaszcza, aż znalazła go tam moja matka.

– I co powiedziała?

– Mówiła, że to niebezpieczne. Że mogą być w nim różne zarazki i że powinniśmy go gdzieś pogrzebać.

Ale mi całkiem odbiło na punkcie gila. Wsadziłem go do pudełka po butach i knułem, jak gdzieś ukryć. W końcu wymyśliłem, że oddam go do wypchania. Podziwiałem wypchane ptaki w szkolnym gabinecie. Był tam cały kolaż złożony z wypchanych sikorek, jaskółek, jerzyków, zięb i dzierzb z domalowanym krajobrazem i niebem. Marzyłem o czymś takim.

– I ciągle marzysz, co? – przerwała mu Wiera, a odbity od jej okularów promyk słońca go oślepił.

– No, niezupełnie – Michał urwał, uciekając myślami do rysunków, które z dziecięcego szkicownika przeniosły się na obszerne płótna, pod których ciężarem teraz niemal upadał.

– Wtedy marzyłem o tym bardziej, dlatego ubłagałem ojca, żeby dał mi go do wypchania. Puszczałem przy tym trochę wodze fantazji, myśląc, że na stacji sanitarnej, gdzie pracował, na pewno znajdzie się ktoś, kto umie preparować, skoro mają tam laboratorium z chomikami, świnkami morskimi i białymi myszkami.

– Hm. Całkiem logiczne.

– Ludzie łatwo wierzą w to, w co chcą wierzyć. Tak się uparłem, że ojciec w końcu wziął ptaka, wsadził do woreczka i powiedział, że zobaczy, co da się zrobić.

– I jak to się skończyło?

– Tu powinien być koniec tej historii. Tu, kiedy się cieszę i przygotowuję dla swojego gila hubkę z drążkiem. Potem ta historia nie jest już taka piękna.

– Pewnie wyrzucił go do kubła na śmieci, a ty się z tym jakoś pogodziłeś, jak ze wszystkim, mam rację?

– Chyba nie znasz mojego ojca – odpowiedział Michał, lekko marszcząc czoło.

– Znam, znam, może nawet lepiej niż ty – powiedziała Wiera bez wahania.

– Być może, bo ja znam go tak dobrze, że właściwie nie wiem już, kim jest.

– Podobnie zaczyna dziać się nam dwojgu, nie uważasz? – stwierdziła Wiera, zdejmując okulary i starannie wycierając z nich kropelki skondensowanej mgły.

Jeśli coś tu trzeba wytrzeć, to na pewno nie jej okulary, myślał Michał nagle zaniepokojony, że rzeczywiście przestaje pojmować, kim jest ta kobieta, która sześć lat temu ożyła w jego rękach. W jego rękach, bo w innym sensie żyła już sama od dobrych dwudziestu lat.

– No i co zrobił z tym twoim ptakiem?

– Trwało to jakiś tydzień, nie przestawałem go zadręczać, bo też się bałem, że ptak skończy w śmietniku. Kiedy nie miałem gila przy sobie, nie byłem w stanie uwierzyć, że gdzieś jeszcze jest. Potem ojciec przyniósł do domu takie dziwne pudło owinięte w biały papier. Proszę cię bardzo, powiedział, rozwijając papier. Pod nim była zaszklona witrynka, a w niej przymocowany do ciemnej podstawki ptasi szkielet.

– Szkielet? – rozbawiło Wierę.

– Szkielet. Czaszka z tępym dziobem, kręgosłup, klatka piersiowa z ogromną kością piersiową, nóżki z otworami, na skrzydłach zostały zaś długie czarne lotki. Wyglądał trochę jak prehistoryczny archeopteryx. Wytrawili go jakimś kwasem. Ojciec zaraz zaczął objaśniać mi zasady funkcjonowania ptasiego ciała, zwracając szczególną uwagę na masywne, wysunięte w przód sternum, które jest tak masywne, aby mogły być na nim umocowane mocne mięśnie lotne – powiedział Michał, mimowolnie klepiąc się po mostku.

– Masz go jeszcze?

– Chyba gdzieś zaginął, jak wszystkie skarby z dzieciństwa. Ale to nic, i tak ten archeopteryx nie miał nic wspólnego z moim gilem.

– Jak nie miał, a szkielet? – zamknęła dyskusję Wiera.

Stalowa lina uniosła krzesełka wyciągu i przeniosła ich w niczym nieograniczoną przestrzeń. Opadali wśród Doliny Vrátnej, z każdym przejechanym metrem ich horyzont coraz bardziej się zwężał. Góry, na które jeszcze przed chwilą patrzyli z góry, znów były o wiele sążni sążniejsze od nich.

Wiera poczuła, że tak właśnie ma być. To właściwa strategia, wdrapywać się pod górę o własnych siłach, a na dół sobie zjechać. Patrzyła na przecinającą niebo linę, podobała jej się. Mogłaby się zerwać, ale nie

zrywa się. Oparła głowę o ramię Michała i czuła, że wszystko nagle współbrzmi z jej zmęczeniem, z jej kocim wstrętem do poruszenia choćby powieką. Szum wiatru i słowa Michała zlewały się w jeden, dość przyjazny prąd, który unosił ją do świata spokoju, a pojawiające się od czasu do czasu drgania jakby tylko podkreślały zarys znalezionego przez nią małego, przytulnego bezpieczeństwa.

– Gdyby anioły miały naprawdę latać – wyjaśniał Michał, chyba bardziej sam sobie niż jej – ich szkielet musiałby być skonstruowany zupełnie inaczej.

Gdyby anioły naprawdę miały latać, pomyślała Wiera, to po co Bóg tworzyłby również ptaki i to ich straszliwe sternum, wybijające się z klatki piersiowej niczym góra?

KIELONEK NA DROGĘ

Z Władka nie był żaden góral, chociaż mieszkał na odludziu za Ostrą Horą w chacie, którą zbudował jego dziad – święty człowiek, po którym został na ścianie w kuchni obraz Najświętszego Serca Pana Jezusa, niezrozumiałe książeczki do nabożeństwa w pudełku w kredensie, narzędzia ciesielskie i długa motyka sercówka, najlepsza do okopywania ziemniaków na spadzistym poletku przed chatą.

Każdej niedzieli rano dziadek chodził siedem kilometrów na piechotę do wsi do kościoła w czarnym garniturze i kapeluszu na głowie. Garnitur wciąż jeszcze wisi w szafie. Władek by się w niego nie zmieścił, nawet gdyby chciał. Wąskie ramiona, krótkie nogawki, z dziadka był taki mały gość. Kiedy Władek czasem o tym myślał, nie mieściło mu się w głowie, jak tacy mali ludzie, babka była jeszcze o głowę niższa od dziadka, mogli dać sobie radę z tym ogromem pracy. I nie, że mieli piły łańcuchowe czy wciągarkę leśną – wszystko własnymi rękami. To byli dopiero ludzie, nie do wiary, kręcił głową ich wnuk. Wszystko pięknie wymyte, zamiecione, nie to co ja. Machnął ręką w swoim typowym geście, którym zawsze wyrzucał króciutki niedopałek papierosa szybko oderwany od warg. Znowu przypalił sobie palce. Odziedziczył po dziadkach jedynie góralską oszczędność – wszystko dopalić aż do ostatniego macha. Ale poza tym?

Dziadek by się w grobie przewracał, gdyby zobaczył to jego gospodarowanie. Deski na podłodze w izbie czarne jak smoła, pierzyna na wyrze uwalana sadzą, na stole rozkręcona piła motorowa, butelka oleju, butelka po wódce, popielniczki, puszki po konserwach, kubki po kawie. Pajęczyny na ścianach, okno szare od kurzu, tylko jedna szybka, którą od czasu do czasu ocierał rękawem, dawała jaki taki widok na kupę drewna i zardzewiałe narzędzia, których nikt już nie naprawi. Trzeba by to wywieźć na złom, ale za wywiezienie zapłacisz więcej niż ci dadzą za żelazo, no i co mam z tym, kurwa, zrobić? Kolejny niedopałek leci na podłogę i gaśnie pod gumiakiem.

Z tyłu w stajni beczą owce, trzeba je wyprowadzić na wypas. Naciągnąć łańcuch na piłę, piłę do plecaka, zapakować drugie śniadanie i flaszkę herbaty, wsiąść na maszynę i dawaj pod górę, żeby leśnik ryja nie darł.

Siódma godzina, a robota stoi. Ale najpierw, najpierw walnę kielonka na drogę. Wlał w siebie szklankę wina jeżynowego i poszedł wyprowadzić owce. Idą same, już znają drogę. Wystarczy przywiązać starą Keszulkę, a reszta będzie się jej trzymać, Lidka, Zuzanna i dwa młode.

– No, Zuza, daj spokój – odpychał łakomy pysk owcy, która dobierała mu się do kieszeni.

– No jest, jest jabłuszko, czekaj no.

Patrzył, jak owca chrupie zielone jabłko i zarazem zgrabnie przytrzymuje je chwytnymi wargami.

Gdzie tam. Z Władka nie był żaden góral, jakby nim był, toby nie potrafił z takim zadowoleniem rozglądać się po pastwisku, na które nieuchronnie powraca las. Drobne krzewy olch, grabów, brzózek, tu i ówdzie nawet świerczek. Jeszcze rok temu nie było ich nawet widać w trawie, teraz przenikają łąkę jak zwiastun wysokiego lasu, który groźnie skłania się nad porębą, kiedyś mozolnie wykarczowaną i utrzymywaną przez tych niewiarygodnie małych ludzi. No i co zrobię? Nalot to nalot. I tak będzie musiał puścić te owce, już dawno się nie opłaca ich trzymać.

– Leć, leć! – klepnął gniewnie Zuzannę po tyłku, aż odskoczyła przestraszona.

Władek urodził się w nowym mieście Havířov, które wyrosło w latach pięćdziesiątych na łąkach pod Wzniesieniem Błędowickim. Sto tysięcy mieszkań dla górników. Mieszkania jak klitki. Duży pokój, sypialnia, mała kuchnia, łazienka z ciepłą wodą, czego więcej trzeba? Supermarkety, domy handlowe, domy kultury dla pracujących, knajpy, szpitale, wszystko tu jest. Autobusy, połączenia docelowe do pracy i z pracy. A nie jak tam wysoko, doginać na szagę siedem kilometrów na piechotę do kościoła. Wszystko pod ręką, wszystko czego ci trzeba. Telewizja, pierwszy program, drugi program. Teraz masz już pięćdziesiąt programów, możesz sobie przełączać, nawet nie wstając z łóżka.

Skończył zawodówkę elektryczną przy Bytostavie[8]. To on poprowadził kilometry, dziesiątki kilometrów instalacji elektrycznej w nowym budownictwie. Puszki, bezpieczniki, gniazdka, kontakty, oświetlenie sufitowe, podłączyć, sprawdzić i cześć. Przeszedł przez tysiące pustych gołych pomieszczeń, w których później młode rodziny znajdowały dom. On nie znalazł domu. Jak to mówił: cuś mu nie wyszło. Ale co, tego nie zamierzał wyjaśniać nawet sam sobie. Musiało to być jednak bardzo

straszne cuś, skoro wycofał się przez nie aż do odziedziczonej po dziadku chaty za Ostrą Horą.

Szkoda zostawić na zmarnowanie, myślał, usprawiedliwiając się. Majątku szkoda. Zbiorę to do kupy, potem się zobaczy. Z początku jeszcze dojeżdżał do Bytostavu. Zima czy lato, trzydzieści kilometrów na motorze, w tę i z powrotem, dzień w dzień. W zimie jeszcze pięć na piechotę, zostawiał maszynę u znajomego we wsi i gramolił się pod górkę po ścieżkach porobionych w śniegu na szerokość jednej łopaty, od samotności do samotności, tak sobie pomagali górale. Często w ogóle nie szedł na górę, zostawał na dole w knajpie, narąbał się, przenocował u kogoś i rano znowu, i tak tu sobie żyjemy. Narzucił podwójne kalesony, szerokie spodnie z brezentu, skórzaną kurtkę na motor i walił do roboty.

Potem znowu eksperymentował. Załatwił sobie w Bytostavie okna, drzwi, ościeżnice, pokrycie dachu, izolację. Powywoził to wszystko na górę i w tylnej części dużej dziadkowej chałupy zbudował mieszkanie. Mieszkanie z prawdziwego zdarzenia. Kuchnia, toaleta, łazienka, prysznic, żelazne futryny, przeszklone drzwi, jak w bloku. I znowu mu nie wyszło. Nigdy tam nie zamieszkał. Po prostu je miał, właściwie nie wiadomo po co. Co miał z tym zrobić? Znowu pajęczyny, chrząszcze, skorki za boazerią. Wolał tam nawet nie zaglądać.

Raz ktoś na dole w knajpie doradził mu, żeby to wynajął mieszczuchom. Najpierw kręcił głową, nie, nie chcę, żeby mi się obcy po domu pętali. Dziadek by tego nie pochwalał. Ale potem spotkał się z chętnymi. Facet i babka, mieszczuchy. Ostrawiak i Ostrawiaczka. Ładna babka, trochę ruda, ale tak ogólnie ładna, a on, on był nauczycielem. Władek nigdy nie zrozumiał, gdzie właściwie uczy, w gimnazjum czy gdzie. Było mu obojętne.

Trzy tysiące sześćset pięćdziesiąt, powiedział, za każdy dzień w roku dziesięć koron i możecie przyjeżdżać, kiedy chcecie. Ostatnie słowo. Ostrawiak zapłacił połowę z góry. Nawet nie protestowali, kiedy wyjaśnił im, że kuchnia i łazienka właściwie nie działają, bo po wodę trzeba chodzić do drewnianego, podstawionego pod źródełkiem korytka. Najważniejsze, żebyśmy tu mieli spokój, mówili. No, spokoju to tu będziecie mieli pod dostatkiem, nikt tu nie przychodzi – powiedział Władek i nalał po kieliszku z butelki rumu, którą mu przywieźli. Spokoju to tu będziecie mieli aż potąd – rzucił i przejechał sobie palcem wskazującym po szyi. Ostrawiaczka

drgnęła przestraszona. Nie bój się pani, tu jest bezpiecznie, uspokajał ją, wlewając w siebie setkę. I szybko jeszcze na drugą nogę.

No i Ostrawiacy urządzili się na górze. Paniusia wypucowała podłogi, ściany, okna. Przywieźli ze sobą tylko kilka rzeczy, nic specjalnego. Jakby za dużo nie mieli. Kuchenkę gazową, czajnik, garnek, dwa talerze, parę książek, jakieś koce. Nie mają nawet radia, towarzysze nauczyciele, myślał Władek, kiedy pod ich nieobecność badał skromne wyposażenie tego, wyraźnie miłosnego gniazdka. Co mnie to obchodzi? Chcieli pokój, mają pokój, a ja mam trochę kasy. Cisnął króciutki niedopałek na podłogę i rozdeptał go. Przecież posprzątają.

– Mówię ci, ten facet nas tu kiedyś zabije siekierą jak Karamazow – powiedziała Pavla w ciszy, która nastała i powoli przeciągała się jak nieśmiała pauza w długiej, hałaśliwej pijackiej litanii, dobiegającej z izby Władka.

– Chyba ci chodzi o Raskolnikowa z tą siekierą – poprawił ją jej facet Ivan.

– Ciii, chyba zasnął – syknęła Pavla, tak jakby pijanego w ogóle coś było w stanie obudzić.

– Czemu miałby nas zabijać, przecież to miły człowiek – nie zgadzał się Ivan, sam jednak złapał się na tym, jak w napięciu wsłuchuje się w dziwnie długą pauzę, która zagościła w chałupie.

– Jest samotny, dziwny, rozmawia z owcami, z psem, ze swoją piłą i motorem, chyba mu trochę odbija.

– Chyba nieźle mu odbija, skoro wyzywa swój motor od kurew.

– E tam, ja też wyzywałem kiedyś swój motor od kurew – śmiał się Ivan. – Jak nie chciał ruszyć.

– Miałeś motor?

– No, wyobraź sobie, że tak. Jeździłem na nim do pracy, jak pracowałem w budownictwie wodnym.

– Jeszcze przed studiami?

– Tak, wcześniej.

– Przed ślubem – powiedziała Pavla z naciskiem.

Ivan umilkł, bo czuł, że zbliża się rozmowa ciężkiego kalibru.

– A potem na pewno opowiadałeś żonie i dzieciom, jak to nie mogłeś studiować, jak musiałeś pracować jako robotnik w różnych zawodach.

– Pavla, proszę cię, przecież wiesz, że było wtedy ciężko.

– Nie wiem, ja nie przeżyłam niczego podobnego.

– To przeżyłaś coś innego.

– Nie, Ivan, ja nic nie przeżyłam. Kiedy oglądam się wstecz, widzę tylko ciemność, ciemność, w której miota się jakiś duch, a tym duchem jestem ja.

Umilkli oboje. Drewno w piecu trzaskało. Właściwie nie było jeszcze potrzeby palić. Czuli się trochę zakłopotani i palili chyba tylko po to, żeby rozgrzać w sobie uczucie, które musieli przez cały tydzień trzymać w kubełku z lodem. Pavla leżała na łóżku z kocem podciągniętym aż pod brodę. Papieros w jej ręku sterczał jak gwóźdź z zardzewiałą główką.

– Duch... – Ivan kręcił głową.

– Tu są duchy – Pavla weszła mu w słowo. – Dwa tygodnie temu, wiesz, wtedy co się pokłóciliśmy o te urodziny...

– No.

– Wtedy przyjechałam tu sama.

– Jak to przyjechałaś sama? Czemu nic nie powiedziałaś?

– Przecież wiesz. Ale czekaj, powiem ci o tych duchach. Przyjechałam wieczornym pociągiem. Chwilę posiedziałam jeszcze w restauracji na dworcu.

– No, piękny widok, samotna kochanka na dworcu, kiedy facet świętuje sobie urodziny.

– Może i tak. Byłam strasznie wkurzona. Potem ruszyłam pod górę. Szłam skrótem, tą wąską ścieżką, która kończy się koło korytka na wodę. Ciemno jak w grobie. Cieszyłam się, że już jestem prawie na miejscu. Wyglądam na szeroką drogę, a od strony chaty Władka jakby coś szło.

– Władek?

– Nie, w ciemności błyskały dwie białe plamy. Z początku myślałam, że to sarna. Sarny mają nad kopytkami takie jakby białe...

– Nie mają.

– No to nie mają. Poza tym to było tak jakoś wysoko nad drogą. Te plamy poruszały się nieregularnie, jakby leciały w powietrzu. No więc stoję za drzewem, latarka zgaszona i słyszę dźwięki, jakby ktoś naraz charczał i płakał. Dwie białe plamy spazmatycznie tańczyły w powietrzu. Potem to coś przybliżyło się do przesieki, gdzie droga na chwilę wychodzi z lasu. Patrzę, a to człowiek, kobita. Ta gruba baba, co chodzi do tego gospodarstwa, co na nie mówią U Emila, czy jakoś tak. Jakaś ich ciotka czy coś.

– Bożka.

– No, pijana Bożka tłukła się po lesie. Miała zabandażowane obie ręce. Te bandaże świeciły jej przed buzią, kiedy ocierała sobie łzy. Nie wiedziałam, co się stało. Właśnie zbierałam się na odwagę, żeby wyjść na drogę i jakoś jej pomóc, wyglądała strasznie. A tu nagle w jasnym przesmyku, skąd już widać nasze okno, pojawił się cień mężczyzny, wielkiego jak niedźwiedź.

– Władek?

– Pewno, że Władek. Wynurzył się w świetle księżyca cicho jak demon i wydarł się na cały las: Zabieraj się, dziwko, a potem poleciały wszystkie wyzwiska, jakie można sobie w ogóle wyobrazić... kurwy, pizdy, koszmar! Nie wiem jak Bożka, ale ja odwróciłam się na pięcie i zabrałam się od razu, spieprzałam na oślep, czarnym lasem w dół wzdłuż potoku, zatrzymałam się dopiero na dworcu, wsiadłam w nocny pociąg i do domu. Mówię ci, to był widok. Zarzekałam się, że już tu nigdy nie przyjadę.

– Przykro mi. Właściwie moja wina.

– Coś ty, nie twoja wina, każdy odpowiada sam za siebie. Jak robisz komuś na złość, zawsze los odpłaca ci z nawiązką. Ciekawa jestem tylko, co się Bożce stało w te ręce.

– A to akurat wiem. Władek mi mówił, że coś świętowali, z tym Emilem i innymi górolami.

– Pewnie czyjeś urodziny – uzupełniła Pavla kwaśno.

– Pewnie tak. I Bożka ponoć tak tańcowała, że aż wpadła rękami do ogniska. Władek musiał ją zawieźć na motorze na pogotowie, a że nie mogła się go trzymać tymi poparzonymi rękami, przywiązali ją do niego rzemieniem.

– Poważne te poparzenia?

– No, poparzone ręce, pęcherze, ale może ruszać palcami. Tylko nie może teraz pracować. Robić, jak to oni mówią.

– Robić może i nie, ale zadowolić faceta by jeszcze dała radę – powiedziała Pavla z wieloznacznym uśmiechem.

– Ale z ciebie niegrzeczna dziewczynka – szepnął Ivan, nachylając się do twarzy Pavli.

Po chwili ostrożnie odsunęła go od siebie.

– Chodźmy na dwór. Chodźmy się przejść. Jakoś się tu dzisiaj duszę.

Z butelką wina i paczką papierosów wyszli przed chatę. W izbie Władka było ciemno, lecz drzwi były otwarte na oścież. Tylko z tyłu u owiec było jakoś niespokojnie. A może jest tam baran? Ivan przypomniał

sobie, jak Władek mu mówił, że dopuści jeszcze starego barana z sąsiedniego gospodarstwa. Już niedługo mu gardło poderżną, ale jeszcze da radę owieczkę pokryć. Po nim może nie widać, bo stary – mówił Władek, uśmiechając się krzywo – ale ten rżnąć umi jak jasna cholera!

Pavla poszła jeszcze po coś do domu. Kiedy wróciła, miała zarzucony na ramiona koc.

– Zimno ci?

– Jeszcze nie – powiedziała i cicho się zaśmiała.

Mgła utrzymywała się w dolinie jak woda w jeziorze, z którego do nieba ćmiącego się bilionem gwiazd wznosiły się tępe szczyty gór.

– Wszystko wkoło, a do tego jeszcze wszystko, co można dojrzeć z każdej najbardziej oddalonej gwiazdy, to nasz dom – Ivan nakreślił ręką na niebie szerokie koło.

– Tak to czujesz? – spytała Pavla. W mroku pod wielkim pniem pośrodku nagiego szczytu lśniły tylko białka ich oczu.

– Tak czuję – Ivan spieszył się z wyjaśnieniem, a jego ręce spieszyły się pod ubranie Pavli, do jej piersi.

– Zawsze kiedy widzę wszystkie te gwiazdy – szeptał jej – myślę sobie: ja i wy jesteśmy jednej krwi!

– Przecież nawet ja i ty nie jesteśmy jednej krwi.

Pavla zrzuciła z siebie koc, jej nagie ramiona zmieniły się w horyzont gwiaździstego nieba nad głową Ivana. Dotknęła językiem jego języka. W takich chwilach rozumieli się doskonale. Ale tylko przez tę krótką chwilę wyciętą z czasu. Kiedy później, owiani tym, czego żadne z nich nie ma, kiedy jest samo, skulili się w gnieździe pośrodku poręby, czuli, jak znów otacza ich niekończąca się marność.

Patrząc z zewnątrz, przestrzeń za otwartymi drzwiami do izby Władka była czarna. Budynek był martwy. Nic się nie poruszyło, nie zaszeleściło nawet źdźbło siana na strychu.

Jednak patrząc od środka, w ramie drzwi świeciła jasna noc. Stojącego w głębi pomieszczenia Władka gniotło silne bicie serca. Czasami mu się to zdarzało. W końcu kiedyś pęknie i znajdą go tu leżącego na środku izby, z siekierą w ręku, jakby chciał bronić się przed kostuchą. Jakby chciał wyjść na dwór i zabić kogoś innego, zamiast siebie. Albo po prostu narąbać trochę drzazg do zimnego pieca. Albo wszystko porąbać w drzazgi. Serce waliło mu jak młotem. Widział, jak obok drzwi przechodzi Ostrawiak z Ostrawiaczką. Szli za ręce. Ostrawiaczka miała rozpuszczone włosy.

Przeszli i znowu zrobiło się cicho. Zakradli się do jego nędznego domu od tyłu cicho jak tchórze.

Rzucił siekierę na podłogę. Hałas rozległ się w całym domu.

– Nalej, nalej kielonka na drogę – powiedział do siebie półgłosem, wlewając w siebie kubek wina porzeczkowego. Ciepło rozlało mu się po całym ciele. Czuł, jak zamyka się okienko mroźnej i niebezpiecznej trzeźwości. Położył się do łóżka tak jak stał. Po chwili skopał z nóg gumiaki i zarzucił na siebie pierzynę. Uśmiechał się w ciemności, mrucząc, że wszystko jest w najlepszym porządku. Głaskał się po policzku szorstką ręką, czuł tylko tytoń, wino porzeczkowe i popiół.

Rano, kiedy promienie słońca zalały izbę Władka, wszystko było jakoś inaczej. Furta do stajni otwarta. Władek chyba zapomniał ją zamknąć albo wyważył ją baran, który po południowej kopulacji zatęsknił za rodzinną stajnią. Owce, których nikt nie wyprowadził na wypas, podskakiwały skołowane przy domu, właziły do sieni i do izby przez otwarte drzwi, przewróciły wiaderko z jabłkami i pchały się jedna przez drugą. Do tego szczekał pies, który próbował je wyprowadzić, lecz zamiast tego zaganiał je coraz głębiej.

Hałas obudził gospodarza, ale było mu wszystko jedno. Nie wykopał tego cyrku z chaty na dwór, co zrobiłby kiedy indziej, tylko uśmiechał się, jakby nagle coś pojął.

– No, no... – mruczał, przechodząc pomiędzy owcami przed dom, gdzie oddał mocz pod krzakiem dzikiej róży i mocno odkaszlnął.

– Owieczki, owieczki, owieczki moje – powtarzał z dziwną wesołością. – Przyszłyście do mnie. A ty! – krzyknął na psa: – A ty cicho!

Pies podkulił ogon i urażony odpełznął na dwór.

– Owieczki, owieczki – Władek kopał pogryzione jabłka.

– Trzeba zrobić porządek. Porządek, rozumiecie. Nie zniosę tu burdelu!

– A dziś – ogłosił jakby olśniony myślą, która mu się nasunęła – dziś jest niedziela i będzie się, kurwa, święcić. Nie możesz w dniu tym wykonywać żadnej pracy – przypomniał sobie, jak babka uczyła go dziesięciu przykazań, i śpiewał niczym proboszcz w kościele.

Wyniósł krzesło na ganek, obok krzesła postawił wiaderko z resztą jabłek i butelkę wina porzeczkowego, pokrzykiwał na owce i rzucał im jabłka.

– No, ładnie, po kolei, starczy dla każdej.

A gdzie są Ostrawiacy? – pomyślał nagle. Jeszcze śpią? Chwycił butelkę i dwa kieliszki i ruszył na tyły domu w kierunku mieszkania. Miał dzisiaj cholernie dobry humor. Napijemy się. Pogadamy. Przecież nawet dobrze nie zdążyłem poznać tych swoich najemców.

Zapukał do drzwi. Nikt nie otwierał. Czyżby jeszcze spali? Popatrzył na słońce, koło wpół do jedenastej, cisza. Jezus Maria. Nagle poczuł przerażającą niepewność przebiegu wczorajszej nocy.

– Co ja zro... Jezus Maria, nie chcę na to patrzeć.

Ostrożnie otworzył drzwi do mieszkania. Żywego ducha.

Dzięki Bogu. W nocy normalnie spałem. Posprzątane, łóżko posłane, czysto, wszystko jak trzeba.

W zamyśleniu obszedł budynek i zobaczył ich daleko na końcu pastwiska.

– Hej! – krzyknął za nimi.

Odwrócili się i pomachali mu.

– Kielonka na drogę – krzyczał, podnosząc w górę butelkę wina porzeczkowego.

Jeszcze raz mu pomachali i zniknęli w lesie.

GABRIEL

– Timi, jak ty właściwie masz na imię? Przecież nie ma takiego imienia, Tim, to musi być skrót, tak jak Tom od Tomasza.

Gabriela patrzyła na niego z wielkim zainteresowaniem, jakby to było nie wiadomo jak istotne. Przymykała oczy i wysuwała do przodu brodę, spodziewając się, że zaraz zrozumie jakąś kluczową dla niej sprawę. Potem cofnęła brodę, otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Timi doskonale znał tę jej etiudkę, nie był jednak świadom, jak poważnie jest odgrywana. Nie potrafił połapać się w tych sprytnych dziewczynach, zdecydowanych istotach, które posiadały umiejętność zauważania detali. Jak wtedy, kiedy odgarniała z czoła nieposłuszne pasmo, które jakby uciekło z mocno ściśniętego węzła ciemnych włosów. Robiła to zupełnie naturalnie.

– Tak naprawdę mam na imię Tymoteusz.

– Wow, ale superimię, po angielsku Timothy jak Timothy Leary.

– No, niezupełnie, wiesz, ja jestem od strony ojca z rodziny ewangelickiej. Tam się daje dzieciom takie biblijne imiona. Mogłem trafić gorzej. Niektórzy moi kopnięci krewni ponazywali dzieci Eliasz, Abigail, Lea... Jest jeszcze Gedeon.

– Ale ładne imiona. Abigail, mówisz? Abi... chciałabym takie. Ale w mojej rodzinie są sami ateiści, nawet nie wiem, co te imiona znaczą. Eliasz to był chyba prorok, nie?

– A Gabriel to archanioł – odwzajemnił się Tim.

– Słyszałam, ale nie wiem, czy moi starzy o tym wiedzieli, kiedy mi wybierali imię. Ono chyba było wtedy po prostu modne, w tak głupi sposób, w jaki mogą być modne spodnie dzwony Myślę, że gdyby wiedzieli, że to od archanioła, toby mnie tak nie nazwali. Nie wierzyli w anioły. No i też żadne anioły z nich nie były, znaczy nie są. Wiesz, jak obrzydliwie się o sobie wyrażają?

– Nie wiem.

– I nie chcesz wiedzieć. Ciesz się, Tymoteusz, że twoi rodzice się przez całe życie tak kochają. Bo się kochają, co nie?

– Teraz to wręcz trochę obciach, miłość wyszła z mody – powiedział poważnie Tim.

– Ale bzdura! – niemal wrzasnęła Gabriela, a jej oczy niebezpiecznie się zwęziły i wydłużyły. – To największa bzdura, jaką w życiu słyszałam.

– A ja jestem największym idiotą, jakiego w życiu spotkałaś – powiedział Tim, bo nagle wypełniła go ciężkość i furia, których nie mógł się pozbyć w jej obecności. Chyba zazdrościł jej tego ciętego uroku, który zarazem tak w niej podziwiał.

– Nieprawda – powiedziała uspokajająco – nie jestem taka młoda, jak ci się zdaje.

Była. Była tak młoda, że nie dało się prześcignąć jej w młodości. Opierała się o swój prawie nowy rower, w samych szortach i płóciennych tenisówkach na bosych stopach. Nagie ręce, nagie ramiona, tylko dziewczęce piersi do połowy zakryte górną częścią od żółtego stroju kąpielowego. Gabryśka. W porównaniu z nią Tim w ogóle nie czuł się młody. Tim nie miał właściwie pozytywnego stosunku do swojej młodości. W wieku osiemnastu lat czuł już, że jego przeznaczeniem jest dojrzałość. Tylko poważne sprawy. Nigdy nie będzie się opalał i cieszył ruchem, nie będzie nigdy tańczył i chodził na imprezy. Nie on.

Wsiedli na rowery i pojechali drogą prowadzącą na cmentarz między zapylonymi domkami, a zza płotów szczekały wilczury albo inne duże psy, których wściekłe głosy świadczyły o prawdziwych charakterach ich panów. Niebezpieczna okolica. Koniec miasta, dawna osada robotnicza zagubiona pośród osikowych lasów, z ponad których sterczą zardzewiałe szczątki budynków przemysłowych.

Tim jechał za Gabryśką, ledwie nadążając za jej ostrym tempem. Zastanawiał się, czy ona też czuje słodkawy odór wydobywający się z głębi wegetacji chwastów, miodową śmierć, która powleka ten region. Chaszcze rozstąpiły się, dalsza droga prowadziła pod górkę aż na szczyt okrągłego wzniesienia, na którym stało krematorium, a dokoła niego rozpościerał się miejski cmentarz.

Gabriela jechała na grób swojego dziadka, Czestmira. Był to jej prywatny rytuał, który wykonywała w każdy ostatni piątek miesiąca. Na początku roku zawsze oznaczała te piątki w kalendarzu słowem GRÓB, a potem jeździła regularnie, choćby, jak mawiał jej dziadek, waliły pieruny.

Kiedy była ładna pogoda, zjeżdżała z górki i chodziła się kąpać w zalanej żwirowni. Nikt jej nie zmuszał do tych wycieczek, ani matka, która wolała nawet ojca nie wspominać, ani ojciec, który właściwie nienawidził całej tej familii, a jeśli to, jak wyrażał się o matce, było obrzydliwe, to tego

jak wyrażał się o jej ojcu już w ogóle nie dało się powtórzyć. Tylko Gabi, jakby wszystkim na przekór, uparła się, by czcić pamięć Czestmira. Kiedy po kąpieli leżała mokra na żwirze koło wody, czuła osobliwe zadowolenie, jakby zmyła z siebie choć skrawek hańby wszystkich ludzi, od których się wywodziła. Tim nawet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo intymną tajemnicą się dzieli, zabierając go ze sobą.

Pod bramą cmentarną zsiedli z rowerów.

– Chcesz iść tak na cmentarz? – zdziwił się Tim, patrząc na krople potu lśniące na jej nagich ramionach.

– Tak to znaczy jak? – nie wiedziała, o co mu chodzi.

– Tak... tak mało ubrana.

Tim myślał, że ma w plecaku jakąś koszulkę, przecież nie można iść na cmentarz w stroju kąpielowym! Zatrząsł się na samo wspomnienie majestatycznych pogrzebów swoich przodków i nie mniej majestatycznych wypraw na groby w niedzielne popołudnia.

– Tak ci się nie podobam? – znowu te przymrużone oczy i wysunięta broda.

– Bardzo mi się podobasz – w końcu mógł to z siebie wydusić. Zapatrzył się na nią i nagle zapomniał, o czym właściwie rozmawiali. Najchętniej wziąłby ją w ramiona. Najchętniej kochałby się z nią lub przynajmniej pocałował tutaj, przy bramie cmentarnej, pod tęsknym spojrzeniem wapiennych rzeźb. Tylko że ona czekała na odpowiedź, a odpowiedź nie była łatwa.

– Wszystko jedno – próbował się wymigać.

– Nie wszystko jedno. O co ci chodziło?

Nie była wkurzona, tylko rzeczowa. Ostra, łatwo mogłaby zranić się o to swoje ostrze.

– Chyba miałem jakieś starodawne wyobrażenie, że na cmentarz się chodzi w gaj erze i tak dalej.

– To załóż gajer, ja idę tak. Dziadek by nie miał nic przeciwko. Był pies na baby. Mówię ci, pies na baby, aż do śmierci za nimi latał. Ten, jak tylko zobaczył kobiecy tyłek, mówię ci, nie wyobrażasz sobie, i potem mi to wszystko opowiadał, własnej wnuczce. Babcię zamęczył na śmierć. Normalnie się zachlała. Ona chlała na górze w sypialni, on sprowadzał sobie baby do warsztatu na podwórku. Baby różnej maści, Cyganki z ulicy, co dawały za dwie dychy. A jak już potem nie mógł, to przynajmniej z nimi rozmawiał, wiesz, te gadki o cycuszkach i tak dalej...

– Niezły był z niego kozak.

– No, kozak jak nic, człowieku, ten to miał charakter.

– Czyli nie miałby nic przeciwko bikini na cmentarzu?

Gabriela już-już chciała przytaknąć, ale nagle złapała się za buzię.

– A wiesz, że by miał? Bardzo by miał! Nienawidził patrzeć na nagie ciało.

– Teraz to już nie rozumiem.

– Czekaj – Gabriela machała rękoma na wysokości ramion jakby przywołując dawne wspomnienie. – Raz biegałyśmy z siostrą u dziadka po ogródku na golasa. Polewałyśmy się wodą ze szlaucha czy coś. Małe dziewczynki. A on wrzasnął na matkę: Ubieraj je, ale już! I zabierajcie się do domu! No i było po wizycie. On tak naprawdę cały czas mówił o babach, ale nigdy nie widziałam u niego żadnych rozbieranych zdjęć, wiesz, jak mają na przykład kierowcy w autach. Nie znosił tego.

– Ale czemu? To nie ma sensu.

– Ma, ma. To ma dużo sensu, Tim.

Gabriela przygryzła dolną wargę, wahając się, czy ma mu powiedzieć.

– Jak była wojna, to był w obozie koncentracyjnym. W tym najgorszym, w Birkenau.

– Był Żydem?

– Nie, komunistą. I tam zaszeregowali go do Sonderkommando. Wiesz, co to było?

– Dokładnie nie wiem.

– Komando, które sprzątało w komorach gazowych. Po prostu wyciągali tych wszystkich martwych ludzi na zewnątrz i wozili ich do pieców, oczywiście nagich.

– Straszne.

– No. I on właściwie do śmierci nie mógł znieść widoku nagiego ciała. Kiedy kochał się z kobietą, musiała być ubrana. Słyszałam, jak mówili o tym rodzice.

– A co robił po wojnie?

– Co się dało. Ożenił się z babcią, mieli mamę. Ale był nie do wytrzymania, awanturował się. Chlał, trwonił pieniądze, których nie zarabiał, obrażał ludzi. Miał poczucie, że świat jest mu coś winien. Ile on miał konfliktów, ile spraw w sądzie. Nawet z tego jego stronnictwa go w

końcu wywalili. Zniszczył babcię. Zmarła w szpitalu psychiatrycznym, sparaliżowana. Skłócił moich starych.

– Jak?

– Dosłownie nienawidził taty. Obrażał go, kiedy tylko mógł. Po prostu uważał, że jego córka nie jest dla niego. Nazywał go łamagą, chciwym chłopaczkiem. Myślał, że tylko ludzie, którzy przeżyli to, co on, mogą coś znaczyć.

– Ale ty go kochałaś, co?

– Tak, a on mnie, tylko mnie. Siostry nie znosił. Przychodziłam do niego, kiedy był już całkiem sam. Zawsze dawał mi spróbować chlebowej gorzałki, on już potem nie miał kasy na to picie. Babci picie szkodziło, jemu nie. Twierdził, że złego licho nie bierze. Zrobił sobie maszynę do destylacji, rurki, przyrząd do chłodzenia, wężyk, dokładnie mi wszystko objaśnił. Wydaje mi się, że dałabym radę to złożyć.

– Może nam się kiedyś przyda.

– Może. Ustawił tę aparaturę w kuchni na stole. W wielkich słoikach po ogórkach miał zacier z chleba i z cukru. Codziennie robił sobie jakieś ćwierć litra, żeby przeżyć. Miał dwa psy, złe jak cholera, gryzły każdego, nawet jego, bo jak się narąbał, był dla nich mało przyjemny. Tylko mnie nigdy nie pogryzły, musiał im zabronić czy co.

Doszli na grób i Gabriela zabrała się do pracy. Tu i ówdzie wyrwała źdźbło wystającego z białego piasku perzu, zamiotła nagrobek, wytarła płytę szmatką, zapaliła świeczkę, chociaż było zupełnie jasno, i położyła na grobie sztuczny kwiatek.

Tymoteusz siedział na brzegu przeciwległego grobu, zamyślony i zdyszany, mimo że nic nie robił, nagle pojmując, że jest świadkiem objawienia. Na pobliskich grobach to tu, to tam pojawiały się wprawdzie anioły, z kamienia lub gipsu, ale tylko nad grobem starego Czestimira i jego biednej żony unosił się prawdziwy anioł, w dodatku Gabriel.

Popołudnie przechodziło w wieczór. Wielkie słońce wisiało za górą jak dziwny owoc marynowany w trującym syropie. Okoliczne domy i fabryki oddychały ciężko w gorącym półmroku. Tego wieczora Tim i Gabi później niż zwykle dojechali do żwirowego jeziora. Unosząca się przez cały dzień w powietrzu nieuchronność dopadła ich w osikowym lasku pod cmentarzem. Kiedy później pływali nadzy w chłodnej wodzie, zmywali z siebie własną nową hańbę.

CEDR I MŁOTEK

– Kto idzie na papierosa? – krzyknęła pielęgniarka w stronę korytarza na oddziale psychiatrii. Ze wszystkich pacjentów, którzy po kolacji krążyli bezcelowo po ograniczonej przestrzeni oddziału zamkniętego, zgłosiło się tylko dwóch mężczyzn.

Doktor Kraus, biolog ze szpitalnego laboratorium, który znów wylądował tu po kilkumiesięcznym ciągu alkoholowym. Już po raz drugi, czego nie mógł sobie darować. Po pierwszym pobycie opuszczał szpital z pewną nadzieją, ktoś jeszcze wówczas na niego czekał. Teraz jednak świat po drugiej stronie białych ścian wydawał mu się bardziej niegościnny niż pusta kraina, która trwała w jego wnętrzu. Doktor Kraus cieszył się na papierosa dla samego papierosa, nie chciał przy paleniu o nikim myśleć, czekać, że zapali gdzie indziej z kimś innym, chciał zapalić właściwie głównie dlatego, że mu na to pozwolono.

Drugi palacz nigdy nie zastanawiał się nad tego typu sprawami. Paweł Czerwonka, tak zwany Pawcio, regularny bywalec tej instytucji, był jeszcze młodym mężczyzną, takie dziecko z przedwczesnymi oznakami starości na twarzy, dziecko, które udaje, że ma gdzieś otaczający je świat, mimo że prawdopodobnie wie, iż jest raczej na odwrót.

W drodze do pseudopalarni zaaranżowanej w tylnej części budynku spotkali ordynatorkę oddziału. Wszyscy łącznie z siostrą nieznacznie się wyprostowali, jak żołnierze mijający oficera.

– Panie Kraus – pani ordynator zawołała Krausa na stronę – skoro już pan idzie palić, niech pan, proszę, spróbuje trochę porozmawiać z panem Czerwonką.

– Ale o czym?

– Tak po prostu, o czymkolwiek. Myślę, że ma za mało kontaktu z ludźmi, męczy go to, jest dość inteligentnym człowiekiem.

– Spróbuję – obiecał doktor Kraus, nagle uradowany powierzonym mu zadaniem.

– Żadna frajda mieszkać w budzie, ale zawsze to lepiej niż skończyć jak ci bezdomni. Gnojki takie, specjalnie łażą z tymi swoimi torbami, specjalnie chodzą uwaleni, brudni, żeby każdy widział, jak to im strasznie

źle. Nigdy tego nie kumałem, chwalić się, że jestem w głębokiej dupie i kłaść się ludziom pod nogi. Co osiągnę przez to, że mnie zmiotą do kanału jak jakiegoś śmiecia? I tak wiem, że ludzie to kurwy, nie muszę robić eksperymentów. Zresztą, ja też potrafię być niezła kurwa, jak przyjdzie co do czego. Każdy musi zadbać sam o siebie, nikogo nie weźmiesz na litość, jak się ubierzesz w brudne szmaty i położysz przed sobą dziecięcą czapkę z pomponem. Nie kumam tych gnojków.

Pawcio mocno zaciągnął się papierosem, jakby w każdej chwili ktoś miał mu go zabrać. Siedzieli pośrodku pustej sali na stosie materacy obciągniętych zielonym woskowanym płótnem i strzepywali popiół do blaszanej puszki. Z nagich ścian sterczały obnażone druty.

– Będą tu remontować – rzucił Pawcio. – Wszystko zrobią nowe.

– A co tu będzie? – zapytał Kraus, zadowolony, że konwersacja tak pięknie się rozwija.

– Ma być intensywna terapia, wiesz, w każdą dziurkę jedną rurkę, jak cię przywiozą w delirce albo nieprzytomnego, nie będą cię musieli ciągać przez internę, tu ci od razu władują zastrzyk.

– Ciebie przywieźli w delirium? – zapytał Kraus, patrząc na ciemnoczerwone plamy wkoło nosa i oczu Pawcia, na rany na brodzie, które pomału się goiły. Bezwiednie przejechał palcami po własnej twarzy, na której picie jak na razie nie pozostawiło tak wyraźnych śladów.

– Nie, sam tu przyszłem. Normalnie zebrałem się i przyszłem.

Ukryć się, rozumiesz? Miałem dość, straszna akcja, bałem się, że to się źle skończy, że kogoś zabiję albo że mnie ktoś zabije. Nawet ordynatorka mówiła, że dobrze, że przyszłem, bo mogłem skończyć zupełnie gdzie indziej.

– A co się właściwie stało?

– To był masakrycznie kiepski dzień. Po kiepskim tygodniu i kiepskim miesiącu. Czasem człowiekowi nie idzie za dobrze. Jak ci mówiłem, mieszkamy w budzie, stoi pod lasem za dworcem, taka przyczepa jak w cyrku. Kupiliśmy ją od jednego typka, co pracuje na dworcu, akurat go znałem, to nam ją sprzedał za dwa tysiące. Przyciągli nam ją na ten plac traktorem, no to tam mieszkamy. Najlepiej było, jak tata jeszcze żył, no i mama, oczywiście. Wtedy to jeszcze mieszkaliśmy w bloku, potem nas wyjebał ten właściciel na ulicę, bo nie płaciliśmy. Przedtem płaciliśmy, tata miał nawet dobrą emeryturę, mama też coś tam miała, no, pracy to nie mieliśmy ani ja, ani moi braciszkowie, Lolo i Picio. Jakoś nie dawaliśmy

rady w tym zasranym kapitalizmie. Jak nie musisz robić, to nie robisz, nie? Za Husáka siedziałem za to, że nie robię, za pasożytnictwo. A teraz nagle nie ma takiego paragrafu jak pasożytnictwo, znaczy się robić nie trzeba. Mieliśmy te zasiłki, może byśmy je i dalej mieli, jakbyśmy tam dalej chodzili, ale kto by wytrzymał to ich pieprzenie w tym urzędzie. Potem siostra nam też trochę pomagała, żyła z jednym Pajacem, on się tak naprawdę nazywał, Alojzy Pajac, ja pierdolę, tragedia, mieli dziecko, i brali na nie też zasiłek, no to jakoś żeśmy żyli. Czasem łapaliśmy fuchy, czasem gdzieś pomagaliśmy. Ja zawód mam, monter. Do technikum nawet chodziłem, ale olałem to, tą maturę, nie dla mnie taka nauka, jak się miałem w domu uczyć, jak tam ciągle leci telewizja, a braciszkowie mówią chodź na piwo, to wolisz iść na piwo. Wykorzystywałem zawód, umiem spawać, spawałem coś ludziom tu i tam, za to jest dobra kasa, ale jak jesteś napierdolony, nie pospawasz za dużo. Jakbym miał kasę, tobym sobie kupił spawarkę i otworzył warsztat. Ale co ja, kurwa, mogę mieć warsztat, co ja, kurwa, jestem jakiś biznesmen? Braciszkowie, rozumiesz, właśni bracia by mi to rozkradli i posprzedawali. Tam najlepiej nic nie mieć, jak ten święty Franciszek, jak to mówiła babcia, wtedy możesz się spokojnie napierdolić, bo nawet jak ci kieszenie wywrócą podszewką na zewnątrz, to i tak tam gówno znajdą.

Pawcio głośno się rozchichotał i nagle rozkaszlał. Zawsze tak jest, pomyślał Kraus, chcę się roześmiać, a zamiast tego się rozkaszlę, jakby te zabiedzone płuca wiedziały, że nie ma się z czego śmiać.

– Musimy wracać, nie? – spytał Pawcio.

– Nie, nie musimy, mamy czas.

– Wiem, wiem, lekarka ci kazała ze mną rozmawiać, żebym się wygadał. To taka terapia. No to się wygadam, a co. Więc skończyliśmy w tej przyczepie po śmierci rodziców, bo ten właściciel to był spryciarz, nie kłócił się z nami, tylko nas normalnie wyruchał. Żebyśmy się wyprowadzili, skoro nie płacimy, po śmierci rodziców, wiesz? Zaproponował, że da nam kasę, jak mu podpiszemy jakiś papier o uregulowaniu długu, że nam da trzydzieści kółek na rękę. Najpierw posyłaliśmy go w cholerę, w końcu to mieszkanie, ma kurwa jakąś wartość, nie? Ale potem, wiesz, siła gotówki, potem mało się nie pozabijaliśmy, tak się baliśmy, że któryś z nas to potajemnie podpisze i weźmie kasę dla siebie. No więc Lolo, najstarszy, mówi, kurwa, idziemy do tego gościa. Ładnie, wszyscy poszliśmy, siostra z tym dzieckiem i z tym Pajacem też.

No i to podpisaliśmy, potem przez tydzień chlaliśmy jak świnie, a potem zabraliśmy dupy w troki i poszliśmy mieszkać do Pajaca do domku letniskowego jego rodziców. Ale długo tam się żyć nie dało, to za ostatnie halerze kupiliśmy tą budę. Wtedy siory dzieciak był już w domu dziecka, chyba mu tam lepiej, a Pajac zniknął, skurwiel.

Doktora ogarnął potworny smutek. Też chciałby się wygadać, ale wiedział, że nigdy mu się to nie uda. O czym miałby opowiadać, że ciągle lata tą samą linią – abstynencja, potem kontrolowane picie, potem niekontrolowane picie, potem upadek. Nie ma o czym mówić.

– Czyli zniknął, skurwiel – doktor chwytał się wątku rozmowy.

– No, znowu zrobił dzieciaka jakiejś babie w innym województwie, jeszcze nam kartkę wysłał, kretyn. Że mamy niby pozdrowić Ewunię. Jasne, specjalnie wybierzemy się do domu dziecka, żeby od ciebie Ewunię pozdrawiać, idioto.

– Trochę zboczyliśmy.

– No, zboczyliśmy z tematu, jak to się mówi, nie? Wracając do tego dnia, co tu przyszłem. Już od rana nam się ładnie we łbach jebało. Mi nie, ja rano wypiłem karton czerwonego wina i czułem się całkiem nieźle. Jakby to zależało ode mnie, siedziałbym w budzie i słuchał radia. Ale Lolo, starszy braciszek, wbił sobie do łba, że moglibyśmy wykopać i sprzedać tego cyprysa.

– Jakiego cyprysa?

– Nie wiem, może to się nazywa cedr, tak, tak na to mówił tata, cedr, jak go sadził babci na grobie. Taki krzew ozdobny. Nieźle wyrośnięty, ponad półtora metra. Był na cmentarzu, na grobie babci, potem leżał pod nim też tata, mama nie, urna mamy cały czas była u nas w budzie, jakoś nie mieliśmy czasu tam zajść, żeby ją zakopać. Karolek miał kupca na ten cedr, jakiegoś zasranego milionera, u którego miał fuchę i robił jakieś wykopki. Postawił sobie chatę, ale taką prawdziwą willę, zrobił sobie do niej taką dróżkę i szukał drzewek, żeby obsadzić tą dróżkę. Mówiłem Lolowi, on ci powie, żebyś spierdalał z tym cedrem, facet potrzebuje małe sadzonki, a nie takiego wiechcia. Ale on nie, że rozrośnięty będzie lepszy, droższy, kretyn. I że przy okazji moglibyśmy w tej dziurze zakopać tą urnę mamy. A Piciowi, najmłodszemu, siadły na banię te pokrywy, bez kitu, opętało go. Wiesz, bo na tej ulicy tam pod szpitalem, ci chuje powymieniali żelazne pokrywy na kanały na betonowe. Bo Picio z kolesiem, który ma wózek, tam chodzili kraść i sprzedawali je potem za złom. A betonową pokrywkę sobie

możesz w dupę wsadzić, nikt ci za nią nic nie da. No i on szalał, że pójdzie tam i rozwali im te nowe pokrywki, żeby chuje wiedziały, że to nie jest rozwiązanie problemu.

– Też tego próbowałem – westchnął doktor Kraus. – Też chciałem im pokazać, że to nie jest rozwiązanie problemu.

Przypomniał sobie jedną z rozmów z panią ordynator:

– Wie pani, człowiek musi znaleźć rozwiązanie, potrzebuje też drugiej osoby, na dobre i na złe. Zwłaszcza na złe, ale wtedy kiedy jest mi źle, każdy patrzy na mnie jak na zdechłą krowę.

– Rozumiem pana, panie Kraus, ale niechże pan zrozumie, że każdy musi ponosić odpowiedzialność za swoje życie i nie oczekiwać niczego od innych.

– Nawet od najbliższych?

– Od nich w szczególności. Niełatwo mi to mówić, ale osobiście tego zaznałam, chociaż jestem trochę młodsza od pana. Leżąc, sam siebie wydaje pan na żer...

– Bestiom!

– W pewnym sensie bestiom, pan na pewno w tamtej chwili widzi ich w takim świetle.

– A w jakim widzi ich pani?

– Ja? – uśmiechnęła się gorzko, ładna, trochę koścista ciemna kobieta. – Ja postrzegam ich jako normalnych ludzi. Przy słowie normalnych trochę poruszyła jej się warga. – Normalne stworzenia, które chcą usunąć się z zasięgu zagrożenia i bólu. A kiedy tym zagrożeniem i bólem jest pan, odsuną się od pana, to naturalne.

– Przecież każdy człowiek może być bólem i zagrożeniem dla innych.

– Niech pan posłucha, nie jesteśmy tu, żeby pana zbawić. Staramy się tylko trochę wyregulować pana osobowość, żeby nie zagrażał pan sobie i swojemu otoczeniu. Sam pan zobaczy, że jak się panu polepszy, będzie pan wszystko inaczej postrzegał.

– To jak, już skończyłeś dumać? – Pąwcio przerwał tok jego myśli.

– Taa.

– Niezła ta terapia, ja gadam, a ty sobie myślisz o swoich rzeczach, ale mi to nie przeszkadza. No i poszliśmy na tego cedra. Nie uwierzyłbyś, jakie to drzewko ma długie korzenie. Nie mieliśmy porządnej motyki, tylko taką klamrę stolarską, takie podobne do łomu. Gówno żeśmy widzieli po ciemku. Umordowaliśmy się jak nic. Te korzenie były zakręcone pod

krawężnikiem jak węże. Powiem ci, że ten grób nie wyglądał potem specjalnie dobrze, dziura jak po granacie. Cali byliśmy pokłuci od tych kolców. Trochę żeśmy też połamali tego cedra, jak żeśmy go wyciągali z ziemi. Jeszcze się baliśmy, żeby grabarz nie przyszedł. To znaczy, ja to bałem się raczej o niego, bo braciszkowie byli tacy wkurwieni, zwłaszcza Picio, żeby chyba tego grabarza skasował. Miał rozum, że nie wylazł. Ja wiem, że tam siedział w tej swojej trupialni, ale kurwa, cicho jak mysz pod miotłą. No to wzięliśmy cedra i poszliśmy.

– A co z urną matki? – zapytał Kraus.

– A tak, mama, prawie o niej zapomnieliśmy. Potem tam wróciłem i zakopałem ją w tej dziurze po tym cedrze. Zgarnąłem na nią trochę gliny, żeby nie było nic widać.

Potem poszliśmy do tego kasiastego. To znaczy ja z Piciem zostaliśmy z tyłu na placu budowy, a Lolo wziął tego cedra i zadzwonił do drzwi. Wyszedł facet z dobermanem na smyczy. Potem się kłócili, facet najpierw mówił, że nie, żeby przyszedł rano. Potem mu braciszek rzucił ten cedr pod nogi. Ten na niego mało co nie spuścił psa. Potem mówi, że da stówę. Brat chciał tysiaka. Ten go zaczął wyzywać od złodziei. Brat na niego krzyczał, zgodnie z prawdą, że se to wszystko tu zbudował z tego, co nakradł. Picio mówił, że za chwilę go skasuje razem z tym jego psem, który szczekał jak wściekły. Sąsiedzi zaczęli zapalać światło i otwierać okna. No to kasiasty mu w końcu dał cztery stówy i szybko żeśmy się zabrali. Picio jeszcze zakosił młotek. Taką dziesięciokilową pałę, miała z dziesięć kilo, jemu można wierzyć, on się zna na tym, ile waży żelazo. Zabrał go ze skrzynki, gdzie mieli kamieniarze swoje narzędzia.

Poszliśmy do knajpy i przepiliśmy tą kasę na gorzałę. Normalnie nie pijemy wódy, tylko browar, ale wtedy tak się najebaliśmy, że straciliśmy rozum. Potem jeszcze pożyczyliśmy kasę w zastaw za ten młot, ale młot był potrzebny Piciowi, to potem znowu go ukradliśmy zza baru, barman też był narąbany.

Przyszła siora z jakimś znajomym, schlała się i ryczała, że ma dziecko w domu dziecka, a ja jej mówiłem, że mu tam chyba lepiej. A potem Picio wywalił tego jej znajomego z knajpy na dwór, on jest zazdrosny o nią, a ona mówiła, że to i tak był gnój, ale miała od niego jeszcze jakąś kasę, to żeśmy to wszystko przechlali. To była dolina płaczu. Lolo bez przerwy chrzanił, że ten cedr był wart co najmniej dwa tysiące, że widział taki w tym garden centrum, co byli po materiały, za dwa koła takie małe roślinki, a ten nasz,

co go jeszcze tatuś sadził, tak mówił – tatuś, ile razy dał w ryja tatusiowi, a teraz tatuś, i mamusię zakopaliśmy. No, ryczeliśmy tam jak krokodylowie, jak krokodyle. A ja już miałem odjazd, już mi się zaczynało. Powiedziałem kelnerce, że ma niezłą pizdę i że ją wyrucham, a ona, że nas nie obsłuży, no to Lolo poszedł załagodzić sprawę za bar i mało nie zlał starszego kelnera. A do tego siostra mi szeptała, że się boi Picia, że za nią ciągle łazi. A ja jej mówiłem, że ją obronię, ale tak naprawdę nie dałbym rady Piciowi, to jest straszny zbój, co się zresztą jeszcze później okazało. W końcu miałem już po dziurki w nosie całej tej rodziny.

– Wiadomo, rodzina – potakiwał cicho doktor Kraus.

– Ty też nie masz lekko, doktorze, a przecież jesteś wyuczony, nie jak my, urodzone debile. Baba ci podobno walizki za drzwi wywaliła, tak mówią przynajmniej. Nie gniewaj się, jak cię jakoś uraziłem.

– Nie ma sprawy – machnął ręką Kraus.

– Może powinniśmy się zamienić zadaniami, rolami, jak to mówi psycholog na tych kretyńskich spotkaniach w grupie. Chociaż mi to swoją drogą pomaga, mają to wszystko przemyślane, gorzej, jak się wyjdzie na zewnątrz, tam to nie działa.

– Lepiej już dokończ – doktor ze zgrozą uświadomił sobie, że sam właściwie nie ma nic do powiedzenia, żadnej wypowiedzi. Czuł się jak po wypadku samochodowym, nie wiesz, co masz złamane, co urwane. Wisi na tobie worek pogruchotanych organów, a ty tylko czujesz, że nie potrafisz go unieść, ale musisz. Jakby po wypadku zamiast opatrunków i noszy powiedzieli ci: wstawaj i nie brudź nam tu auta. A ty byś poszedł na autobus, łapiąc rękami krew, żeby nie pobrudzić ludziom płaszczy. Tym normalnym ludziom, którzy chcą usunąć się z zasięgu bólu, pani ordynatorko.

– No, kończ już! – powiedział trochę gniewnie.

– Spoko, mi to obojętne. No to wyszliśmy z knajpy. Siostra miała jeszcze jakieś zaskórniaki, ta to jest mistrzyni świata w chomikowaniu kasy, i powiedziała, że kupi jeszcze jakąś flaszkę do budy. Ale Picio ciągle gadał o tym, że idziemy na te pokrywy, że musimy im pokazać, że i tak nam z tymi betonowymi nie dadzą rady.

No i Lolo poszedł z siostrą do budy, a my poszliśmy na te pokrywy. Kurwa, że też nie poszłem do domu, łóżko, radio, papierosek, nic by mi kurwa nie brakowało. Ale my jesteśmy tacy furiaci, mamy to po tacie, ten jak się wkurwił, rzucał cegłami w okna na czwartym piętrze... Nie no,

przegiąłem, na drugim piętrze, ale tata był porządny człowiek, chodził do pracy, do kościoła. My wszyscy jesteśmy ochrzczeni. Ty też jesteś ochrzczony, doktorze?

– Myślę, że tak.

– Widzisz, specjalnie nam to nie pomogło.

– Ochrzczony nie znaczy święty.

– No, racja, święci to my nie byliśmy. Zaczęliśmy od szpitala w dół i pięknie jedną za drugą, pękały za każdym razem za drugim uderzeniem.

– A nie przyszło wam do głowy, że w takim odkrytym kanale ktoś sobie może złamać nogę?

– Niech patrzy, gdzie lezie, kretyn. Przecież jest tam szpital, to mu najwyżej dadzą nogę w gips.

– Na wszystko masz odpowiedź, co?

– Gdybym nie miał, toby mnie już nie było. Picio wpadł w trans. Tu i ówdzie walnął też w jakieś zaparkowane auto, a tego to ludzie nie lubią. Ktoś zadzwonił na policję. Przyjechała suka i już wiedziałem, że nie jest dobrze. Dobrze, że mi się jeszcze udało zabrać Piciowi ten młot, w przeciwnym razie oddział policji chyba poniósłby straty. Toby już tylko tym wdówkom dawali takie flagi, jak w tym amerykańskim filmie szeregowiec brajan, czy jak tam się nazywał, wszystko jedno, padł w obronie ojczyzny. Rzuciłem ten przedmiot dowodowy za płot do szpitala, a jak widziałem, że brat się z nimi leje, wziąłem nogi za pas, już i tak bym nic nie zrobił. On pójdzie siedzieć, już i tak miał zawiasy. Przynajmniej da spokój siostrze, serio na nią leciał. Właściwie to ją uratowałem. – I co dalej?

– Potem poszłem na portiernię, tu do szpitala, walnąłem się na podłogę i tak leżałem, to było jedyne miejsce, gdzie nikt mnie nie mógł o nic oskarżyć. Leżałem jak kłoda. Nie miałem z tym zresztą specjalnego problemu, bo byłem już, bez kitu, zjebany po tym wszystkim. No to odwieźli mnie na internę, miałem trzy przecinek nie wiem ile promila, i zamknęli mnie tu na czterdzieści osiem. I siedzę sobie w ciepełku.

– No, nieźle sobie poradziłeś.

– Co było robić...

– Myślę, że Paweł, na swój sposób, czuje się dość dobrze

– powiedział Kraus pani ordynatorce, kiedy potem, wieczorem, odwiedziła go w jego pokoju.

– Zasadniczo ma pan rację – odpowiedziała mu ostrożnie.

– Teraz chodzi o to, żeby i pan znalazł taki swój sposób.

MŁODY

– No to wysiadamy na Vitkovicach – westchnął Hans w odpowiedzi na komunikat, że pociąg z powodu awarii na torach kończy bieg na peryferyjnym dworcu.

– Jak wygląda awaria na torach? – zapytał Hansa jego piętnastoletni syn, zwany młodym. Młody, który pnie się w górę dosłownie w decymetrach, a buty ojca są już na niego za małe, co się okazało, kiedy chciał dzisiaj pożyczyć przemoczonemu chłopakowi na wyprawie w góry swoje zapasowe tenisówki. Młody nie mógł w nie wcisnąć stopy.

– Awaria... – Hans wyobrażał sobie dwa lśniące ostrza szyn oświetlone przednimi światłami lokomotywy. Biegną, biegną i nagle się kończą, a cała maszyna wali się w czarną sadzę mroku.

– ...nie wiem, chyba jakieś uszkodzenie torów kolejowych, źle działająca zwrotnica, wykolejony pociąg. Coś tam się stało, więc puścili nasz pociąg naokoło, na Vitkovice. Nie byłem tam już z dziesięć lat.

– Ja tam jeszcze nigdy nie byłem – dodał młody.

Pociąg zadudnił na stalowym, biegnącym przez rzekę moście na znak tego, że Beskidy naprawdę już się skończyły. Czas zamknąć skrytkę na widokówki.

Właśnie stało się przeszłością to, że szliśmy zboczem góry pomiędzy pniami zwalonych drzew. Sami pośród chłodu, który daje rozszalały górski potok rozbijający się o płyty ilastych łupków Musi mieć źródło gdzieś pod szczytem. Nie znaleźli tam jednak żadnego źródła, tylko dziesiątki drobnych strumyczków rozgałęziających się w setki niepozornych dopływów, które dosłownie po kropelce wyciekają ze skał, tam, w spokoju szczytu. Właściwie wcale nie jest tam cicho, tylko człowiek nagle zamiera, jakby naprawdę coś osiągnął. Krajobraz pod górami rozpościera się jak nieczysty obrus, albo raczej mapa z plamami miast. Zobacz, gdzieś tam mieszkamy, o tam.

Teraz jesteśmy o tam. Zostawiliśmy za sobą światła stojących pod lasami chat i wsie mrugające w nocy czerwonymi światłami przejazdów kolejowych bez zapór. Już mijamy ogromne, nieruchome tereny uzbrojone w groźne mechanizmy, już przejeżdżamy przez rzekę Ostrawicę. Nie ma

sensu przypominać sobie wszystkich tych powrotów, tego, jak przytulnie było wracać do domu, te wspomnienia gdzieś tam są i będą tak jak wspomnienie twojej dziecięcej rączki, którą swego czasu mogłem całą schować w swojej dłoni.

Wysiedli na stacji, która miała kiedyś zostać głównym dworcem tego stalowego miasta. Do dziś świadczy o tym absurdalnie rozległy pusty hol z szerokimi schodami, na których zaledwie kilkoro zgiętych wpół podróżnych trzęsie się jak spóźnione cienie ówczesnych budowniczych. Z pięćdziesięciu świateł pod wysokim sufitem pali się tylko jedno, jest otwarta tylko jedna z wielu kas. Trzech pijaków pod bufetem. W kiosku z alkoholem i sprośnymi gazetkami nie uświadczysz biletów na tramwaj. Nie mają, nie prowadzą. Te zakurzone, tłuściutkie baby z gazetek na wystawie chyba w ogóle nie interesują młodego. Nie zwraca na nie uwagi. Chłopakom za naszych czasów by oczy z orbit powyłaziły.

Na przystanku obok dworca okazało się, że jedyny tramwaj, który tam jeździ, przyjedzie dopiero za pół godziny. Co teraz. Hans stoi na obolałych nogach i nagle czuje, że nie wie, co począć. Co ma z tym wszystkim zrobić, co ma zrobić z tym młodym?

– Chodźmy na piechotę – proponuje chłopiec, z zainteresowaniem przyglądając się smutnej okolicy

– Jeszcze ci mało?

– Odpocząłem w pociągu.

To jeszcze dziecko, wystarczy mu pół godziny, godzinka, a nam, chyba nie starczy już nawet reszta życia. Okropne słowo, człowiek od razu wyobraża sobie ogryzioną połówkę chleba, którego dzieci już nie chcą, wolą zjeść świeży, albo w ogóle nie jeść chleba, lepiej batonik, coś w błyszczącym opakowaniu, tyle ich się tu wszędzie wala. Błyszczące, lepkie opakowania słodyczy owijają świat.

Szli uliczką wzdłuż płotu prowadzącą w długo ciągnącą się ciemność pod masywnymi mostami. Ciekawe, czy jest tu jeszcze ta dziura w płocie, przez którą się kiedyś przechodziło?

– rozmyśla Hans. Jaka tam dziura, cały odcinek płotu jest zwalony na ziemię. Zbiegli w stronę torów akurat wtedy, kiedy przez zwrotnicę przejeżdżał z łoskotem pociąg towarowy. Chwilę musieli postać w huczącym mroku.

– Pięćdziesiąt pięć, pięćdziesiąt sześć... pięćdziesiąt sześć wagonów – policzył młody.

Przeszli przez szyny, potem przez kolejną dziurę w płocie i znaleźli się w osadzie niskich domków robotniczych. Za płotami rozszczekały się stróżujące psy, przeważnie wilczury.

– Nie wpadłbym na to, że ktoś tu jeszcze może mieszkać

– zdziwił się młody, patrząc z zaciekawieniem na światła tonące w głębi parterowych domków. Hans nagle zobaczył w młodym siebie dwadzieścia pięć lat temu. Już wtedy nawet dla niego, dziecka z blokowiska, to miejsce wyglądało jak z innej planety.

Za dachami z papy osady robotniczej wznosiły się wyższe kamienice z czerwonej cegły. Takie budowali za Rothschilda. Były chyba dla bogatych, świadczą o tym ozdobne fryzy w wykuszach. Mieszkali tu lepsi ludzie, zanim całej dzielnicy nie ścisnęła z jednej strony fabryka, z drugiej autostrada, a z trzeciej tory. Zamieniła się w peryferie w samym środku miasta. W niektórych oknach jeszcze pali się światło, niektóre są już zaślepione sklejką i deskami.

– Lubiłem chodzić po tych mostach – Hans wskazał na filary wiaduktu autostrady, która wznosi się nad starą częścią dzielnicy. – Zaglądałem w okna domów, patrzyłem, jak mieszkają ludzie. Raz widziałem, jak młoda cygańska matka układa dziecko do snu. To była tylko chwila, potem zgasiła światło w pokoju. Do dziś noszę w sobie ten obraz, jak zdjęcie. Różowoczerwone pomieszczenie, a w nim śniada kobieta, dziecka w beciku nie widać, wiesz, że tam jest dzięki ręce, która głaska je po głowie. Gdybym był malarzem...

Stali z synem u stóp wysokiego betonowego filaru, jakby na coś czekając. Gdybym był malarzem, Hans kontynuował w swojej głowie zaczętą myśl, malowałbym tylko takie ręce. Gdybym był dzieckiem, czułbym taką rękę nad sobą. Gdybym był matką, tak właśnie głaskałbym dziecko.

Mężczyzna nie może być matką. Mężczyźnie nie wolno wchodzić do różowoczerwonego pokoju. Może tylko wisieć na poręczy, podglądać z zewnątrz. Schować ręce za plecami, wbić paznokcie w dłonie, powstrzymać napływające do oczu łzy.

Patrzył młodemu w twarz. Jego oczy były nieprzeniknione, nie potrafił czytać w nich jak kiedyś, kiedy jego mała dziecięca głowa ufnie unosiła się ku niemu z poduszki.

W milczeniu przeszli parę ulic i doszli do placu, z którego kilka tramwajów jedzie w ich stronę. Zaraz będziemy w domu. Ale teraz, teraz

chodźmy jeszcze na kawę. Hans chciał coś zatrzymać, przedłużyć choć o chwilę tę wycieczkę z synem, wycieczkę, która i tak już się skończyła. Weszli do dużej restauracji z długimi pustymi stołami. Tylko kilku milczących ludzi, osowiałych mężczyzn, jedna pijana krzykliwa baba i kilku desperatów, próbujących się wzbogacić na automatach do gry.

– Musisz wiedzieć, że to nie działa – tłumaczył synowi. – Jest tak poustawiane, żeby zarabiało pieniądze, a nie je rozdawało.

Być może nie powinien był brać młodego w takie miejsce, ale przecież chłopak nie jest już dzieckiem.

Zamówili piwo i lemoniadę i przez chwilę czuli się jak w poczekalni na dworcu, do którego już dawno nie prowadzą żadne tory. Potem młody zapytał:

– Tatusiu, ty tu kiedyś mieszkałeś?

– Raczej pracowałem i... – opowiedział synowi o swoim życiu w minionym wieku. O robotniczych szatniach, o ankietach personalnych, o komunistach i doznanych przy pracy urazach.

Znów czuł ten smród, pot, olej i coś jeszcze, brud, który cuchnie jak spalone rękawice, którymi grzebałeś Bóg wie w czym. Wszędzie tu tym śmierdziało, jakby spieczony pasek klinowy. Przed tym swądem nie można było uciec ani do biura, ani na uniwersytet, ani do Pragi. Kiedy otworzysz gazetę z tamtych lat, też go poczujesz.

Dopili lemoniadę i piwo. Musieli iść. Otworzył drzwi i popchnął młodego do przodu. Poczuł, jak niestały jest jeszcze jego syn, który zakołysał się niczym łodyga fasoli. A przecież już niedługo będzie musiał odepchnąć go od siebie i zostać sam na peryferiach, które powstały w jego własnym sercu.

TRICERATOPS

To naprawdę problem. Jak włożyć butelkę wina i cztery ciastka do teczki, w której zwykle Jaromir oprócz notatnika, gazety i książki nosił tylko bułki i puszki pasztetu? To nie problem je tam wepchać, ale jak zrobić, żeby nadawały się jeszcze do czegokolwiek, kiedy przyniesie je do domu. Niby taka duperela. Chyba powinien nieść je po prostu w ręce, zapakowane w papier, ale nie widział siebie w tej roli: maszerować po osiedlu z puszystą paczuszką, równie dobrze mógłby iść z bukietem. Być może był to główny powód, dla którego nigdy nie kupował kwiatów. Dla siebie to już w ogóle, a dla innych... Wolał załatwić sprawę za pomocą bombonierki, jak w tym kawale o policjantach i pogrzebie[9]. Kwiatuszki, paczuszki, nie, on się tak bawić nie będzie. Prawdziwy facet ma zawsze jeden zwarty bagaż, najlepiej skórzaną teczkę, a to, co się do niej nie zmieści, to rzecz zbędna.

Najchętniej wyrzuciłby te cholerne ptysie do pierwszego z brzegu kubła na śmieci. I tak go przerażały. Dziwna kruchość muszli z polewą z cukru, a w środku, ach, biała masa bitej śmietany, a pod nią krem budyniowy, mazisty niczym sekrety jakiegoś małża. Nie no, ja chyba zdumiałem, wszystko sobie zaświnię od tych słodyczy. Baba powie, weź jeszcze jakieś ciastka, a ja jak ten dupek ładuję do torby te dziwolągi. I tak nawet nie wiem, jak smakują. U mnie w domu się ich nie jadło, a potem, potem już zupełnie ich nie kupowałem. A ta baba powie...

Wewnętrzny głos Jaromira cichnie. Ustępuje obrazowi Lenki stojącej we framudze drzwi jego mieszkania na jedenastym piętrze. Zwiewna sukienka w kwiaty, z dekoltem lekko odsłaniającym klatkę piersiową, dźwigającą ładne, okrągłe piersi, szerokie czoło z brwiami wysklepionymi wysoko nad ciemnymi oczyma, trochę powiększonymi przez silne okulary bez oprawek, lekko otwarte usta i broda, która na pewno przed niczym się nie cofa. jeszcze żadna kobieta nie przyszła do niego tak jak ona. Jeszcze żadna nie wysłała go po wino i ciastka.

Żadna kobieta – w pustce tego wyrażenia przeżył całe lata powrotów z pracy. Kawa, bułka z pasztetem, potem papieros, wszystko bezpiecznie poustawiane wokół książki, którą czyta się nie po raz pierwszy.

Tej pustki nie mogło wypełnić kilka żałosnych prób, kiedy na imprezie u przyjaciół, co do których przyjaźni miał uzasadnione wątpliwości, przytulił się do którejś, kiedy już wszyscy byli pijani, i zajechał jej gdzieś ręką. Tej pustki nigdy nie wypełni kopnięta dupodajka Alena, tak opętana seksem, że lepsi faceci niesą już nią zainteresowani; raz dosiadła go na podłodze wprzedpokoju mieszkania kolegi i wyskakała się na nim. Było to szalone i słodkie, ale zepsute. Zepsute świadomością, że wszyscy o tym wiedzą i że wszyscy mu tego tak jowialnie życzą, łamadze, która spuściła się, jeszcze zanim namiętna Alena w ogóle zdążyła wziąć oddech. Potem już tylko biernie miotał się między jej ramionami i udami jak jakieś gwałcone dziecko.

Żadna kobieta, pomyślał jeszcze kilkakrotnie. Wolał unikać miejsc, w których mogłoby mu się przytrafić coś podobnego. A teraz u niego w domu czeka na niego dziewczyna, Lenka, a on ładuje ciacha do teczki, a ręce trzęsą mu się, jakby dotykał nimi czegoś zupełnie innego niż słodycze.

Wyszedł ze sklepu. Skośne promienie słońca opierały się o mury obronne bloków mieszkalnych. Niektóre okna były całkiem zalane miedzianym światłem. Błyszczały niczym tarcze z brązu wojowników. To przez kąt ściskający wektor mojego wzroku z wektorem promieni słonecznych. Wyobraził sobie prosty szkic. Gdyby popatrzył na swoje okno pod odpowiednim kątem, też mogłoby płonąć, jednak długo musiałby szukać odpowiedniej pozycji. Szukać pozycji, Boże, nogi zatrzęsły się pod nim, kiedy wyobraził sobie tę właściwie całkiem obcą Lenkę w brązowym świetle, które nagle wypełni jego jedyny dzienny pokój. Jego spokój.

– Mirek, musisz się trochę uspokoić – powiedział półgłosem, jakim zwykł do siebie mówić. Poszedł naokoło drogą, gdzie osiedle przechodziło w zaniedbane pola i niepłodne lasy liściaste. Patrzył na falistą okolicę ze wsiami, które i tak pochłonie miasto, i jak zawsze denerwowały i niepokoiły go różne detale – symptomy cywilizacji. Jaromir kochał obrazy Zdeńka Buriana[10], które znał z książek o prehistorii. Ich treść i forma były jasne jak udowodniony pogląd paleontologiczny. Krajobraz wczesnego permu. Karbońskie pralasy. Mielizna na Oceanie w późnym kambrze. Rośliny i zwierzęta – czyści przedstawiciele swoich gatunków w naturalnym biotopie. Osady i formy wulkaniczne oraz klimat jako przejrzyste uwarunkowania ewolucji człowieka. Bez tego całego bałaganu, kościółków, wieżyczek, domeczków, wagoników. Po co to wszystko?

Jak właściwie wygląda ten człowiek, który dopuszcza się takiej swawoli, tego spustoszenia krajobrazu? Codziennie spotyka w autobusie ludzi, tak różniących się od siebie, jakby wcale nie należeli do jednego gatunku. Jakże bezpieczne i jednoznaczne wrażenie robi w porównaniu z nimi namalowany przez Buriana neandertalczyk, opierający się przed jaskinią o swój kij, lub człowiek z Cro-Magnon w skórzanym odzieniu z łukiem i strzałami w swojej już doskonale ludzkiej ręce, trochę bardziej subtelnej niż niezgrabna górna kończyna wspomnianego neandertalczyka albo australopiteka, to już bez porównania.

Jaromir popatrzył na własną rękę niosącą przesadnie ostrożnie teczkę ze zniewieściałą zawartością i poczuł chęć cisnąć ją jak najdalej od siebie. Ale potem tylko mocniej chwycił rączkę aktówki i wszedł do wieżowca, gdzie czekała na niego ta niepojęta, właściwie zupełnie obca kobieta.

Lenka była z natury ciekawska. Wścibol, jak powiedział jej ojciec, kiedy przyłapał ją na myszkowaniu w jego rzeczach. Ciekawość zaprowadziła ją również do Jaromira. Interesował ją, od momentu kiedy zobaczyła go po raz pierwszy, skulonego na fotelu obok biblioteczki jego przyjaciela, Hansa. Pokój był pełen ludzi, którzy pod wpływem wina jeden przez drugiego mówili o tym, co jest, a co nie jest sztuką współczesną. Jaromir, przyjaciel Hansa z dzieciństwa, jakby w ogóle ich nie zauważał. Wyjmował z biblioteczki książkę za książką, przelotnie każdą przeglądał i odkładał na miejsce. Jakby przeprowadzał kontrolę, pomyślała Lenka, która studiując dorabiała sobie jako bibliotekarka. W końcu odłożył dwie książki na stolik i bez pytania wyniósł je potem z domu Hansa. Widać, było to u nich normalne.

Zaczęli rozmawiać. Lenka nie próbowała specjalnie zrozumieć zakrawających na furię wywodów Jaromira o tym, dlaczego z całej biblioteczki zainteresowały go tylko te dwie książki. Wsłuchiwała się w krzywe jego głosu, specyficzne namiętne góry, które starał się stłumić ten co najmniej dziesięć lat starszy od niej mężczyzna, a którym nagle oddawał się w rzekomo niestrzeżonych chwilach.

Niestrzeżone chwile – to jest odpowiednie słowo, myślała Lenka, która dziecinnie wierzyła w swoją inteligencję socjalną. Jeżeli chce poznać tego mężczyznę, a raptem chciała, musi znaleźć się z nim w niestrzeżonej chwili.

Zorganizowała więc tę niestrzeżoną chwilę. Niestrzeżone było teraz też mieszkanie Jaromira. Znalazła biblioteczkę, w której w zadziwiający

sposób książki dla dzieci mieszały się z poważnymi publikacjami naukowymi. No tak, po co miał je rozdzielać, skoro jest sam, jak będzie miał dzieci, to wsadzi je na półkę z książkami dla dzieci, logiczne.

Znalazła okna, których nikt nie mył od co najmniej pół roku, chyba że wiosenne deszcze. W miarę czysta kuchnia, dywany, które chyba czasami odkurza. Prawie pusta lodówka. Bielizna w szafie aż dziw bierze czysta i poukładana, ale niewyprasowana, same koszulki i jeszcze więcej koszulek, a na wieszaku jeden wzruszający garnitur z koszulą i zawiązanym krawatem. Ze współczuciem oceniała delikatnie rozszerzane nogawki, które teraz po dwudziestu latach znowu zaczynają być modne. Wszędzie porozrzucane napoczęte paczki papierosów i śmierdzące popielniczki. Na ścianie w pokoju obraz, którego autor najwyraźniej chciał powrócić do ubiegłego wieku. W ogóle miała wrażenie, że koledzy Hansa nie biorą obecnego dwudziestego pierwszego stulecia zbyt poważnie. Zresztą, nie jest ono specjalnie poważne. Przypomniała sobie czasopismo *Cosmo Girl*, które niedawno widziała u swojej młodszej kuzynki. Jak być *in*? Zdaje się, że ci faceci zastanawiają się tylko nad tym, jak być *out.* Roześmiała się i w duchu ostrożnie przyznała, że właśnie to jej się w nich podoba. Sama jest gdzieś pomiędzy, ale nie można zbyt długo być pomiędzy, jak podpowiadała jej inteligencja socjalna.

Ostrożnie położyła się na jego łóżku. Nie podśmierdywało, tylko trochę tytoniem, ale jednak było to strasznie obce legowisko. Gdyby miało do czegoś dojść, lepiej na dywanie, pomyślała, zdziwiona, że bierze pod uwagę taką ewentualność. Ciekawe czy on też?

Rozedrgana gwałtownym podnieceniem wyszła na balkon. Balkony to taka nieudana próba posiadania ogródka w bloku. Usiadła w bambusowym fotelu i patrzyła na chmury, których dolne brzegi kolorowało zachodzące słońce. Potem zauważyła coś dziwnego. Na ścianie balkonu wisiała trzcinowa mata. W tym akurat nie było nic dziwnego, ale zza górnego, nierównego brzegu maty wystawały błękitne smugi, jakby pociągnięcia pędzlem. Odsunęła matkę od ściany. Gwózdki w cienkiej warstwie tynku łatwo puściły i nawet nie przyszło jej do głowy, że teraz może jeszcze niepostrzeżenie odwiesić słomiankę na miejsce. Chyba nie chciała niczego odwieszać. Był tam obraz. Prymitywny fresk naniesiony farbami plakatowymi bezpośrednio na tynk. Promienie słoneczne, skośne jak te, które teraz grzeją ją w plecy, padają na pusty krajobraz. To chyba miała być pustynia. Zielononiebieskie plamy w oddali, zbyt materialnie wciśnięte w

czerwonawą siennę przedstawiały jeziora. Nie jest tak łatwo namalować wodę. Horyzont obrębiają wysokie góry wulkaniczne, z przodu kilka dziwacznych drzew i kikutów, a głębiej, właściwie pośrodku krainy, stoi jaszczur. Niezupełnie wygląda jak gad, na czterech, przypominających filary nogach z ogromną głową okoloną rogatym, wyposażonym w rogi kołnierzem kostnym, tęsknie spogląda na wysychające jeziora, a jego cień wydłuża się w ich kierunku.

Musiał malować to o podobnej porze dnia, myślała z podziwem Lenka. Zrolowała trzcinową matkę i postawiła ją w rogu. Potem weszła do mieszkania, wilgotną ścierką przetarła zakurzony stół, na którym zaraz pojawią się kieliszki z winem i ciastka. W napięciu nasłuchiwała jego kroków za drzwiami.

DZIECIĘ PŁONĄCE

Niebo za wielką taflą niezasłoniętego okna jest jeszcze zupełnie czarne, a przecież nadszedł już ranek. Teraz jest ta chwila, kiedy czas nocy został odliczony do zera. Dzień zaczyna się od jedynki. Katarzyna potrafi to sobie wyobrazić. Jej wewnętrzny wzrok widzi szereg liczb tak, jakby były napisane kredą na tablicy, nie ma jednak żadnej kredy, żadnej tablicy, cyfra wisi w powietrzu, tam, gdzie nie ma też powietrza.

– Gdzie są te liczby? – pytała rodziców, kiedy była dużo mniejsza, a oni rysowali patyczkiem kreski na przydrożnym pyle.

– Zobacz: jeden plus jeden jest dwa plus jeden jest trzy plus jeden jest cztery plus jeden jest pięć – tatuś przekreślił pionowe kreseczki poziomą krechą. Ona widziała tam tylko płot z tyczek. W ogóle nie rozumiała, co ma zrozumieć, przytakiwała tylko, żeby już mogli skończyć z tym liczeniem i iść dalej wśród sosen do ruin zamku w ten gorący letni dzień, który teraz pamięta głównie jako wtedy, wtedy – to znaczy wtedy, kiedy jeszcze nie umiała liczyć. Wciąż ma gdzieś z tyłu głowy zapisane swoje niepojętne spojrzenie, które postrzegało podsuwane jej pod oczy kreski albo kamyczki tylko jako kreski albo kamyczki. Pamięta też niezrozumiałe kształty liter na tablicach i w wersach, kiedy nie były dla niej jeszcze literami, ale tajemnicą. W wieku dziesięciu lat nosiła w sobie to wspomnienie o niecyfrach i nieliterach jak skarb, jak symbol swojego prawdziwego dzieciństwa.

To nie mógł być przypadek, że jej choroba nadeszła właśnie wtedy, kiedy za kreskami i kamyczkami pojawiły się cyfry. Nie pytała już skąd. Widziała je, wprawdzie w zupełnie inny sposób niż okoliczny krajobraz, ale tak samo naturalnie, w płaskim świecie gdzieś za oczami. Zrozumiała, że pozioma kreska, którą tatuś przekreślił pięć pierwszych kreseczek, może przekreślić wszystkie kreski, jakie zostaną kiedykolwiek napisane. To taka niewidzialna linijka którą, w odróżnieniu od wszystkich widzialnych szkolnych linijek, można przyłożyć do czegokolwiek – do pięciu gór na horyzoncie, do pięciu zębów w grzebieniu, nawet do pięciu jaskółek, i to nie tylko wtedy, kiedy siedzą na drucie, jak w podręczniku, ale również

wtedy, kiedy każda odleci w innym kierunku. Linijka poleci za nimi, zamieni się w nić, nawlecze je wszystkie na siebie i powie: pięć jaskółek.

Kasia patrzyła na świat, który tak nagle się zmienił, i liczyła, liczyła. A później nawet nie musiała już liczyć. Zrozumiała, że linijki i nici w niewidzialnym świecie, który ciasno przylega do naszego – widzialnego, są bez przerwy nawleczone i że każdy krok, jaki zrobi, został już policzony, że każda igiełka w iglicy tamtej pięknej sosny ma swój numer, a kiedy opada, jest odliczana od żywych i doliczana do martwych, leżących w lesie na ziemi.

Nagle stało się to tak jasne, że wolała nikomu nie mówić. Myślała, że tylko ona jedna o tym wie. Inni bezmyślnie przesuwają paciorki na liczydle, tak, jak uczą ich w szkole. Tylko ona wie, że nie ma takiej potrzeby, że wszystko zostało już policzone a ona, Kasia, może sobie jeździć po tych szeregach dużych i małych liczb jak na rowerze.

Tylko, że nie mogła już jeździć na rowerze. Nagle stała się tak słaba, że nie mogła go udźwignąć. Przygniótł ją jak ciężka kłoda, nawet nie próbowała go podnosić. Na szczęście obok były czyjeś ręce, które go podniosły, które podniosły też Kasię, ręce tatusia i mamusi, potem ręce pielęgniarek i lekarzy. Nagle zamieszkała w szpitalu, gdzie wkładali jej termometr pod pachę i podczas gdy ona widziała w nim tę drugą kreskę, która stoi prostopadle w stosunku do tej poziomej tatusia, a każda jej podziałka może być przyłączona do jednej podziałki na lewo, a kiedy te dwa punkty się przedłużą, zawsze równolegle w stosunku do tego drugiego, powstają różne kwadraty i prostokąty, takie skosy, zmieniające się dokładnie według tego, jak jeźdźcy na swoich wzajemnie prostopadłych drogach zmieniają długości ich boków – ludzie wokół jej łóżka z grozą patrzyli na krzywe biegnące po przekątnych ekranu tych rozszalałych prostokątów i przekonywali szalonych jeźdźców w jej krwi, żeby przestali dziko hasać i szli znowu wyrównanym krokiem, jak wcześniej. Jak w tych nieskończenie odległych czasach, kiedy istniały tylko kreski, kamyczki i nie było żadnego niewidzialnego świata.

W ten sposób Kasia doliczyła się rana, jeszcze zanim zdążyło przyjść. Osiągnęła zerowy punkt, który jest tylko włoskiem w szeregu cyfr, ale właśnie dlatego, że nie ma żadnej wartości, może oddzielać od siebie prawdziwe liczby. Zero zawsze wydawało jej się podejrzane. Pani nauczycielka mówiła, że nie da się przez nie dzielić, ale da się przez nie mnożyć. To małe kółko oznaczające nic jest w stanie połknąć nawet tę

największą liczbę jak gdyby nigdy nic. W środku tego kółka muszą być zwinięte całe masy liczb. Teraz widzi je jako kłębek tej najcieńszej na świecie nici. Tak cienkiej, że jej grubości nie zmierzy nawet najmniejsza w całym niewidzialnym świecie linijka. Gdyby ktoś był w stanie rozbić zero, znalazłby kolejny niewidzialny świat, a w nim kolejny i kolejny.

Kasia uśmiechnęła się, stojąc nad przepaścią, na krawędzi której właśnie się znalazła. Tylko troszkę, w duchu, zapłakała nad kolejną tajemnicą, którą dodała do cmentarzyka tajemnic z tyłu swojej głowy.

To wciąż niesamowite, ale już zrozumiałe, że noc w szpitalu jest przez bardzo długi czas jedynie przedłużeniem wieczoru – niedobra kolacja, pani doktor głaszcze ją po głowie i życzy dobrej nocy, chociaż wie, że Kasia nie może już spać, potem przychodzi pielęgniarka, pyta, czy wszystko w porządku, chociaż wie, że już nigdy nie będzie w porządku, potem siostry i pielęgniarze długo rozmawiają w gabinecie, tak jak kiedyś rodzice za zamkniętymi drzwiami pokoju, gdzieś gra telewizor, czasem ktoś idzie do ubikacji, rozmowy cichną. Miła gruba siostra Dasza siada w fotelu między salami intensywnej terapii, żeby słyszeć, gdyby coś się stało, i robi na drutach biały sweter, który musi skończyć dla wnuczki na Boże Narodzenie. Pani doktor, która ma dyżur, idzie się zdrzemnąć na kilka godzin do pokoju lekarzy. Nikt już nic nie mówi, ale wciąż jest to kontynuacja wieczoru. Nawet ból cykający w ciele Kasi jest jakiś wieczorny, dosyć miły, zielone igły cicho opadają na biały śnieg.

Kasia widzi wyraźnie, jak wieczorna noc odsącza się i marszczy jak worek infuzyjny, kiedy już nic w nim nie ma, a nie założono jeszcze nowego. Teraz przez małą chwilkę wszystko jest jak w bajce o śpiącej królewnie. Nie ma nic.

I już rano. Wszystko inne, nieprzyjemne. Niebo za oknem jest jeszcze czarne, ale przyszły już nowe pielęgniarki, sprzątaczki. Pani doktor wygląda obco w cywilnym ubraniu i rozmawia z koleżanką, która jeszcze porządnie nie osadziła się w tym białym. Basen, potem śniadanie, którego i tak Kasia nie będzie jadła, leki, zastrzyk, dzień dobry, Kasieńko, i już świeża kroplówka wisi na stojaku jak kolejny długi dzień.

Dlaczego właśnie nas to musiało spotkać, dlaczego naszą córkę? Ojciec Kasi przystanął na schodach. Ciepły płaszcz, sweter, szalik, taki gorąc w szpitalu, za mocno odkręcone kaloryfery. Czuł, że nie ma prawa do tego pytania, dopóki na świecie istnieją dzieci umierające na nieuleczalne choroby... Ale i tak zadaje je sobie, mimo że – a to jest dużo gorsze – czuje,

że to pytanie ich – to znaczy jego, żonę i resztę dzieci – to pytanie oddala ich od tego małego człowieka na szpitalnym łóżku. Jeśli tak pytamy, a robimy to, to znaczy, że już nie jesteśmy z nią, chcemy, żeby była inna niż jest teraz. Pchamy sobie przed oczy kiczowaty, tak, kiczowaty – upierał się przy tym określeniu – obraz zdrowego dziecka, jak z reklamy soku owocowego albo kakao. Okaz zdrowia, do którego ma prawo każdy normalny człowiek. Kasia jest go pozbawiona przez jakieś niedopatrzenie, albo może ona sama jest tym niedopatrzeniem?!

Spocony, zacięty w sobie i przegrzany stał na białych schodach, zdecydowany nie poruszyć się do momentu kiedy nie wypędzi tego pytania nie tylko ze swojej głowy, ale ze świata w ogóle.

Tego ranka na oddziale dziecięcym było gwarno. Puszczali na Święta do domu wszystkie dzieci, które mogli. Tyle aut przed szpitalem. Tylu zatroskanych rodziców z dziecięcymi kożuszkami, ciepłymi kurtkami, czapkami i rękawiczkami w rękach. Tyle telefonów, magnetofonów i czasopism dziarsko pakowanych do toreb, szybkie przejścia z sali na korytarz. Przed gabinetem kolejka rodziców, jeszcze leki, recepty, wypisy, i już w ramiona rodziców i szybko, szybko do domu, do choinki i prezentów.

Stoją ich już całe lasy, srebrnych, złotych, fioletowych. Prezentów jest tyle, że nie przejdą przez drzwi, dzikie nastolatki w reklamach telewizyjnych powiększają swoje okna za pomocą pił łańcuchowych, żeby mieć z życia jeszcze więcej.

Ojciec Kasi stał przy białych rurach centralnego ogrzewania i ratował się wspomnieniem historyjki obrazkowej w starym piśmie dziecięcym. Porządni chłopcy urządzili sobie chłopięce Boże Narodzenie. Ubrali choinkę, ot tak – w lesie, za miastem i włożyli pod nią chłopięce prezenty. Nagle patrzą – prezentów nie ma. Ukradł je włóczęga, sierotka Antek Kosmyk, który nocował w pobliskim wapienniku. Ojciec Kasi wyobrażał sobie biedaka Antka w obszarpanym ubraniu, jak ucieka w mroku z kolorowymi paczuszkami w rękach, pod prawdziwymi, nieozdobionymi drzewami.

I co z tego, że wszystko dobrze się skończyło, że oddał prezenty, a porządni chłopcy znaleźli mu nowy dom. Tylko ten obraz, którego nie narysował ilustrator historyjki, tylko ten wyobcowany człowiek z cudzymi prezentami w ciemnym, przemarzniętym świecie wapienników i domów dziecka jest prawdziwy. Tylko on wyraża nas i większość naszego życia.

Pośród całego tego żalu musiał się uśmiechnąć. To był dobry uśmiech. W lustrze szklanych drzwi widział swoje oczy i usta, tak podobne do oczu i ust Kasi, jakby to również jego oczy widziały każdą kolejną tajemnicę, odkładaną przez dziewczynkę na mały cmentarzyk w głębi małej głowy.

Przedarł się przez grupki rodziców, którzy mieli więcej szczęścia niż on, i ruszył w stronę sal, gdzie nic nie zmienia się nawet dwudziestego trzeciego grudnia. Już miał chwytać za klamkę, kiedy zatrzymał go ordynator oddziału dziecięcego.

– Kasi znacznie się pogorszyło. Przykro mi to mówić, ale gorączka podskoczyła, dziecko ma dreszcze i nie jest całkiem przytomne.

– Ale możemy do niej iść? Przyjdzie jeszcze żona.

– Oczywiście, mogą państwo siedzieć, jak długo sobie życzą.

Wszedł do pokoju i przełknął przygotowane zdanie: czarny koń na H3. Zawsze próbował grać ze swoim genialnym dzieckiem w wyimaginowane szachy. Sam jednak musiał przygotowywać wcześniej swoje ruchy i uczyć się ich na pamięć. Kasia zawsze przyłapywała go, kiedy gubił się przy trzecim ruchu.

Dzisiaj nic nie wskazywało, że zagrają. Miał wrażenie, że leżące tu podpięte do różnych wężyków dziecko wewnątrz całe płonie. Kiedy jej dotknął, poczuł, że to samo dzieje się z nim.

Nie miał ochoty nic mówić, ale słowa przyszły same.

– Bajeczkę?

Kasia przytaknęła.

Za oknami padał deszcz ze śniegiem. Na oddziale znów było cicho, jak w każdy inny dzień. Opowiadał Kasi jej ulubioną historię, o ludziach, których zły cesarz wygnał z ich pięknej ojczyzny na brzegu morza. Musieli przejść przez surowe równiny, gdzie spotkali stada antylop i dzikich koni. Zagrożeni przez okrutne plemiona koczowników, przystanęli dopiero w górach na północy. Po raz pierwszy zobaczyli śnieg, który sypał się z czarnych chmur nad skalistymi szczytami. Szli doliną wysokich świerków i jodeł, a z mroku pod drzewami wyglądały renifery i łosie, błyszczały oczy rysi, rosomaków i śnieżnych panter. Jeszcze nigdy nie widzieli nic tak groźnego i pięknego...

Nawet nie wiedział, czy córka go słucha. Na jej twarzy malowała się koncentracja, jakby usilnie o czymś rozmyślała, jakby znowu coś liczyła. Ile koni, ile psów, ile oszczepów, ile siekier, ile drzew trzeba ściąć, żeby

wybudować dom, ile polan drewna trzeba przygotować na długą zimę, ile suszonego mięsa...

– Mów dalej – zachęciła go żona, która po cichu wśliznęła się do pokoju i usiadła po drugiej stronie łóżka Kasi.

– Ale ja nie wiem, co jest dalej... – przyznał zgodnie z prawdą.

– Musi być jakiś dalszy ciąg.

– Tatusiu, ile jest liczb? – spytała nagle Kasia.

– Wszystkich razem? Tego nie wiem.

– No ile? – nalegała matka. – Musisz jej odpowiedzieć!

– Liczb jest nieskończenie wiele – powiedział, rysując palcem na jej kołdrze leżącą ósemkę.

– A co to znaczy?

– To znaczy, że za tą ostatnią liczbą w szeregu zawsze jest jeszcze jedna.

– A za nią jeszcze jedna.

– I tak dalej – potakiwał ojciec.

Dziecko uśmiechnęło się. Kasia była zadowolona, zrozumiała bowiem, że ta mała, malutka niteczka czasu, który jej pozostał na bycie z mamą i z tatą, jest tak samo długa jak wszystkie czasy świata.

KONIE NA SALAMI

Roman się zawstydził. Nie była to nawet wina tej wyzywającej babki obsługującej w budce z jedzeniem ani tego, co przyszło mu do głowy, kiedy popatrzył na jej czerwoną od słońca skórę z białymi paskami po ramiączkach, które najwyraźniej przez cały wczorajszy dzień przytrzymywały na jej ciele bluzeczkę zwaną teraz przez kobiety „top". Dzisiaj w pracy miała na sobie już tylko pozbawioną ramiączek górę od stroju kąpielowego. Trzymała się na jej dużych, trochę obwisłych piersiach chyba za sprawą cudu. Za sprawą triku, który takie panienki mają doskonale opracowany i stosują wobec facetów albo chłopaków, podając im butelki z ciepłymi napojami i schylając się po nie do skrzynek pod ladą. Kiedy wygięte wyciągają się w stronę przycisku radia stojącego na najwyższej półce za czekoladą i papierosami i palcami z długimi zielonymi paznokciami dają głośniej ulubiony hit w radiu *Kiss*. To taki powolny taniec, którym ta trochę znudzona sprzedawczyni oddziela się od życia wiedzionego w jakimś mieszkaniu albo domku z niespłaconą pożyczką, z mężem i dziećmi. Gdybyś usłyszał, jak gada z koleżanką albo sąsiadką, miałbyś dość, jeszcze nim zaczęłaby się gadka o kasie, kosmetykach i markowych trampkach dla dzieci, miałbyś tego po dziurki w nosie tak jak zwiastunów w telewizji – jednak teraz, w powolnym rytmie radia, którego nazwie dodają jaj przełamane pioruny dwóch ostrych liter „es", nagle widzisz ją w liczbie mnogiej i wrzucasz do jednego worka ze wszystkimi uwodzicielskimi barmankami i kelnerkami oferującymi coś więcej niż tylko napoje.

W knajpach z zasady powinni obsługiwać mężczyźni, mawiała matka Romana, knajpa to nie miejsce dla baby, żadna porządna kobieta nie będzie cały dzień latać wśród chłopów i... Daj spokój, Roman warknął w duchu na nieobecną matkę tak, jakby sobie na to nigdy nie pozwolił w jej obecności i wziął w swoją wielką dłoń szyjki dwóch butelek, dla siebie kozla, a dla syna kofolę.

Dał większy napiwek, niż chciał, i wrócił do syna – osoby, przed którą tak naprawdę się zawstydził. Siedział na trawniku obok dwóch opartych o siebie rowerów i patrzył na płynącą w rzece wodę. Robert. Jego imię było

właściwie kompromisem. Matka chciała, żeby nazywał się Roman, pierwszy syn powinien się nazywać po ojcu. Żona chciała natomiast Norberta, po swoim ojcu, który zmarł, kiedy była jeszcze mała. W taki oto sposób siedzi tu Robert, którego imię, podobnie jak jego chromosomy, jest specyficzną mieszanką.

– Jak tam, Robi, wszystko okej? Nogi cię nie bolą?

– Na razie nie.

Miał wrażenie, że syn zawsze odpowiada trochę wymijająco. Zawsze przechyla głowę w kierunku prawego ramienia, jakby chciał, żeby słowa ojca przeszły koło jego ucha przez lewe ramię i popłynęły gdzieś w próżnię.

– Nie lubi patrzeć ludziom w oczy. Przy tablicy zawsze wpatruje się w podłogę i mówi tak cicho, że prawie w ogóle go nie słychać, a przy tym przeważnie odpowiada prawidłowo – skarżyła się nauczycielka na wywiadówce klasy szóstej B.

– Jest po prostu nieśmiały – wyjaśniał pan doktor Roman Hradilek ze wzrokiem utkwionym we wzorek wykładziny leżącej pod nogami pani nauczycielki. Też nie lubił patrzyć ludziom w oczy, zwłaszcza kobietom. Nawet przy współżyciu. Najlepiej jest od tyłu, wtedy człowiek jest de facto sam i może przeżyć to po swojemu. Przez głowę przeszło mu ulubione przywidzenie domu publicznego, chyba tajskiego, gdzie nagie dziewczyny wchodzą do pokoju tyłem i w żadnym, ale to w żadnym wypadku nie mogą się odwrócić i zobaczyć mężczyzny, który się z nimi złączy, nawet jeśli, nawet jeśli... Z trudem wyganiał z głowy zaciemnioną komnatę z orientalnymi zasłonami, zza której wychylają się damskie plecy i znów znikają, kiedy jest już po wszystkim, i już jest, do cholery po wszystkim.

Gdy dopili, wysłał Roberta, żeby oddał puste butelki, potem wsiedli na rowery i ruszyli dalej drogą wzdłuż rzeki. Świeże przedpołudniowe powietrze zagęszczało się gwałtowną duchotą. Nad zielenią pastwisk i lasów łęgowych wisiała ciężka burzowa chmura. Po drodze mijali konie. Pasły się na długich łańcuchach przymocowanych do żelaznych kołków wbitych głęboko w ziemię. Roman pamiętał z innych wycieczek ciemnego facecika z pejsami, który w taki gorąc jak dziś miał na głowie czarną wełnianą czapkę. Niósł w ręku żelazną pałkę i pokrzykiwał coś na apatyczne zwierzęta, zbyt małe na prawdziwe konie, a zbyt duże i masywne jak na kucyki, osły, muły czy coś innego, co dałoby się jeszcze skrzyżować i splugawić w przypadku tych biednych nieparzystokopytnych. Trzy kobyły i jeden źrebak pasały się tu tak niezgrabnie, jakby same wiedziały, że od ich

widoku musi się robić niedobrze każdemu hodowcy lub opiekunowi szlacheckich źrebiąt czy nawet poczciwych pracowitych koni pociągowych. Podgryzały trawę barwinka z oddaniem bydła świadomego, że prócz paszy nie spotka je w życiu już nic dobrego.

A jednak. Mały Robert, który jechał pierwszy, żeby ojciec nie zamęczył go swoim tempem, zeskoczył z roweru, zerwał garść liści mlecza i ruszył w stronę czarnej jak smoła kobyły.

– Uważaj, musisz ją obejść – wołał do niego Roman. – Mogłaby wierzgnąć i cię kopnąć. Nie wolno podchodzić do konia od tyłu.

Chłopiec posłuchał. Szerokim łukiem obszedł potężny zad kobyły i już po chwili patrzył w jej ciemne, błyszczące oczy. Z bliska były tak żywe, jakby patrzył nimi cały podlany krwią świat. Wszechświat. Zręcznymi wargami brała liście z jego dłoni.

– Możesz ją pogłaskać, po łysce, o tu, konie bardzo to lubią – radził mu ojciec. – Tak, o, widzisz?

Ale Robert był nieśmiały, tylko lekko musnął ją między oczami i odsunął się na krok.

– Co to były za konie? – zapytał Robert po chwili jazdy, kiedy droga rozszerzyła się tak, że mogli jechać obok siebie.

– To takie... Ja na nie mówię: konie na salami.

– W jakim sensie na salami?

– Takie chabety, co na nich nikt nie jeździ, nikt nie zaprzęga. Są hodowane dla mięsa, kiedy dorosną, sprzedadzą je do rzeźni.

– Coś ty, to ludzie jedzą konie?

– No jasne. Prawdziwe węgierskie salami robi się z konia albo z osła. Kiedy byłem w Belgii, widziałem całe stada koni, które pasły się jak krowy w zagrodach pod napięciem.

Robert nacisnął na pedały, żeby wyprzedzić ojca. Pedałował jak pomylony, mimo że na nierównej drodze było niebezpiecznie. Cały on, myślał Roman, pozwalając mu jechać. Cała jego matka – Urszula. Gdyby kiedyś pojechał z nią gdzieś na rower, gdyby nie leżała tylko ciągle w domu, narzekając, że boli ją głowa, chociaż on, lekarz, chyba najlepiej wie, że nic jej nie jest, gdyby tylko miała ochotę też wsiąść na rower, odjeżdżałaby, tak samo jak Robert, przed wszystkim, co powie jej Roman. Na łeb na szyję, jazda. Gdziekolwiek, w jar, na tory, pod pociąg, bez wahania, w przeciwnym kierunku, pod ciężarówkę, niech mnie przejedzie,

niech mnie zabije. A ty będziesz musiał sobie poradzić z tym poczuciem winy, z tym, co ze mnie zrobiłeś, ty obrzydliwy, kłamliwy dziadu!

Droga zwęziła się w ścieżynkę, która zaprowadziła ich do wnętrza lasu łęgowego. Potężne drzewa, lipy, olchy, jawory, dęby i mnóstwo grabów zamknęły ich w przyjemnym półmroku. Trasa prowadziła zygzakiem przez gęste zarośla niedźwiedziego czosnku, którego białe kwiaty migały podczas jazdy jak iskry. Musieli zwolnić, ścieżka obniżała się w zagłębienia, które zostały tu po zarośniętych pokrzywą i przytuliami ślepych ramionach rzeki, potem znów biegła w górę, w stronę pradawnych brzegów. Lepiej byłoby prowadzić rowery, ale przeznaczeniem jeźdźców na rowerach górskich z głębokimi bieżnikami opon – tak zwanych góralach – jest zostać w siodle i szaleńczo naprężać stalowe ścięgna sprytnych przekładni.

Trzeba też było uważać na liczne ślimaki, które nieomylnie przeczuwając deszcz, powyłaziły na dróżkę. Dlaczego tak bardzo się boisz tego chrupnięcia i mazistego pośliźnięcia się na pokruszonym domku? Tak bardzo, że wolisz wcisnąć dźwignię hamulca i stoczyć się w pokrzywy.

– Chodźmy lepiej pieszo – zdecydował Roman i zauważył, że Robert jest szczęśliwy, mogąc go posłuchać.

Kiedy zsiedli, stwierdzili, że nie jest dobrze. Kawałki nieba między koronami drzew stały się ciemnoszare, a w dach zrobiony z zielonego listowia wcięła się ostra piła deszczu. Śpieszyli się, chociaż Roman wiedział, że w promieniu kilku kilometrów nie znajdą żadnego miejsca, gdzie mogliby się schronić. Ich ucieczka nie miała sensu, korony drzew przepuszczały deszcz. Już za chwilę krople spadną na skórę. Tylko pieniądze, dokumenty i telefony były bezpiecznie schowane w starym sportowym worku z woskowanego płótna. Uderzył piorun, potem kolejny. Dwie błyskawice, jak w słowie *kiss* przeskoczyły między niebem a ziemią. I jeszcze jedna, za nimi grzmoty. Ciemno jak w nocy. Na początku próbowali jeszcze szukać drzew z gęstymi koronami, ale potem bezradnie stanęli na skrzyżowaniu leśnych dróg. Na wpół siedzieli na rowerach, jak para dziwnej wysokiej zwierzyny.

– Musimy przeczekać – powiedział Roman do syna.

Przerażeni patrzyli, jak strumień wody zmienia dno lasu w bagno. Chłopiec niepostrzeżenie opierał się o biodro ojca i głośno oddychał. Obaj wlepiali oczy w błoto pod swoimi nogami, tracili ostatnie suche miejsca.

Potem odezwał się dziwny trzask w koronach, jakby coś rwało liście z gałęzi. Grad. Ostre, kanciaste kawałki lodu utorowały sobie drogę i waliły

się z chmur na ziemię w oślepiającym białym potoku. Chłopiec złapał się za głowę, krzycząc z bólu. Roman pochylił się nad nim, odtrącając grad swoimi szerokimi plecami. Prawie po omacku odszukał worek przyczepiony do ramy roweru. Kiedy odwiązywał rzemyki, grad tłukł go w kostki palców jak młoteczkami. Bolało i denerwowało, ale było zarazem w jakiś sposób słodkie. Chłopiec trząsł się pod nim jak jagnię pod owcą. Odwiązał worek i okrył synowi głowę i ramiona. Potem wyprostował się i rozejrzał. Odłamki lodu biły go w ciemię i skronie. W ogóle się nie bronił, intensywnie przyjmował ból, chłód lodu i gryzący smród rozkruszonych liści i potłuczonego czosnku niedźwiedziego. Przyłożył sobie palec wskazujący i kciuk do brwi, tworząc nad oczyma mały daszek, spod którego wyglądał na rozszalały żywioł, i czuł, jak ogarnia go dziwny entuzjazm.

– Ale fajnie, co? Ale huk, ale huk! W życiu czegoś takiego nie widziałem!

Robert wyjrzał spod swojego malutkiego schronienia pod sportowym workiem, jego oczy spotkały się z oczyma ojca.

– Tatusiu, kiedy to się skończy?

– Za chwilę, za chwileczkę. Gradobicie nigdy nie trwa długo. Nie bój się. Nie mogę się doczekać, kiedy opowiemy o tym mamie.

To zdanie zakuło go w gardle bardziej niż najostrzejsze bryłki gradu na świecie. Mamie. Szczerze mówiąc wyobraził sobie raczej własną mamę, kiedy była w jego obecnym wieku, a on z wybałuszonymi oczami opisywał jej swoje przygody. Przygody! Czy coś takiego jak przygody jeszcze w ogóle istnieje? A nawet jeśli, to czy jakaś baba jest jeszcze ciekawa przygód? Grad rzedł tak, jak jego entuzjazm, za chwilę było już po jednym i po drugim, i po deszczu. Kiedy pchali rowery przez zaspy szybko tającego lodu, do lasu wślizgiwały się pierwsze skośne promyczki słońca.

Po kilku krokach znaleźli się na brzegu rzeki w jednym z dawnych ślepych ramion. Nad kamiennym obmurowaniem stała tam zielona buda. Drzwi do niej były uchylone i miały wyłamany zamek. Niecałe sto metrów wcześniej przeczekali gradobicie. A mogli się ukryć w takim przytulnym miejscu! Nieopodal stał kamienny mostek, zastawka i kawałek wymurowanej strugi, która ginęła w zaroślach. Musiała tu być kiedyś jakaś regulacja, myślał Roman, coś, czego pilnuje grobelny albo stawowy. Tu, w budzie, ten osamotniony pracownik miał swoje schronienie przed niepogodą, którą my musieliśmy przeczekać w lesie jak sarny.

Kiedy wepchnęli rowery na nasyp kolejowy, który przecina łęgowy las, słońce znowu świeciło i nienaturalnie paliło. Jedna burza nigdy nie wystarczy, jeszcze coś się wydarzy, myślał Roman, obserwując, jak z jego mokrego ubrania uchodzi para. Niczym dwa widma kuśtykali po brązowych kamieniach w stronę mostu przez rzekę Odrę. Daleko za mostem pojawiały się białe wieże wysokościowców.

Wyglądało na to, że ta dziewczyna spadła z nieba. Nie spadła. Była po prostu długo ukryta przed ich wzrokiem za łukiem nośnej konstrukcji mostu. Teraz stała nad rzeką oprawiona w stalowe ramki, z malutkim telefonem w ręce, jakby właśnie skończyła rozmawiać. Szerokie spodnie dzwony, przesiąknięte wodą, mokry, ciasny staniczek opinał jej ptasią pierś, chudy brzuch, czerwonawe włosy spływały jej na ramiona, między kosmykami lśniły srebrne koła kolczyków. Patrzyła na nich zielonymi, szeroko rozstawionymi oczami jak na pierwszych ludzi, jakich spotkała w życiu. Mogła mieć najwyżej siedemnaście, osiemnaście lat. Te oczy błyszczące blaskiem mokrych pokrzyw paliły Romana, czuł niezrozumiały wstyd.

To była jasna sytuacja – za młoda dla Romana, za stara dla Roberta.

Uśmiechnął się gorzko. Myślała, że uśmiecha się do niej, i też uśmiechnęła zdziwiona. Przeszli obok niej bez słowa po żelaznych płytach mostu, a tam, gdzie za mostem zaczyna się szosa, wsiedli na mokre rowery.

– Ładna dziewczyna – powiedział Roman do syna, z miejsca tych słów żałując. Zdążył jeszcze kątem oka zobaczyć, jak syn przechyla głowę w stronę prawego ramienia, aby przeszły mu koło ucha.

EDYTA

Kiedy zadzwonił telefon, Vladimir nie spał. Leżał po ciemku i patrzył w sufit, jak to się zdarza ludziom, którzy już na nic nie mają siły. Zdołał jeszcze zrobić dzieciom kolację, wykąpać, położyć do łóżek i poczytać krótkie bajki. Mógłby czytać dalej, ale dzieci zasnęły, nie pozostawało mu więc nic innego jak zamilknąć, iść do sypialni i leżeć tam niczym ścięte drzewo.

Wlepiał zmęczone oczy w ciemny sufit i nie znał siebie. Nie znał siebie takim. Zimne ciało i spocone stopy. Był wściekły na te wszystkie swoje miłości, jedną i drugą najchętniej posłałby do diabła. Najchętniej żyłby sam ze swoimi, swoimi, do kurwy nędzy, dziećmi gdzieś daleko, aż na Falklandach. Odwrócił się i schował twarz w poduszkę, oddychał płytko jak ten największy na świecie tchórz, który wraca na kolanach w miejsce, z którego musiał odejść niekoniecznie z własnej winy. Obraca się jak kurczak na rożnie w łóżku, które skrzypi pod nim tak, jak całe lata nie skrzypiało już pod kochającymi się ludźmi.

Kochającymi się. Poczuł się, jakby uderzyła go pięścią w brzuch. Zresztą przecież to zrobiła. Nie minął nawet tydzień. Najpierw kłócili się parę godzin, a potem jego żona, Edyta, rzuciła się na niego. Nie potrafił się bronić, jakby był związany. Tylko żadnej przemocy, powtarzał sobie, tylko żadnej przemocy, której potem będzie mogła użyć przeciw niemu w sądzie. Kiedy będzie już sprawa w sądzie, tym stronniczym, rozwodowym, gdzie trzykrotnie rozwiedziona sędzina pozbawi cię prawa do posiadania domu, dzieci, do wszystkiego. Nie, nie wszystkiego, niektóre ludzkie prawa ci się ostaną, jeżeli nie dopuścisz się przemocy.

Nie możesz złapać jej za ręce, kiedy rzuca się z nimi na twoją twarz, bo uścisk zostawi na nich ślady, nie możesz nastawić ręki, kiedy chce cię spoliczkować, bo mogłaby zwichnąć sobie nadgarstek. Nie możesz jej odepchnąć, kiedy pcha się na ciebie, oddycha ci w twarz i pyta: – Jak to z nią robisz? Tak? Czy tak? I dotyka cię niemal miłośnie, na pewno jednak nie miłosiernie. Nie możesz jej odepchnąć, nie możesz oddać, bo mogłaby upaść, uderzyć się w głowę, mogłaby umrzeć, gdybyś dał jej w pysk, krzycząc: – A jak ty to robisz z tym swoim? Kiedy pójdzie do sądu, tego

jeszcze bardziej stronniczego, tego moralnego, możesz tylko kulić się w rogu, z głową wetkniętą między ramiona robić uniki, kiedy próbuje rozpiąć ci koszulę, kiedy ostrymi palcami łapie cię za skórę, żebyś to zrobił, nie możesz jej tego zrobić, nie możesz jej zgwałcić, nie możesz zgwałcić siebie, możesz tylko głęboko oddychać i wstydzić się za całe swoje życie, wstydzić się za nią, za to co wyprawia. Za to co wyprawiamy.

Potem stała jak wryta i patrzyła na niego, jakby nie wierząc własnym oczom. Nie mogła zrozumieć, że on, podczas całej tej szamotaniny dziarsko po omacku zakłada buty, kurtkę i szuka teczki, wpatrując się w czerwone plamy na jej twarzy i szyi i upewniając się, że wyskoczyły jej ze złości, że nie powstały za jego sprawą, nie dotknął jej.

– Ty tchórzu, gnoju... – częstowała go, kiedy przesuwał się jak jakaś dwuwymiarowa wycięta z papieru postać wzdłuż ściany w kierunku drzwi. – Jak chcesz to idź! Syknęła i uderzyła go swoją małą pięścią w brzuch. Miał tak napięte mięśnie, że nawet tego nie poczuł. – I nie wracaj! Drzwi mieszkania huknęły, a on zataczał się na klatce schodowej, zgrzany i zdyszany, jak po najgorszej bójce swojego życia.

Ale i tak wrócił. Musi wracać, dopóki sprawa się nie rozwiąże. Muszą razem przez to przejść, oddychać razem ciężkim powietrzem mieszkania, w którym dwoje ludzi, którzy stali się sobie obcy, miota się wkoło łóżek swoich dzieci i haniebnie zwraca wszystko, co dali sobie przez tych dziesięć lat. Komu zwracają? Nicości, z której kiedyś mozolnie to wydobywali? Oto właśnie iluzja, ta nasza pycha, przecież nie da się wydobyć niczego z nicości. Zwracamy to miłości. Miłości, która będzie istniała dalej, ale bez nas.

Brzęczenie telefonu zerwało go z łóżka tak gwałtownie, że w ułamku sekundy, w którym był jeszcze w stanie coś sobie pomyśleć, wydało mu się, że wyskoczył z łóżka dokładnie przed tym dzwonkiem, który właśnie teraz w cichym mieszkaniu powtarza się tak brutalnie i niemiłosiernie, jakby ktoś nie wiedział, że wystarczy zadzwonić raz. Jakby ktoś nie wiedział, że przecież i tak nie mogę zasnąć.

Podniósł słuchawkę. Po drugiej stronie cisza. Potem dźwięk jakby ktoś smarkał, a potem głos Edyty:

– Proszę cię, przyjedź.

– Ja? Dlaczego?

– Nie pytaj i przyjedź!

– Gdzie? Co się stało?

– Nie wiem.

– To ja nie wiem, nie wiem nawet, gdzie jesteś. Mówiłaś przecież, że wrócisz rano.

– Przyjedź tu natychmiast – Edyta trwała przy swoim.

– Gdzie tu?

– Do mnie do biura.

– Teraz? Wiesz, która jest godzina?

– Nie wiem! – jęknęła.

– Coś się stało?

– Tak, stało się.

– Wszystko w porządku?

– Nie, nie w porządku!

– To zostań tam, gdzie jesteś, a ten... ten tam z tobą jest?

– Nie pytaj i przyjedź.

– No dobrze, ale nie wygłupiaj się, nic nie rób, przyjadę.

Vladimir się ubierał. Miał mieszane uczucia. Idzie gdzieś z innym facetem, jak wielka pani rzuca w drzwiach: – Zajmij się rodziną – a teraz mi tu smarka do telefonu.

Brał klucze, kurtkę, prawo jazdy. Mogę iść w tej górze od piżamy? A co to za różnica, zapiął zamek pod szyję, rzucił okiem na dzieci i wyszedł z domu.

Żona jest gdzieś sama. Tego jeszcze brakowało. A co, jeśli ten facet jej coś zrobił, albo ona jemu, Edyta jest zdolna do wszystkiego.

Cholera, co ja wyprawiam, myślał, wkładając kluczyk do stacyjki, co to ja jestem jakiś idiota, książę Myszkin? Ale myśląc to, pędził już ulicami w kierunku biura Edyty. Bał się, że coś sobie zrobi. Znał ją, szaloną, namiętną dziewczynę, która zawsze najpierw robi, potem myśli. Spłynęła na niego fala czułości. Wspominał, jak się w niej zakochał, jak jej czerwona spódnica migotała na schodach uczelni. Jak całkiem mu odbijało na samą myśl o niej. O ich tajnym mieszkanku, które wynajęli u tej baby, która tak z nich zdzierała, u tej starej stręczycielki, która z miną, że dobrze wie, co tam robią, podwyższała czynsz z miesiąca na miesiąc. Edyto, razem szliśmy do ołtarza. Mogliśmy chociaż odpuścić sobie ten ołtarz. Ale to nie bylibyśmy my, my na całego, przed Bogiem i przed ludźmi. Najchętniej przed całym wszechświatem jak Tezeusz i Ariadna – gwiazdozbiory na niebie.

Kiedy podjeżdżał pod budynek, gdzie znajduje się biuro Edyty, w samochodzie, który stał zaparkowany przy chodniku, zapaliły się reflektory,

a gdy Vladimir się zatrzymał, samochód ruszył i pojechał gdzieś w ciemność. Vladimir wysiadł z wozu, odprowadzając go wzrokiem.

Otworzył główne drzwi. Ciągle miał jeszcze przy swoich kluczach klucz od biura Edyty, kiedyś, jeszcze niedawno, to było także i jego biuro. Teraz jeszcze mu wypada. Zatrzymał się przed drzwiami. Nie było mu do śmiechu. Nie rozbawiła go gorzko-zabawna przecież myśl, że już teraz wie, dlaczego w pierwszej kolejności musieli sobie do biura kupić kanapę. Światło na korytarzu automatycznie zgasło. Vladimir go nie zapalił. Próbował włożyć klucz do dziurki. Coś tam było. Pewnie klucz Edyty. Zapukał. W środku coś się poruszyło. Szła w stronę drzwi. Jej stopy dziwnie plaskały po podłodze. Zapukał jeszcze raz.

– Karol, to ty? – odezwał się złamany płaczem głos.

– To ja – odpowiedział Vladimir.

Jej rozczarowanie było odczuwalne nawet przez drzwi.

– Dzwoniłaś, więc przyjechałem.

– A on już... on już pojechał?

– Chyba tak, ktoś przed chwilą odjeżdżał.

Vladimir był w stanie wyobrazić sobie, jak Edyta opiera się plecami o drzwi i nie wie, co począć. Nagle też poczuł się bezradny, tak winny i bezradny.

– Edyta.

– No?

– Otwórz.

Ani drgnęła.

– Otwórz, pojedziemy do domu.

– Ale ja nie wiem, co robić. Nie wiem. On pojechał, zostawił mnie, i co mam robić? Nie mogę przecież iść teraz z tobą, Vladimir.

– Możesz, możesz przecież jechać do domu.

– Ale on mnie tu zostawił, i teraz nie mogę iść do domu. Nie mogę przecież iść do domu. Dajcie mi spokój! Dajcie mi wszyscy spokój! – krzyknęła, a Vladimir usłyszał, jak plaskające kroki się oddalają.

Łatwo nie pójdzie, pomyślał. Usiadł na schodach i zapalił papierosa jak wyrzucony z domu małżonek. Podejść do drzwi i podnieść pięść do zdecydowanego uderzenia, nie miał na to siły. Wolał zostać w chwiejnym bezpieczeństwie pozycji siedzącej.

Uderzenia okazały się niepotrzebne. Po chwili drzwi się otworzyły i wyszła z nich Edyta, jak cień, w płaszczu, z torebką w ręku.

– Cześć – powiedział niemal szeptem.

– Vladimir, ty tu na mnie czekasz? – zrobiła w jego stronę jeden chwiejny krok i upadła mu w objęcia.

Zawisła na nim jak płaszcz na wieszaku.

– Zupełnie się zgubiłam, rozumiesz, zupełnie się zgubiłam – szeptała, kiedy podtrzymywał ją w drodze na dół.

– Oboje się zgubiliśmy – powiedział półgłosem, kiedy sadzał ją w aucie – ale to nie znaczy, że musimy z tego powodu zwariować.

Przycisnęła chusteczkę do oczu i milczała. Ruszyli w stronę nocy.

– Nie wiem, co mam robić, co zrobię, co ze nią będzie. Nie chcę, nie chcę... – mazała się, aż w końcu zasnęła skulona na siedzeniu.

Vladimir jeździł po ulicach, nie jechał w stronę domu. Mieli właściwie dużo czasu. Wyjechał na obwodnicę i objeżdżał miasto wielokilometrowym łukiem. Specjalnie jechał naokoło, przez dzielnice peryferyjne i przyległe wioski, gdzie w chałupach światło nie paliło się w ani jednym oknie. Chciał zapamiętać tę chwilę, przejeździć tak całą noc, bo rano, rano już wszystko będzie inaczej.

I PTAKI TEŻ[11]

Wolał nie wychodzić na dwór, mógłby je spotkać. Starał się o nich nie myśleć. Chciał wypędzić je z głowy jak z gołębnika, ale ciągle były obok. Może im uciec tylko wtedy, kiedy nie będzie o nich myślał. Tylko jak to zrobić? Najlepiej byłoby zostać w pozycji siedzącej. Ciasny węzeł skrzyżowanych nóg zaklinowany między krzesłem a blatem stołu. Ani drgnąć. Kilka minut, wiele minut, może nawet godzin. Kolana osadzone jedno nad drugim jak dwie przytulone do siebie ludzkie głowy. Ściskał je, napinając aż do bólu podbicie i łydkę. Mógł dociskać lub rozluźniać ten skurcz. Mógł się na tym skupić. Mógł myśleć o czerwonej plamie, która właśnie powstaje na lewej kości kolanowej. Mógł robić mnóstwo rzeczy. Podeprzeć się na łokciach i czuć napięcie w całym ciele. Oprzeć się klatką piersiową o stół i ściskać jego blat między kolanami i żebrami niczym żywa tuleja zaciskowa. Jak uchwyt, którym przymocowuje się do stołu żeliwną maszynkę do mięsa i owoców. Te mechanizmy funkcjonują tylko wtedy, kiedy są mocno przytwierdzone do podkładki, której stabilność kompensuje wektory sił elementów obrotowych jej mechanizmów funkcjonowania. Ale ja jestem niefunkcjonującym mechanizmem, myślał Oldrzich z głową położoną na płaszczyźnie stołu, i przytwierdzam się ot tak, tylko po to, żeby w ogóle coś czuć. Ale mogę to olać. Mogę się położyć, podłożyć poduszkę wysoko pod plecy, zaprzeć się piętą o ramę łóżka, ani drgnąć. Trochę sobie odpocząć.

– Oldrzich, Olda, musisz sobie odpocząć – przemawiał do siebie łagodnie, przenosząc się zza stołu do łóżka.

W pomieszczeniu panował półmrok. Tak lubił najbardziej. Okno zaciemnione grubą zasłoną i firanką, nie widać, co jest na zewnątrz. Ale i tak wiedział, że tam są. Ich odgłosy docierały do niego nawet przez podwójne szyby i dwie warstwy tkaniny, dźwięki ostre i wyraźne jak małe kolce. Jak obrośnięte skórą nóżki ze szczelinami i ostrymi pazurkami, które zatapiają się w delikatnej korze gałązek jabłoni. Oldrzich słyszy drobniutkie pęknięcia, chrzęst, szelest pierza wśród liści. W tym samym czasie, gdzieś w zupełnie innym miejscu mózgu słyszy zwykłe odgłosy domu. Betina otwiera i zamyka drzwi do łazienki, do komórki. Drzwi lodówki miękko się

przymykają. Woda z kranu, naczynia w zlewie. Cichy śpiew zaworu, cichy śpiew w radiu, normalne życie. Ale pod nim skrzypią szpony i szeleści pierze. Być może słychać to tylko w tym pokoju, myśli Oldrzich spięty i zaparty w ramie łóżka niczym rozporka krzyżowa. Być może tam, za ścianą, wszystko jest w porządku.

Betina czuje się dobrze, musi czuć się dobrze. Woli z nim już nie spać. Ścieli sobie na składanym łóżku w małym pokoiku dla służącej, za kuchnią. Nigdy nie mieli żadnej służącej. W małym pokoiku miał być gabinet Oldrzicha. Miał tam stać komputer na specjalnym biurku, przy biurku krzesło anatomiczne, a na tym krześle on z głową pełną projektów. Ale jak miał w tym stanie pracować, kupować biurka i krzesła anatomiczne, skoro w innym miejscu mózgu wciąż rejestruje natrętnie szeleszczące dźwięki, wyobraża sobie, jak łażą po gałęziach? Powinien był już dawno ściąć to drzewo. Ale szkoda by było jabłek, okrągłych, pełnych. Podziobanych. Betina by tego nie zrozumiała, nie wybaczyłaby mu. Betina ze swoimi okrągłymi jabłkami śpi na składanym łóżku z jeszcze jednym jabłkiem w sobie. Czy to będzie Andrzej czy Andrea?

Podobne imiona. Tak pięknie i precyzyjnie podobne. Oldrzich ma na ich podobieństwo w głowie następujący wzór:

Samogłoska *(a/a)* + spółgłoska sonorna *(n)* +
dźwięczna spółgłoska *(d)*+ spółgłoska zadziąsłowa *(rz)* /
spółgłoska drżąca dziąsłowa *(r)* +
pseudo-dyftong *(ej/ea)* = Andrzej/Andrea.

Technika i lingwistyka – dwie stare pasje Oldrzicha. Czyste znaki wzorów niezaświnione żadną treścią tworzą doskonały schemat dwóch imion dla jednego dziecka. Dziewczęca końcówka *-ea* z typowo kobiecą intonacją opadającą, chłopięce *-ej* z intonacją łagodnie wznoszącą. Spółgłoska zadziąsłowa *rz* u chłopaka oznacza odrobinę zrozumiałej, typowej dla mężczyzn nieporadności, podczas gdy autentyczne *r* w imieniu dziewczęcym niesie za sobą ową twardość kobiet, cechę, której się wypierają, a która czyni je silniejszymi.

W ten sposób możesz dwa razy zwrócić się do jednego nieuchwytnego dziecka. To dwa podejścia na jeden szczyt, do abstrakcyjnego dziecka, którego wszyscy konkretni narodzeni są tylko niedoskonałymi wariantami, tak jak wszyscy ludzie są tylko nieudanymi derywatami człowieka, syna człowieka, wzoru, unoszącego się ponad nędzą wszystkich konkretnych imion, wszystkich marnych ludzkich losów.

Ładnie to powiedział, tylko słowo *unosić się*, poprzez swoje opierzenie, wywołało u niego odruch wymiotny. Trzeba od niego szybko uciec. Tam, gdzie nie ma żadnych rzeczy ani stworzeń, oj, bieda, kolejne niebezpieczne słowo. Już widział te stworzenia oczyma wyobraźni. Wcisnął głowę w poduszkę, zmuszając się do widzenia tylko jasnych samoistnych hipotez rzeczy materialnych, tylko zwrotnic sił, których ustawienie jest czystym geometrycznym wyprowadzeniem rzeczywistości bez całej tej lepkiej... zderzył się z kolejnym wyrazem i już wiedział, że nie jest dobrze, że dziś rano znowu polegnie. Już nie zdąży wziąć lekarstwa, już nie oddali się w ciemność bez wyobrażeń, już wyobraża sobie te zwrotnice jak ślady trójpalczastych nóg w błocie, już widzi, jak złe i chore kuleją i biją skrzydłami, rzadkie brązowe pierze odkrywa czerwoną krostowatą skórę, nagie kupry, kloaki, żółte łapy, miękkie grzebienie, fekalia pod nogami, wściekłość w gniewnych bocznych oczach i robaki zgromadzone w wolu. Zawsze widzi je od spodu. Jak to się stało, że po nim depczą?

– Betina, Andrzej, Andrea – charczał, wymiotując do przygotowanego obok łóżka wiaderka. Słyszał krzyk srok na jabłoni za oknem. Jakby się z niego śmiały.

– Znowu? – Betina otworzyła drzwi jego komnaty. – Musimy coś z tym zrobić. Oldrzich, tak się nie da żyć.

– Ale co? – pytał Oldrzich poniżony swoim stanem, z sokami żołądkowymi na brodzie i na piersiach. Musimy ściąć to drzewo, zamurować okno! Chciał krzyknąć, ale przełknął te słowa razem z uwięzłymi w gardle wymiocinami.

– Muszę tylko trochę odpocząć, nie myśleć o tym – wycharczał z siebie zupełnie inne słowa niż te, które chciał wypowiedzieć.

Zauważył, że kiedy Betina usłyszała słowo „odpocząć” z jej ust zniknęło wszelkie współczucie. Został tylko twardy, pusty wyraz, zmarszczka między oczami. Patrzyła na niego jednym okiem jak ptak, Boże, wygląda jak kormoran, którego dziób przenika aż do środka jego słabowitego serca.

– Betino, ja tylko myślałem o tych imionach dla dziecka, wiesz, co o nich rozmawialiśmy – Betina niecierpliwie wzruszyła ramionami.

– Muszę iść do pracy, nie mogę tu z tobą teraz rozprawiać o twoich stanach. Przecież ktoś z naszej dwójki musi być normalny, zwłaszcza teraz.

Oldrzich patrzył tępo w stronę wiaderka, nie wiedząc, czy czegoś tam jeszcze od siebie nie dorzuci.

– Normalne życie, rozumiesz? Umyj się, ubierz. Zostawię ci auto. Jedź do pana Kundrata i weź ten projekt, co ci proponował. Przecież dla ciebie to pryszcz, ten ster, czy co tam od ciebie chce, zabierz się za to, na pewno dobrze ci zrobi.

– Nie ster – chwiejne myśli Oldrzicha łapały się stabilnej terminologii projektowej – tylna nadbudówka z ramieniem steru i trzon sterowy.

Wyobrażał sobie wielki stalowy kołnierz z umocowanym w środku czopem obrotowym. Widział wszystkie osie, środki, rzędne... cały rysunek konstrukcyjny, czarne i niebieskie rowki Blueprintu. Podgląd rzutów pionowych, rzutów bocznych i przekrojów w systemie CAD/CAM. Żadna realizacja ich nie zmieni. Projekt pozostanie doskonały, nawet gdyby go spieprzyli w fabryce. To forma formy. Ale oni go nie spieprzą. Stocznia Odense Lindo z certyfikatem rejestru Lloyda nie spieprzy jego projektu, to doświadczeni ludzie Północy, którzy robią najlepsze statki na świecie. Statek o wyporności pięćdziesiąt tysięcy ton brutto z jego tylną nadbudówką. Statek piękny jak Betina, Beti.

Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczami i czuł, że jego zachwyt spada niczym kruchy przedmiot na kamienną podłogę. Wygląda jak kormoran, ach, to Morze Północne. Obrzydzenie podchodzi mu do przełyku. Są wszędzie, przylecą za tobą nawet na biegun północny i będą na ciebie skrzeczeć, targać cię za kudły tak, że będziesz wolał skoczyć z cypla i roztrzaskać się o skały albo o lodowe kry jak kruchy przedmiot z połamanymi osiami.

– Betina, wiesz, ja muszę tylko trochę odpocząć, potem do niego podejdę. Proszę, zadzwoń do Kundrata, zadzwoń, żeby jeszcze chwilkę poczekał, że jutro, jutro rano do niego przyjadę i przywiozę ofertę.

– Jutro rano! – powtórzyła Betina bez szczypty nadziei.

– Jutro rano! – krzyknęła. – A dzisiaj znowu się przez ciebie spóźnię. Ty nie musisz odpocząć. Ty się musisz leczyć!

Podążyła śladem swojego spóźnionego dnia, zaś Oldrzich błąkał się w piżamie po pustym mieszkaniu i powtarzał półgłosem wers z idiotycznej piosenki: – *Chwilę dłużej jesz śniadanie, to nie zdążysz nigdzie już... Chwilę dłużej jesz śniadanie, to nie...* – i tak w kółko, tylko po to, żeby nic innego nie słyszeć.

– To ci pomaga? – spytała Betina.

– Pomaga – odpowiedział Oldrzich, wiedząc, że mówi prawdę.

To była mordercza sytuacja, może właśnie dlatego mu pomagała. Siedzieli w gabinecie psychologa Niedomy. Oldrzich cieszył się, że Betina z nim poszła. To było naprawdę trudne, zdjąć piżamę, założyć wyprasowane spodnie i koszulę, ogolić się, myślał, że nie przeżyje w tym stanie, kiedy ciągle ziewał i chciało mu się spać, leżeć. Ale nie. Musieli iść. Betina była nieugięta. Mój kolega Niedoma nas przyjmie. Wiesz, ile musielibyśmy zapłacić komu innemu? Poza tym, jeśli jest taka potrzeba, trzeba to przecierpieć. Jej natura łączyła w sobie odpowiedzialną wiarę chrześcijańską z pragmatyzmem twardo stąpających po ziemi nóg. W taką właśnie wiarę uzbrojeni realiści kiedyś zasiedlali Amerykę, odbierając ją nostalgicznym poganom.

Popatrzył na siedzących tam i gotowych mu pomóc doktora i Betinę.

Betina wyglądała jak jakaś obca kobieta. Oldrzich nagle poczuł, że nic mu nie jest i chciał rozmawiać o zupełnie innych rzeczach. Chciał zapytać Beti, czy mówili o tym samym, kiedy wypowiadali słowa w stylu forma formy czy abstrakcyjne dziecko ponad wszystkimi dziećmi.

Pamiętał odpowiedź Beti: no jasne, przecież zawsze mówisz, że będziesz mieć dziecko, nawet jeśli już masz dużo dzieci, zawsze jest to liczba pojedyncza. Tak jak angielskie ryba w liczbie mnogiej *fish* oznacza wszystkie ryby w sieci. Albo *sheep* wszystkie owce na wyspach brytyjskich. Zauważ, że ci, którzy są blisko z tymi występującymi w liczbie mnogiej osobnikami, jak pasterze czy rybacy, mówią: ryba ma mało powietrza, ryba gromadzi się w sieci. Dlatego ja mogę powiedzieć, że dziecko gromadzi się w mojej macicy. Powiedziała tak i położyła sobie władczo, ale zarazem czule, rękę na brzuchu, na którym nie było jeszcze widać ciąży.

Tak mogli jednak sobie rozmawiać wcześniej. Obecna sytuacja, kiedy doktor patrzył na niego z przodu, a Betina z boku, wymagała innych odpowiedzi.

– Jakoś tak się to zaczęło – zaczął Oldrzich zachęcony przez doktora Niedomę. – Ptaki zawsze mi przeszkadzały, jednak wcześniej ich brzydota nie była dla mnie aż tak widoczna. Kiedy któryś przelatywał zbyt blisko, robiło mi się trochę niedobrze. Ale nie myślałem o tym. Nie wiedziałem, czym jest ornitofobia. Ptaki po prostu trochę mnie obrzydzały, jak innych obrzydzają glisty ludzkie i tasiemce, chociaż ich człowiek nie spotyka przecież tak często, jak często spotyka się te opierzone stworzenia.

Właśnie przyszło mu do głowy, że nawet słowo opera-opiera-opierzone – nawet słowo opera może być niebezpiecznym słowem.

– Jak postępowała choroba? – pytał Niedoma.

– Na początku to była właściwie taka zabawa. Długo nie traktowałem tego poważnie. Jakoś tak mi się zrobiło, że zacząłem uważać je za swoich wrogów. Zacząłem bawić się z nimi w chowanego. Wmawiałem sobie, że mnie śledzą. No bo one są wszędzie. Zauważył pan, doktorze, że wszędzie ich pełno? Ptaki spotka pan nawet w piwnicy, takie małe, brązowe jak myszy, nawet w jaskiniach, czytałem o tym bardzo dużo.

– W jaskiniach żyją raczej nietoperze i przyznaję, że one są trochę przerażające.

– Nie mam absolutnie nic przeciwko nietoperzom. Nietoperz to ssak, ma sierść, ale ptaki to zupełnie inne stworzenia. Myślę, że nienawidzą nas na sto procent, już tylko za to, że nie mamy dziobów i skrzydeł i... przepraszam...

Oldrzich przez chwilę głęboko oddychał, po czym upewnił się, że jest bezpieczny, bo nieopodal na dywanie stoi przygotowane wiaderko, a obok papierowe ręczniki. Betina o wszystkim pomyślała.

– Najpierw tylko fantazjowałem, lecz potem dotarło do mnie, że to prawda. Przy każdym spotkaniu z nimi byłem o tym coraz bardziej przekonany. Patrzył pan kiedyś ptakowi prosto w oczy?

– Wie pan, że chyba nie – odparł rozbawiony doktor.

– Więc niech pan lepiej nie patrzy. Jaka z nich bije wrogość! Ptak właściwie marzy wyłącznie o tym, żeby był pan już martwy, żeby móc zacząć ucztę na pana martwym ciele. To jak myśl o śmierci, która zaczyna w panu dojrzewać, jak... jak to kukułcze pisklę, żeby ostatecznie wypchnąć wszystkie inne myśli, a potem w głowie nie ma już na nic miejsca, tylko bez przerwy wyobraża pan sobie, jak jakaś straszliwa sikorka albo dzierzba siedzi na pana czole i próbuje wydziobać panu oczy.

Oldrzich zakrył oczy ręką i kontynuował, ukryty w stworzonej przez siebie ciemności:

– Panie doktorze, nie przyszedłem do pana dlatego, że ptaki są straszne. To to ja wiem. Wiem też, że straszne są węże albo nie wiem, na przykład bakterie, przyszedłem do pana, a właściwie Betina mnie przyprowadziła, bo ja nie mogę przestać o tym myśleć, tak jak ktoś nie może przestać myśleć na przykład o bolącym kciuku albo niezapłaconej składce na ubezpieczenie

społeczne. Wie pan, lęki przez całą noc, spocone stopy – nie do wytrzymania. Do tego straszliwe zmęczenie. Wie pan, o czy mówię?

– Z tym ubezpieczeniem społecznym to potrafię sobie wyobrazić, jako osoba prowadząca działalność gospodarczą – roześmiał się doktor.

Oldrzich popatrzył na Betinę. Siedziała z łokciami na kolanach, brodą podpartą pięściami i oczami rozszerzonymi ze zdziwienia.

– A teraz, kiedy rozmawiamy – nawiązał doktor – czuje się pan trochę lepiej? Teraz, kiedy w końcu opowiedział pan o tym w obecności innych ludzi?

– Nie, nie czuję się lepiej – odparł Oldrzich, mierząc wzrokiem odległość do wiaderka. – Mam takie coś – powiedział i brzydko się przy tym uśmiechnął – że jak pomyślę na przykład o swoim ptaku, rozumie pan, o swoim narządzie płciowym...

– Oczywiście – potakiwał doktor, a Betina się odwróciła.

– ...to obrzydza mnie przez samą tę metaforę.

– Ciekawe. Trudno to zwerbalizować. Ma pan z tym problemy?

– Mam.

– Myślę, że możemy mieć tu do czynienia właściwie ze wszystkim – rzucił doktor przepraszająco w stronę Betiny.

– A jakby pan nazywał go jakoś inaczej...

– Nie da się tego tak po prostu przestawić w głowie.

– Ma pan rację, wymagałoby to pewnego treningu – skonstatował doktor.

Oldrzich patrzył na odwrócone plecy i skulone ramiona Betiny i czuł, jak cała wzdryga się z obrzydzenia. Nie da się tego tak po prostu cofnąć, myślał, tak jakby w życiu w ogóle cokolwiek dało się cofnąć. Nigdy nie wejdziesz dwa razy do tej samej żony, to znaczy rzeki, poprawił się, zmuszając do dalszej konwersacji z doktorem.

– Niech pan spróbuje powiedzieć, co dokładnie obrzydza pana w ptakach – pazury? dzioby?... – podpowiadał doktor.

– To też – przyznał Oldrzich, wyobrażając sobie ich puste kości, masywne sternum, worki powietrzne, przyczepy mięśni, kloakę, wole. Jego mózg konstruktora podpowiadał, że właściwie jest to doskonała struktura dynamiczna, w której nie ma nic obrzydliwego.

– Przede wszystkim ta obcość i furia – wyznał głośno. – Ptak nie ma litości.

– Czy miał pan jakieś traumatyczne doświadczenia z ptakami? Nie zaatakował pana na przykład kogut albo gąsior? Również łabędzie potrafią być agresywne.

– Chyba tak, chyba jakiś ptak mnie skrzywdził, właściwie na pewno. Ale ja nie wiem kiedy. Nie pamiętam. Mam tę awersję jakby od zawsze.

– Awersję? Od zawsze? Nie. Nikt nie ma awersji od zawsze. Dziecko, które się rodzi, nie ma żadnych awersji, przynosi je dopiero doświadczenie.

– Nie przypominam sobie żadnego takiego doświadczenia.

– No, nie może sobie pan przypominać. Gdyby pan mógł, toby nie było sprawy. Musielibyśmy poddać pana hipnozie.

– Poddać... – Oldrzichowi zrobiło się niedobrze już na samą myśl o tym, co musiałby sobie przypomnieć pod wpływem tej ich hipnozy. Rzucił się w stronę czekającego wiaderka i wymiotował, jakby właśnie tego od niego oczekiwano – że je calutkie zapełni. Najgorsza była świadomość, że i tak nie jest w stanie zwymiotować wszystkiego. Oczekiwanie kolejnych i kolejnych mdłości od teraz aż do końca świata powiewało w nim jak obrzydliwy gałgan, którego nigdy nie uda mu się wyrzygać w całości. Jeśli to właśnie jest ta nieśmiertelna dusza, to on bardzo dziękuje.

Upadł na podłogę, ciężko oddychając. Niedoma i Betina stali przy oknie, odwróceni plecami do pomieszczenia w dziwnie empatycznej dyskrecji.

– Już skończyłem – obwieścił Oldrzich, kiedy dokładnie wytarł się przygotowanymi ręcznikami. – Gdzie mogę to wylać?

– Toaleta jest w łazience – Niedoma troskliwie pokazał mu drzwi.

– Pan pozwoli, jeszcze jedno, ostatnie pytanie, zanim umówimy się na terapię – nawiązał Niedoma, kiedy po przerwie znowu usiedli na swoich miejscach.

– Proszę mi powiedzieć, kiedy miał miejsce i jak przebiegał pierwszy atak ornitofobii. Ale prawdziwy atak, kiedy pan nad sobą nie panował. Nie chodzi mi o niepokój, który dopada nas wszystkich. Proszę mi powiedzieć, kiedy po raz pierwszy było to silniejsze od pana?

– Nie powinienem chyba tego mówić, panie doktorze.

– Właśnie dlatego proszę powiedzieć.

– Nie wiem, Betina? – Oldrzich zwrócił się do swojej żony z ogromnym zakłopotaniem. W jej oczach po raz pierwszy wyczytał prawdziwy strach. Bała się, że powie to, co myśli, że powie.

– Musisz powiedzieć – odpowiedziała niemal szeptem.

– No więc, pierwszego ataku, który był dosłownie nie do wytrzymania, dostałem po tym, kiedy Betina wyznała mi, że będziemy mieli dziecko.

Dobrze wiedział, co robi, mówiąc to, dlatego nie zaskoczył go wyraz twarzy Betiny. Nie zdziwiła go też jej irytacja, kiedy wsiadali do auta. Czuł, że gdyby mieli dwa auta, na pewno pojechałaby drugim. Kiedy przy zmianie biegu na piąty dotknął grzbietem ręki jej uda, gniewnie założyła nogę na nogę i odsunęła się tak daleko, na ile jej pozwalał pas bezpieczeństwa.

– Nie mają teraz żadnego koguta – oznajmił Oldrzichowi Milan Kuczera, kolega, z którym chodził na wsi do podstawówki.

– Aha, nie ma koguta, to lipa – powiedział rozczarowany Oldrzich. – Chciałem mieć to już za sobą.

– Mają indyki, ale to są już takie bycze – zaproponował Milan.

– Obojętnie, kogut jak indyk. Indyk to też kogut, nie? Jakiś kutas po prostu.

– Czemu za wszelką cenę chcesz się nauczyć zabijać? Nie wiem, na co się to przyda, przecież i tak kupujesz mrożony drób, nie?

– Słuchaj, zrób to dla mnie, okej? – trwał przy swoim Oldrzich.

– Jasne, obiecałem ci i dotrzymam słowa. Pytanie tylko, czy to nie głupota?

– Głupota, ale potrzebna.

– Ty płacisz.

– No ja, ja – zamknął sprawę Oldrzich, a ciężarówka skręciła na farmę drobiu.

Wysiedli z auta przed długim parterowym budynkiem, z którego dobiegał wielogłos indyczego gdakania. Milan wszedł do środka załatwić wszystko co potrzeba, podczas gdy Oldrzich przeżywał długie, przedługie minuty niemożliwe do wytrzymania. Potem Milan wrócił i zaprowadził go do pomieszczenia, w którym miała się odbyć terapia.

– Możesz wejść! – Oldrzich po jakiejś półgodzinie otworzył drzwi i wpuścił Milana do środka.

Głowa została na pieńku, ciało było w blaszanej skrzyni, narzędzia i szmata w naczyniu z wodą.

– Trochę to trwało! Już się zastanawiałem, czy ty zabijesz jego, czy on ciebie – huczał Milan.

– Z początku sprawa nie była aż taka oczywista – wyjaśniał Oldrzich, zdejmując zakrwawiony gumowy fartuch. – Ciągle czuję, jak waliło mu

serce.

– No, ale to był kawał mięcha, to nie tak łatwo jak ukręcić łeb na przykład gołąbkowi – uznał Milan, okiem fachowca oglądając zabite zwierzę. – Ładnie ci poszło jak na mieszczucha, serio, ładniutko, czysto. Dokładnie tak, jak ci mówiłem.

– Najgorsze było w ogóle wziąć go do ręki, potem już nie było źle – wyjaśniał Oldrzich.

– Tak jest ze wszystkim, póki nie pomacasz, nie wiesz co to – filozofował Milan.

– I dlatego się tego boisz – uzupełnił Oldrzich.

– Co? Nie gadaj, bałeś się kogutów albo indyków?

– Nie, zabijania.

– To to rozumiem, z tym się człowiek musi, że tak powiem, oswoić.

– No, ja jadę – Oldrzich nagle zaczął się wiercić.

– Czekaj, nie możesz go tak wieźć, to by ci twoja paniusia dała. Oskubią ci go.

– Wiesz co? Ja go nawet nie chcę.

– Co? Zwariowałeś? Przecież za niego zapłaciłeś!

– Ale go nie chcę.

– O nie – zaprzeczył Milan zdecydowanie. – Nie tak się umawialiśmy. Zapakuję ci go. Poza tym to jest mięso, a mięsa się na gnój nie wyrzuca.

– Już dobrze, zapakuj mi go – Oldrzich z rezygnacją machnął ręką. – To chyba część całej tej akcji.

– Żebyś wiedział, że tak, i nie bądź mięczak.

I nie był mięczak. Ani wtedy, kiedy uciekał przez wieczorny krajobraz z martwym ptakiem w walizce, ani kiedy później wieczorem usiedli z Betiną na obsranej przez sroki ławeczce pod jabłonią i na nowo rozmawiali o imionach dla dziecka, które zbliża się do nich z daleka.

Ramię steru dla statku, który będzie pływał po oceanach, już nabierało jasnych, popartych dokładnymi obliczeniami zarysów w jego komputerze. Wszystko było tak w porządku, jak to tylko możliwe. Tylko od czasu do czasu robiło mu się tęskno za tym sercem, które biło tuż obok jego własnego serca, a potem przestało bić. (Oba –i- po –b- w poprzednim zdaniu mogą być zastąpione igrekiem i znaczenie się nie zmieni.)

TERRORYSTKA

– Jak to, czy może istnieć niewinny obraz? Co to za pytanie? Jak niewinny? – Hans rozejrzał się po pełnym obrazów pomieszczeniu.

– Obraz, który w prosty i niepodstępny sposób odnosiłby się do rzeczywistości, bez ironii, afektacji czy innych kątowych pól widzenia – rozwijał myśl malarz Michał.

– Mówiąc istnieje, chodzi ci zapewne o to, czy ktoś byłby nim zainteresowany, czy może zaistnieć w społeczeństwie i czy znalazłby w nim zastosowanie? Tego nie wiem. Na pewno istnieje, tyle że akurat nie świecą na niego reflektory.

– Myślisz, że istnieje prawdziwa niewinność?

– Nie wiem, powinna chyba istnieć, już choćby ze względu na kobiety.

– W jakim sensie?

– W takim!

Hans niechętnie o tym mówi, bo wie, że przez całe życie nosi w sobie kobietę. Mimo że niewątpliwie jest mężczyzną, ojcem dzieciom, czuje rodzaj żeński jako istotę wszystkiego, co odczuwa.

Kiedy był jeszcze małym chłopcem, w owym błogim wieku przed pierwszym podnieceniem, które bezwzględnie ciska skołowanych chłopaków w wieku dojrzewania w stronę świata coitusu, skąd nie ma już odwrotu, patrzył na świat raczej oczyma matki niż ojca i myślał, że byłoby dobrze, jeśli mogłoby tak zostać już na zawsze. Nie mogło. Tak jak marne było jego pragnienie odnalezienia swojego miejsca na ziemi, którego nie musiałby już opuszczać, gdzie mógłby się zagnieździć. Dlatego opłakiwał każdy słupek i kamień przydrożny, który musiał minąć. Cierpiał za każdym razem, gdy rodzice przestawiali w mieszkaniu meble, tęsknił za tą byłą konstelacją jak za utraconym domem rodzinnym. Jako dorosły mężczyzna miał natomiast problemy z opuszczeniem starych miejsc zamieszkania, nawet pokojów hotelowych. Podejrzewał, że ów niepokój zakiełkował w nim właśnie wtedy, kiedy poprzez pierwszy onanizm uraził ową spokojnie obecną, powabną kobietę wewnątrz siebie.

Nie był homoseksualistą, ani tym ukrytym, ani tym drugim. Nie pociągały go damskie ciuszki. Przeciwnie, kobiece atrybuty na

mężczyznach obrzydzały go, a kiedy widział show transwestytów, chciało mu się wymiotować; te kukły z wypchanymi piersiami i wymalowanymi ustami obrażały kobietę, o której istnieniu nikt nie wiedział, kobietę, która była również Hansem. Chciało mu się wymiotować także nad pisemkami porno. Nad sobą samym przy tych pismach, nad własną zdradą, której dopuszczał się poprzez tanie spojrzenie na babki rozkraczające nogi przed kamerą, czyli przed całym światem. Kupując sobie takie pismo, używając go i natychmiast wyrzucając do kosza, poznawał, czym jest grzech. Nie wobec Boga, czyli ojca, ojciec mógłby koniec końców to zrozumieć, to był grzech wobec niej, wobec istoty pierwotnej, która żyje zagubiona w labiryncie, w niewidzianym, ale przeczuwalnym systemie jaskiń, gdzie żyją pierwotni ludzie, z którymi jesteśmy połączeni więzami cienkimi jak nić Ariadny...

– Oczywiście można tę nić przerwać, ale potem... – Hans zamilkł, bo nie był pewien, w którym momencie zaczął myśleć na głos.

– Co potem? Kontynuuj – wyzwał go Michał.

– Potem? Potem możemy sobie co najwyżej malować pizdę na ścianie i udawać, że znaleźliśmy wejście do jaskini tworzenia.

– Ja bym tego aż tak nie dramatyzował – odpowiedział Michał z nieznośną beztroską. – Wręcz przeciwnie, uważam, że każda ta pizda na ścianie i każda taka dziewczyna z pornosa może w jakiś sposób odsyłać do tych pierwotnych istot, o których mówisz. Utrata niewinności jest faktem, a świat który przepadł, po prostu przepadł. Z ciebie jest zwyczajnie afektowany romantyk, ale nie jesteś konsekwentny. Gdybyś był konsekwentnym, prawdziwym poetą, napisałbyś wielki wiersz i umarłbyś młodo. I nie przeżyłbyś momentu przerwania tej nici! A ty się błąkasz od czterdziestu lat w tym, jak twierdzisz, labiryncie, kochasz kobiety, płodzisz dzieci, zakładasz rodzinę jak inni i jeszcze w dodatku uważasz to wszystko za sztuczne. Hans, to jest w najlepszym przypadku infantylny narcyzm, a w najgorszym zwykły snobizm i obłuda!

– Myślałem, że jesteś malarzem – odpowiedział Hans z wściekłością – ale ty, jak się okazuje, jesteś również psychologiem, brakuje ci tylko fajeczki, żebyś mógł sobie ją czyścić z poważną miną, kiedy ja się przed tobą wywnętrzam na kozetce! Wiem, na przykład ty nie masz problemów z pornografią, malujesz według niej. To jest teraz na czasie. Czemu wy, malarze, cały czas grzebiecie w pornosach?

– Nie wiem, w czym grzebią inni malarze, ale ja mam problem z pornografią, dlatego jej używam. Wydaje mi się niewiarygodna. Szczerze mówiąc, trochę się wstydzę tych pisemek. Kupuję tylko te zapakowane w folię, nie ufam kioskarzom i nikomu wokół. Kto ich tam wie, co z nimi robili. Mam obsesję, że mógłbym złapać jakąś chorobę. Ryzyko podłapania choroby jest częścią pornografii, tak samo jak dziwna, udawana normalność tych wszystkich praktyk. Maluję te absurdalne sytuacje i pozycje, żeby je jakoś uzewnętrznić, wyciągnąć na światło dzienne, żebym mógł na tę osobliwość popatrzeć spokojnie.

– Osobliwość zaczyna zastępować świat – wściekał się Hans. – Wszystko musi być teraz jakoś powywalane z naturalnych stawów i mieć rozdziawioną gębę, być rozkraczone jak wystawa. Coś ci powiem. Wy już nie malujecie obrazów. Malujecie reklamy obrazów, i też wszyscy skończycie w przemyśle reklamowym, a potem będziecie sobie potajemnie w toalecie przeglądać prace, dajmy na to Muncha, i myśleć: Ja pierdolę, to jest dopiero sztuka.

– No jasne, ale ciebie to nie dotyczy, ty szlachetnie marzysz o istotach pierwotnych.

Hans nie odpowiedział. Wyświetlał mu się w głowie obraz chudej dziewczyny siedzącej na krwawoczerwonej kanapie. Patrzyła mu prosto w oczy, unosząc daleko od tej rozmowy, w świat czystego bólu, wobec którego byli razem z przyjacielem malarzem bezradni jak małe dzieci.

Kiedy ukazała się informacja o czeczeńskim komando terrorystycznym w teatrze w Moskwie, w Hansie znów coś się poruszyło, jakby nastąpiła kontynuacja na chwilę tylko przerwanej rozmowy. Szerzy się strach. Ludzie zgromadzeni w teatrze mają wycelowane w twarz karabiny maszynowe desperacko zdeterminowanych Czeczeńców, którzy nie mają nic do stracenia, grożą więc śmiercią niewinnym kobietom, dzieciom i mężczyznom, dlatego że ich niewinne kobiety, dzieci i mężczyźni już dawno zabiły bomby w Groźnym. Wokół teatru roztacza się nieporadny rosyjski mechanizm wojenny. Wszyscy dobrze wiedzą, że negocjacji nie będzie. Będzie tylko zabijanie. *Balszoj teatr*, rzeczywiście duże przedstawienie, a w środku ciasna plątanina przerażonych i desperacko zdeterminowanych, wokół nich oddziały biernych sił zbrojnych czekających na rozkaz, a na zewnętrznym obwodzie koła zdezorientowani ludzie, którzy nie mogą mieć na nic wpływu.

Na widowni, pomiędzy zakładnikami siedzą czeczeńskie kobiety, żony zabitych towarzyszy, mają przytwierdzone do ciała materiały wybuchowe, a w rękach ściskają detonatory. To właśnie one mają zamienić się w śmiercionośną broń, jeśli niemożliwe do spełnienia warunki nie zostaną spełnione.

Hans, Michał i inni ludzie, którzy nie mogą mieć na nic wpływu, na próżno próbują podczas niezręcznych rozmów znaleźć choćby ślad właściwego rozwiązania tej osobliwej sytuacji, która wypadła ze wszystkich stawów.

Potem nadchodzi atak. Oddziały specjalne przełamują sufity i podłogi, po czym wpuszczają do środka gaz, który zabija dużą część zgromadzonych. Siły zbrojne w maskach gazowych dobijają na miejscu wszystkich terrorystów i terrorystki, a potem już zwykła rosyjska rutyna – ludzie się duszą i umierają w przepełnionych karetkach, chemicy wojskowi nie chcą zdradzić lekarzom składu gazu bojowego, krewni bezskutecznie szukają zaginionych bliskich... Zwycięstwo zostało osiągnięte za cenę ogromnych strat.

– Tylko te ładunki nie wybuchły.

– Terrorystki musiały zostać sparaliżowane gazem, zanim zdążyły je odpalić.

– To po co im wszystkim przestrzelili głowy?

– Chyba na wszelki wypadek.

– Bzdura. Przecież ten cały proces zagazowywania trwał kilka sekund. Ludzie zakładali sobie ubrania na głowę, wchodzili pod siedzenia. Ile sekund potrzebujesz, żeby nacisnąć guzik?

– Myślisz, że koniec końców okazały się miłosierne?

– Bóg wie, jak to tam było, ale myślę, że następnym razem na pewno wybuchną.

Kilka tygodni po zamachu Michał zaprosił Hansa do swojego atelier, gdzie znowu rozmawiali o niewinnym obrazie.

– Ten cię pewnie zainteresuje – powiedział Michał i odwrócił oparty o ścianę obraz.

Kobieca głowa wystająca spod szarej foliowej płachty. Z ciemnych włosów wylewa się kałuża krwi.

– Martwa terrorystka. Namalowałem ją według zdjęcia z gazety – powiedział rzeczowo Michał.

Hans pochylił się aż do samego płótna, jakby tak było mu lepiej rozpoznać jej rysy.

– Do kogo ona jest właściwie podobna? – pytał jakby sam siebie Hans.

– Jak do kogo? Do ciebie – bąknął strapiony Michał.

– Do mnie?

– Taki był mój zamysł.

– No, to ci się udało – odparł Hans i zamilkł na chwilę.

– Sprzedasz mi go?

– No, tak właśnie myślałem, że będziesz go chciał, ale nic z tego, już go sprzedałem i to za cholernie dobre pieniądze.

– Kto kupił?

– Jeden kasiasty gość, właściciel jakichś klubów, zapłacił i chciał go od razu wziąć, ale chciałem pokazać go jeszcze tobie, więc przyjdzie po niego dopiero jutro.

– A czemu akurat ten, masz przecież obrazy, które bardziej nadają się do klubu.

– Chciał tylko ten, mówił, że mieć w knajpie taki obraz to niezła jazda czy hardkor, czy jakoś tak.

– No to będziemy chodzić tam go oglądać, chociaż nienawidzę klubów – poskarżył się Hans i po raz ostatni popatrzył w martwe oczy, które unosiły go w świat czystego bólu.

RAY BRADBURY

– Lekarza nie uleczy fakt, że jest w stanie sam sobie postawić diagnozę. Lekarz, jak ten skazaniec w celi, ma jedynie świadomość, w jaki sposób umrze. A przecież dobrze znać drogę, każdyjej krok, aż do tego ostatniego kroku w nieznane. Wiedząc, ile czasu pozostało, człowiek wie, na co jeszcze może się zdobyć. Ale w tym wypadku lekarze nie mają żadnej protekcji, w tym wypadku lekarze to po prostu pacjenci. – Patrząc prosto w słońce, stary mężczyzna mówił i mówił tak, jakby te słowa przed czymś go ratowały.

– Ach, te słowa – *pacjenci i protekcja,* słowa zgięte pod brzemieniem czasu. Naszego czasu, tych krótkich siedemdziesięciu pięciu lat, które były nam dane na osi czasu kiedyś po Chrystusie. Mam wrażenie, że skrzywienie tych słów jest faktycznym wynikiem naszej pracy, naszego budowania nowego świata. Mamy też inne grzechy. Poobracane biegi rzek, wyschnięte jeziora, porty na pustyni. Ale wszystko to jest daleko, daleko, a pacjenci są tu, właściwie są tu już niemal wyłącznie pacjenci, oto nasz los, rzeczywistość dni powszednich.

Stary lekarz, Karol Nędza, delektował się porankiem, siedząc w fotelu na werandzie domku letniskowego. Po śmierci swojej żony, Zofii, i marnej trwającej rok próbie radzenia sobie samemu, zrobił to, przed czym wzbraniał się przez całe życie – powierzył się opiece dzieci. Diagnoza, którą sam sobie postawił, a którą potwierdzili młodsi koledzy, wymagała intensywnej opieki, nikt bowiem nie jest w stanie przewidzieć postępowania choroby Alzheimera.

Zawsze przed południem miewał kilka jasnych godzin, była to swego rodzaju płynąca wsypa. Nikt nie wiedział, kiedy się wynurzy, a kiedy znowu zniknie w dziwnym monotonnym blasku. Gdy był jeszcze w stanie przypomnieć sobie ten swój stan czy też jego nadejście i porównać go do czegoś, wówczas przypominał mu on świecące się białe płótno projekcyjne pojawiające się po przerwaniu taśmy filmowej. To był margines jego rzeczywistości. Stary lekarz nie wiedział, co dzieje się potem, w owym bezczasie, z którego przebudzało go kolejne wynurzenie. Właściwie nawet nie chciał wiedzieć, nie brakowało mu tego, po prostu za każdym razem na

nowo uzmysławiał sobie, że kiedy wraca mu świadomość, jest przedpołudnie. Piękny czas, który trzeba wykorzystać i dokończyć kilka myśli, jak ślepnąca koronczarka, próbująca z pamięci dociągnąć ostatnie węzełki wzoru, którego już nigdy nie zobaczy.

– Te słowa miały kiedyś swoje piękne, nieskalane znaczenia.

Karol Nędza mniemał, że mówi do swojego syna albo wnuka

Tymoteusza, było jednak równie możliwe, że został na werandzie sam z porannym słońcem, że młody człowiek już dawno sobie poszedł. Mimo wszystko mówił dalej, bo wierzył, że słowa mają sens, nawet kiedy nikt ich nie słucha.

– Pacjent to znaczy po łacinie cierpliwy, cierpiący, ten, który ze zrozumieniem przyjmuje cierpienie jako zadanie, jako kolejny rozdział swojego życia. Jest cierpliwy i cichy, aby nie minąć się z nadzieją i z ratunkiem, choćby nawet miała nim być śmierć. Jednak my zrobiliśmy z pacjentów niecierpliwych, histerycznych cherlaków, zakrywających sobie oczy przed własnym przeznaczeniem. Nie oczekują pomocy, ale odrzucają ją swoim krzykiem o prawie do zdrowia, do braku cierpienia, do nieumierania. Nasze obietnice rzeczy niemożliwych nauczyły ich żebrania, dawania łapówek i żądania protekcji.

– Protekcja...

Nędza się uśmiechnął. Był zadowolony, że w sposób logiczny przeszedł do kolejnego słowa, które chciał wyjaśnić młodemu człowiekowi.

– Protekcja oznaczała kiedyś ochronę, której udzielał silniejszy słabszemu. Były to ramiona matki, ręka ojca, rękojmia władcy, prawo boże, w którym można było żyć i bezpiecznie umrzeć. To była protekcja. Ale my zrobiliśmy z niej interes, dogodność oferowaną w zamian za łapówkę, iluzję pompowaną do żył, kłamstwo. Zrozum, chłopcze, w taki sposób właśnie zmienił się świat za sprawą twoich rodziców. Tak to widzę, póki jeszcze w ogóle coś widzę. Jesteś tu?

– Tak, dziadziusiu – odpowiedział osiemnastoletni chłopiec, który opierał się o poręcz, patrząc niecierpliwie w stronę okolicy za furtką. Musiał rzucić okiem na dziadka (tak na pewno nie wyraziłby się o tym w obecności matki czy ojca, „rzucić okiem” i „dziadek”, jako dziecko gardził takimi wyrażeniami, teraz jednak przejął je od dziewczyny, która dorosła w innych warunkach niż on. Kiedy ją przepraszał, że nie przyjdzie, bo rodzice powierzyli jego opiece chorego..., krótko podsumowała jego długi wywód: musisz rzucić okiem na dziadka, rozumiem, i przełożyli spotkanie na kiedy

indziej). Myślał, że posłucha muzyki, ale zostawił słuchawki w kieszeni, przecież to może być ostatnia okazja do rozmowy, zanim dziadziuś całkiem straci świadomość.

– Tak, dziadziusiu, jestem.

– To dobrze. Gdyby cię tu nie było, musiałbym sobie ciebie wymyślić. Wiem, że jestem niemożliwy. Choruję na Alzheimera i wszystko mi ucieka. Kiedy już poucieka zupełnie wszystko, zostanie tu tylko moje źle funkcjonujące ciało, z ust poleci ślina, będę kruszył jedzeniem na ubranie jak dziecko. Wiem to na pewno, miałem takich pacjentów, dobrze wiem, co mnie czeka. Ale nie wiem, chłopcze, już nawet nie wiem, czy jesteś moim synem czy wnukiem.

– Wnukiem, mam na imię Timi.

– Tak, Timi, Tymoteusz. Timi, nie wiem, co cię czeka, mój wzrok nie sięga tak daleko. Te ptaki latają bardzo wysoko. Nie widzę stąd, czy to wrony czy mewy. Ja już nawet nie wiem, czy jest wiosna czy jesień, teraz jest takie słońce, jakie bywa na wiosnę, jakie bywa na jesień, na wiosnę...

– Jesień – powiedział Tymoteusz, lecz starszy mężczyzna już go nie słyszał. W głowie zaszeleścił mu koniec taśmy, który przeleciał z ostrym cięciem obok soczewki obiektywu, i zostało tylko białe jednolite światło. Kiedy Tim odprowadzał go do pokoju i układał do łóżka, zachowywał się jak posłuszny robot.

– Położyłem go spać – powiedział Tim matce, kiedy zszedł na parter domku letniskowego.

– Jesteś kochany – odparła kobieta, która zachowała swoją urodę w późnym wieku średnim. Tylko kilka zmarszczek wokół oczu i ust i kilka szarych kosmyków zdradzało, że ta dziewczyna już właściwie przeszła grzbiet góry i teraz zstępuje za horyzont.

Nie żałuję, myślała Emilia, zwana Emą, zawsze kiedy rozmowa schodziła na temat starości. Dopiero za tym grzbietem góry, którego osiągnięcie umiejscowiła w swojej głowie pomiędzy trzydziestym ósmym a trzydziestym dziewiątym rokiem życia, jej oczy otworzyły się na sprawy, których nie potrafiła sobie wyobrazić jako młoda dziewczyna.

– Wiesz, dziadziuś nie śpi, tylko nie jest obecny, nie ma go tu.

– Wiem, to takie dziwne. Gdzie właściwie jest teraz jego świadomość? A może przestaje istnieć, a potem nagle zaskakuje jak jakiś generator?

– Ja sobie wyobrażam, że dziadziuś nagle opuszcza swój dotychczasowy dom, ten jego zniszczony mózg już chyba nie jest w stanie

utrzymać z nim kontaktu albo utrzymuje go tylko przez kilka godzin dziennie, jak do połowy naładowana krótkofalówka. Wiesz, dusza nie zawsze trzyma się z ciałem tak, jak byśmy tego chcieli, wiem coś o tym, Timothy – powiedziała, patrząc na syna tak jak wtedy, kiedy otworzyła oczy na świat, na który nie miała już nadziei.

Wiesz coś o tym, myślał chłopiec, a jego oczy przesunęły się na lewy nadgarstek matki. Nosiła na nim kilka srebrnych bransoletek. Nie były w stanie niczego zakryć, ale mogły przynajmniej odwrócić uwagę od białych blizn, które nieznacznie znaczyły moment, kiedy Emilia Ema przeleciała przez grzbiet góry. W pamięci Tima te ślady były ciągle czerwone jak pierwsze zadrapania, jak odkrycie tego, jak kruche jest bezpieczeństwo podlanego krwią dzieciństwa. Dopiero teraz zaczynał rozumieć, że ta mała śmierć przyniosła jego matce koniec strasznych awantur, nocnych krzyków i ucieczek, szukania prochów w torebce i pociechy w cudzych ramionach, szukania czułości w ostrzach i samookaleczeniu. Nigdy nie udało mu się na dobre wyrzucić z pamięci tego, kiedy znalazł ją w łazience, ale żył tak, jakby mu się to udało. Wolał pamiętać o zjawieniu się ojca, który wówczas wszedł do ich mieszkania po raz pierwszy od dwóch lat w towarzystwie lekarza i dwóch pielęgniarzy. Tim chciał zatrzymać w pamięci tylko to, że ojciec już z nimi został, nawet po tym, kiedy matka wróciła ze szpitala, i to został w sposób tak oczywisty, jakby nigdy nie było inaczej. To z tym przede wszystkim Tim chciał kojarzyć ślady po ranach matki.

Chciał pamiętać i pamiętał, jak ojciec kupił domek letniskowy, w którym teraz mieszkają z matką i dziadziusiem, podczas gdy on sam, bogaty mężczyzna, którego Tim szanował, mimo że nigdy nie zdążył się do niego przywiązać, pracuje w mieście, a tu przyjeżdża na weekendy. Zawsze w niedzielę mówi Timowi, żeby poszedł z nim do kościoła. Tim nigdy mu jeszcze nie odmówił.

Mamusia (to słowo zaczyna się w nim uwalniać, ale nie może jeszcze przejść przez gardło, jeśli kiedyś wypowie je przy kimś innym, to przy dziewczynie, przy której właśnie najbardziej wstydzi się je wypowiedzieć), mamusia też pracuje, ale tu, w domku letniskowym. Przekłada książki, które przychodzą do niej niewidzialnymi drogami internetu i materializuj ą się na kartkach wyjeżdżających z drukarki laserowej, która jest cicha, niezawodna i nie wydaje żadnych histerycznych dźwięków. Książki zamieszkują na stole matki i ożywają setkami znaczków, niezrozumiałych

przypisów i uwag na marginesach kartek, żeby potem znów zniknąć, kiedy matka odeśle je pocztą elektroniczną do niewidzialnych wydawców.

– Dlaczego czasem mówisz na mnie Timothy? Już dawno chciałem cię o to spytać.

– Właściwie czekałam, aż zapytasz. To imię z książki. Ta książeczka była powodem, z jakiego daliśmy ci tak na imię.

– Nazywasz Biblię książeczką?

– Nie, na to bym sobie nie pozwoliła – uśmiechnęła się Emilia Ema. – Jasne, że Tymoteusz to imię biblijne. Znasz przecież Listy do Tymoteusza. Ale Timothy to imię z *Kronik Marsjańskich* Raymonda Bradbury ego.

– Nie czytałem.

– A szkoda, dobra książka, powinieneś przeczytać, jest w naszej biblioteczce – powiedziała, ze smutkiem uświadamiając sobie, że po tej rekomendacji Tim już raczej jej nie przeczyta, jest taki jak ona, nie chce przyjmować niczego, czego nie odkrył sam.

– W ostatnim opowiadaniu z tej książki, chyba nazywa się ono *Wycieczka na milion lat*, występuje chłopiec Timothy, który ucieka rodzicom na Marsa, przed wybuchem wojny atomowej, podczas której cała Ziemia zostaje zniszczona.

– To jakieś science fiction?

– To nie jakieś science fiction, to dobre science fiction. My odkryliśmy Bradbury’ego dopiero pod koniec lat sześćdziesiątych. Wtedy niewiele brakowało do wybuchu trzeciej wojny światowej. Kilka lat wcześniej Chruszczow umieścił broń jądrową na Kubie. Wtedy latało się też w kosmos.

– Uczymy się o tym w szkole.

– Ale w szkole nie dowiesz się niczego o atmosferze tamtych czasów, kiedy czekało się, kto pierwszy wciśnie guzik i odpali pocisk balistyczny. Nazywało się to polityka odstraszania. Ładne angielskie słowo *overkill* Jakbyś to przetłumaczył?

– Przezabić, więcej niż zabić – próbował Tim. – To dosyć szalone.

– Tak, to właściwe słowo, świat był wtedy trochę szalony, a my byliśmy młodzi.

Emilia Ema zapaliła papierosa, co robiła rzadko i zaproponowała też synowi, czego nie robiła nigdy.

– Nie, jak zapalę, zrobi mi się niedobrze – odmówił Tim z zakłopotaniem.

– Masz rozum – pochwaliła matka. – My go wtedy nie mieliśmy. Kiedy sobie przypomnę tamte czasy – rozmarzyła się Emilia, mrużąc oczy. – Jakbym słyszała brzęk gitary elektrycznej Hendrixa...

– Znam Hendrixa, jest niezły, klasyka. Nie wiedziałem, że kiedyś słuchaliście takiej muzyki.

– Teraz to już rzeczywiście słuchamy tylko prawdziwej klasyki, ale wtedy... jakbym słyszała tę gitarę i syreny policyjne i wiadomości o UFO i demonstracjach, i koszmar wojny w Wietnamie, wioska My Lai i nowe filmy o narkotykach i wolnej miłości, aż w końcu... aż w końcu przyjechały rosyjskie czołgi. Byłam jeszcze młodą dziewczyną, kiedy widziałam sznury czołgów jadących między polami buraków na Połabiu. Po paru latach pozostało nam tylko zakłócane słuchanie *Głosu Ameryki*, co wieczór o dziewiątej. Nadajniki zakłócające bulgotały i trzaskały również dość szaleńczo, ale zupełnie inaczej niż Hendrix. Ty urodziłeś się długo po tym i dostałeś imię, w którym z tatą połączyliśmy jego ewangelicką tradycję i nasze, teraz zabrzmi to dziwnie, ale i tak to powiem, nasze marzenie o ucieczce z tego świata.

Kiedy u pana Nędzy seniora na drugi dzień przed południem znowu cudem wynurzyła się wyspa świadomości, Emilia powiedziała Timowi, żeby wziął go na spacer do ogrodu. Przechadzali się powoli pod drzewami owocowymi i między grządkami, na których kończyły swój żywot warzywa, ścięte pierwszym przygruntowym przymrozkiem. Już nie mówił o pacjentach i protekcji. Czuł w sobie jakiś niepokój, chęć podzielenia się czymś ze swoim synem, za którego pomyłkowo uważał Tima. Naprawdę byli do siebie z ojcem bardzo podobni, odróżniał ich chyba tylko czas, a Karol Nędza od dawna nie przejmował się już czasem.

– Wiesz, chłopcze, człowiek musi powrócić tam, gdzie jego miejsce. Do domu. Nawet, jeśli ten dom miałby być niegościnny. Nawet, jeśli miałbyś wrócić tylko po to, żeby ponieść karę, musisz to zrobić, bo ta kara jest częścią twojego życia.

– Ale przecież jesteśmy w domu – oponował Tim.

– Nie, to nie jest nasze miejsce. Musimy wrócić do domu, zanim wyślą nas tam w zalutowanej trumnie albo w worku foliowym, chłopcze.

– Dokąd mieliby nas wysyłać? – nie rozumiał Tim.

– Jakbyś nie wiedział – denerwował się starzec. – Trzeba iść tą drogą, potem aleją na dworzec na pociąg. Niedaleko, kilka stacji. Takie miasteczko w Galicji, teraz nie mogę sobie przypomnieć jego nazwy. Jest tam dworzec,

perony wybrukowane drewnianą kostką. Mieszkałem tam tyle lat, a teraz to miejsce mi uciekło. Wiesz, to przez tę moją głowę, mam chorobę Alzheimera. Już niedługo nie będę wiedział nic z tego, co teraz wiem na pewno.

Dziwnie uśmiechnął się do Tima. Jego uśmiech wydał się Timowi potworny, straszny, jakby sama radość obracała się w dziadku do góry nogami.

– Ale dziadziusiu...

– Synu, to jest taki paradoks – Nędza uciszył domniemanego syna dziarskim ruchem ręki. – Ja bardzo dokładnie widzę marginesy swojej ślepoty. Bardzo dobrze wiem, że przestanę cokolwiek wiedzieć. Ale to nic, każdemu się może zdarzyć, Bóg na to pozwala. Ale wiesz, czego Bóg nie wybacza?

I znów ten uśmiech sztucznych zębów między skrzywionymi wargami.

– Bóg nie wybaczy tym, którzy uciekną, a ja muszę przestać uciekać, ja muszę tam iść.

Doszli do furtki ogródka. Karol Nędza złapał za klamkę, wyprowadzając Tima z przytulnego cienia jabłoni.

– Dziadziusiu, uważam, że powinniśmy wracać – zatrzymywał go Tim.

– Otóż to – przytaknął i mocno ścisnął rękę swojego syna. Ruszyli razem w stronę palącego światła wrześniowego dnia.

[1] Żołnierze armii czechosłowackiej skracali sobie ostatnich 150 dni pobytu w wojsku tak zwanym „cięciem metra”. Używali w tym celu metra krawieckiego długości 150 cm. Jeden centymetr oznaczał jeden dzień, i był odcinany codziennie o północy. Rytuał ten był zakazany, ponieważ, według przełożonych, obrażał zawodowych wojskowych (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

[2] Nazwa dzielnicy w Ostrawie i znajdującej się tam dużej stacji kolejowej.

[3] Bohaterka wiersza czeskiego poety, Petra Bezruča, ze zbioru *Pieśni śląskie*, sierota opiekująca się młodszym rodzeństwem, złapana przez szlachcica na kradzieży drewna na opał. Popełnia samobójstwo, skacząc ze skały, kiedy prowadzą ją przed sąd. Kiedy w wierszu umierają rodzice Maryčki, narrator pyta o jej młodsze rodzeństwo: *Będziesz im ojcem? Będziesz im matką?*

[4] Wzniesienie w Czechach (właściwie dwa położone obok siebie szczyty – Velký Blaník i Malý Blaník), narodowy symbol nadziei i wiary w lepszą przyszłość. Według legendy śpią tam rycerze, którzy w trudnych chwilach historii obudzą się, aby walczyć o wolność narodu czeskiego.

[5] Rozlet (czes.) – wzlot, lot.

[6] Chodzi o prezydenta Czechosłowacji w latach 1948-1953, komunistycznego polityka Klementa Gottwalda.

[7] Chodzi o spopularyzowany przez Hrabala w *Pociągach pod specjalnym nadzorem* zwrot „śmiejące się bestie”. Nie wiadomo, czy był on oryginalnie użyty przez Goebbelsa czy Heydricha, miał określać charakter Czechów.

[8] Jedna z czeskich firm budowlanych.

[9] Policjant poszedł na pogrzeb kolegi, który zmarł na służbie. Trumnę spuścili go grobu, wszyscy zaczynają rzucać kwiaty, gdy nagle odzywa się głośne „trach!” Inny policjant pyta: – Stary, coś ty tam wrzucił, że tak gruchnęło?

– A wiesz, nie miałem gdzie kupić kwiatka, to wziąłem mu chociaż bombonierkę.

[10] Zdeněk Burian (1905-1981) – czeski malarz i ilustrator, znany na świecie głównie z przedstawiania podobizn dinozaurów.

[11] Tytuł zapożyczony z tekstu piosenki zespołu Plastic People of the Universe pt. *Rozvaha neuškodí ani kuřeti* (Nawet kurczakowi nie zaszkodzi odrobina rozsądku).

Wydawnictwo Afera
telefon: (+48 71) 716 48 30
faks: (+48 71) 716 48 31
szybki kontakt: 666 155 038
www.wydawnictwoafera.pl
Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu
Instytucja Kultury Samorządu Województwa Dolnośląskiego
50-101 Wrocław, Rynek-Ratusz 24
tel. (+48 71) 344 28 64, faks 344 28 65 okis@okis.pl,
www.okis.pl
Wrocław 2011
Wydanie I
Skład: Manufaktura Dobrych Pomysłów
Druk i oprawa: Wrocławska Drukarnia Naukowa PAN

JAN balabán (29.01.1961 – 23.04.2010)

Jeden z najwybitniejszych współczesnych czeskich prozaików, tłumacz, publicysta.

Oddajemy w Państwa ręce połączone wydanie dwóch ulubionych przez czeskich czytelników zbiorów opowiadań: *Wakacje* i *Możliwe, że odchodzimy*. Drugi ze zbiorów otrzymał w roku 2005 najbardziej prestiżową czeską nagrodę literacką *Magnesia Litera* w kategorii **Proza Roku**, tytuł **Książka Roku 2004** oraz w roku 2011 tytuł **Książka Dziesięciolecia**.

Pisarz zmarł nagle, w wieku 49 lat. Przyczyną śmierci była kardiomiopatia – przerośnięte, zbyt duże serce. Proza Balabána świadczy nie tylko o jego ogromnym sercu, ale także o ogromnym talencie.

Dla prozy Jana Balabána trzeba znaleźć czas i spokój jesiennych dni, żeby móc poukładać puzzle jego opowiadań w obraz bliski nam, skądś znajomy. Dotkliwa książka.

Jan Peszek

Bohaterowie książek Balabána żyją w blokowiskach Ostrawy, między szybami kopalń. Nie są dowcipnymi Czechami. Są samotni i po przejściach. Często ich życie wydaje im się zbędne. Są jak postacie z obrazów Edwarda Hoppera: tkwią nieruchomo w hotelowych pokojach, ale czujemy tam obecność jeszcze czegoś lub kogoś. Książka Balabána „Możliwe, że odchodzimy" mogłaby się więc nazywać „Możliwe, że nie jesteśmy sami".

Mariusz Szczygieł, *Zrób sobie raj*

Konsulat Honorowy Republiki Czeskiej we Wrocławiu

RADIO WROCŁAW

CZESKIE CENTRUM
ČESKÉ CENTRUM

SOLIDARNOŚĆ

Hranice dokořán – Rozmówki polsko-czeskie

DOLNY ŚLĄSK

AFERA

ISBN 978-83-932120-1-9

9 788393 212019